

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz  
Al.Gen.J.Hallera 14



106491





98.

Ad. Heller

1879...

ANTROPOLOGIA

# BIBLIOTEKA NAUKOWA WENDEGO.

---

REDAKTORZY:

FRANCISZEK PUŁASKI

SEKRETARZ GENERALNY WARSZAWSKIEGO TOW. NAUKOWEGO

I

LUDWIK SILBERSTEIN

Dr. FIL., DOCENT FIZYKI MATEM. W UNIWERSYTECIE RZYMSKIM



R. R. MARETT  
ANTROPOLOGIA

R. R. M A R E T T

98.

# ANTROPOLOGIA

W PRZEKŁADZIE

L. KRZYWICKIEGO

W A R S Z A W A — L W Ó W

NAKŁADEM KSIĘGARNI E. WENDE I SKA

V. 162/81



106491



## ROZDZIAŁ I.

### Zadania antropologii.

W tym rozdziale zamierzam zatrzymać się nieco po pierwsze nad zadaniami ostatecznymi antropologii, powtóre nad ograniczeniami, które napotyka, po trzecie zaś w końcu nad jej stosunkiem do istniejących gałęzi wiedzy. Innemi słowy, będę roztrząsał rozległość jej roszczeń, a następnie przejdę do rozważania tego, jak dalece te roszczenia, w warunkach współczesnych nauki i wykształcenia, dadzą się urzeczywistnić.

A zatem, po pierwsze, na czem polegają ostateczne zadania antropologii? Co winniśmy w niej zawrzeć, biorąc termin ów w całej jego rozciągłości i w najlepszem jego zrozumieniu?

Antropologia ogarnia całkowitą historję człowieka, taką, jaką idea ewolucyi wypiastowała i wypracowała. Człowiek w toku rozwoju swojego, oto jej przedmiot w rozciągłości najobszerniejszej. Antropologia bada człowieka, takiego, jakim ten występuje we wszystkich znanych nam czasach, oraz we wszystkich dzielnicach świata.

Bada jego ciało i jego ducha, t. j. bada jego jestestwo cielesne, podlegające wpływowi czasu i przestrzeni, to zaś jestestwo pozostaje w stosunku jak najściślejszym z życiem duchowym, które również znajduje się w obrębie działania tych samych czynników. Mając na oku zawsze te wpływy, usiłuje ona wydobyć całkowite pasmo przekształceń, zarówno cielesnych jak i w zakresie duchowości, które człowiek przebywał w toku istnienia swojego. Zadanie jej jest natury opisowej. O ile nie chce wybieść poza granice właściwe, antropologia może jedynie, a nawet musi iść od szczegółów do uogólnień, zmierzając wyłącznie do osiągnięcia wzoru opisowego, co zawarłby w sobie wszystkie ogniwa przekształceń, w których ewolucja ludzkości się zawiera.

Takim jest ideał antropologii w zwięzłym przedstawieniu. Z powodu takiej zwięzłości grzeszy formalnością i bezbarwnością. Ale, ażeby słowu dać ciało, starczy wyszeptać jeden tylko wyraz. Tym wyrazem jest: Darwin.

Antropologia jest dzieckiem Darwina. Darwinizm umożliwił jej istnienie. Ów darwinizm nie jest zgoła całkowicie wykończoną doktryną, ani dogmatem, jeno hipotezą, umożliwiającą pracę naukową. Przypuszczacie, iż jakieś założenie jest słuszne, i prowadzicie poszukiwania, czy, w oświetleniu tej prawdy założonej, fakty nawzajem wiążą się lepiej, aniżeli na podstawie jakiegokolwiek innego przypuszczenia. Prawa

zaś, wysuwane przez Darwina, tkwią jedynie w tem, że wszystkie kształty życia pozostają w ustosunkowaniu wzajemnem i że to ustosunkowanie, ujawniające się w czasie i przestrzeni pomiędzy różnemi istotami żyjącemi, jest o tyle jednostajne, iż daje się ująć w wzór powszechny, czyli w prawo ewolucyi. Innemi słowy, w imię nauki istota ludzka musi stanąć w tym samym rzędzie z pozostałemi stworzeniami. W naukach, które zaprzatają się światem roślinnym, a także zwierzęcym prócz człowieka, przyrodnicy tak gorliwie hołdują zasadom Darwina, iż okres przeddarwinistyczny został przez wszystkich odrzucony pomiędzy rupiecie. Ale ilekroć człowiek dotyka się swojej osoby czcigodnej, tylekroć dostrzega się dążność do powiedzenia: przyjmujemy darwinizm dopóty, póki nie potrzebujemy się z nim zbytnio poufalić.

Antropologowie powiadają wraz z Darwinem: badajmy zarówno jakikolwiek, jak i każdy ułomek dziejów ludzkości w oświetleniu całej historii, a róbmy to w karbach historii jestestw żyjących wogóle. Punkt widzenia, właściwy darwinizmowi, prowadzi do tego. Ani jedno z twierdzeń poszczególnych Darwina nie wytrzyma zębów czasu. Stopnieją one, skoro uczoney uzna za stosowne rzucić je do tygła. Ale wątpliwa, ażeby porzucono darwinizm, jako pojmowanie przyrody, które spowinowaca nawzajem jestestwa całego świata. Bądź co bądź, antropologia będzie istniała lub upadnie wraz z założeniami,

wysnutemi z darwinizmu, o zasadniczem pokrewieństwie, oraz ciągłości pomimo zmian, w obrębie wszelkich kształtów życia ludzkiego.

Pozostaje do nadmienienia, iż antropologia dotychczas poświęciła najwięcej uwagi ludom pozostającym w stanie kultury prostaczej, znanym powszechnie pod nazwą „dzikich“. Główny powód — tak przynajmniej mi się wydaje — tkwi w tem, że nikt nie czuje urazy względem darwinistycznego pojmowania historii, gdy ogranicza się ono do rzeczy postronnych. Dopiero naówczas odczuwamy je jako zniewagę, gdy zostało zastosowane do nas i do naszego otoczenia. Jednak acz dotychczas zwracała się zawsze w kierunku najmniejszego oporu, antropologia przecież nie wyrzekła się najbliższego nawet ze swoich roszczeń do tego, ażeby być całkowitą wiedzą o człowieku, t. j. wiedzą, zawierającą w sobie wszystkie jego dzieje. Czy wiedzę tę nazwiecie historią lub też antropologią, lub w końcu jeszcze inaczej, rzecz to obojętna. Ale gdy chodzi o istotę rzeczy, nie może być mowy o kompromisie jakimkolwiek. My, antropologowie, dobywamy wszelkich sił, ażeby ustalić jedno, a mianowicie iż niemożliwy jest jeden rodzaj historii w stosunku do ludów dzikich, drugi zaś w stosunku do nas, jeno istnieje tylko ten sam rodzaj, ta sama zasada rozwoju rządzi w zastosowaniu do wszystkich ludów, cywilizowanych i dzikich, jako do czasów zarówno obecnych, jak i zamierzchłych.

Tyle o zadaniach, spoczywających na antropologii. Teraz, na drugim miejscu, winniśmy pomówić nieco o jej szrankach. Obawiam się, iż wypadnie nam tutaj dotknąć się zagadnień zarazem bardzo głębokich, jak i trudnych. Ale za wszelką cenę winniśmy starać się o jasne zrozumienie tego, iż antropologia, acz jest rzeczą olbrzymią, przecież nie jest wszystkim.

Starczy położyć tutaj nacisk na to, iż antropologia jest nauką w jednakiej mierze, jak historia; a więc nie jest filozofią, acz winna liczyć się z jej potrzebami, ani nie jest umiejętnością praktyczną, chociaż może służyć do takich celów.

Antropologia jest nauką w tem znaczeniu, iż jest wyspecjalizowaniem dochodzeniem prawdy w imię samej prawdy. Nauka polega na znajomości dziedziny poszczegółnej, wówczas gdy filozofia ogarnia całość w charakterze jej jako całości. Jedna wspiera drugą, i rzeczą jałową jest dociekanie, która z nich ukazała się pierwsza. Jednego pociąga wszechświat rozważany w swojej całości, ale wielu zadawała się badaniami nad którymś z jego szczegółów. I z duchem nauki całkowicie pozostaje w zgodzie zdanie, iż oto istnieje dziedzina odrębna rzeczy powiązanych nawzajem w sposób osobliwy, postarajmy się wyluskać ideę podstawową tego powiązania. Antropologia wzięła za swój przedmiot taką dziedzinę odrębną: jestestw ludzkich, ta zaś dziedzina ze swej strony jest wyodrębnioną

częścią rozleglejszej, a tak samo samodzielnej dziedziny: jestestw żyjących. Możemy rozważać antropologię jako gałąź biologii, o ile, zgodnie z zasadą ewolucyjną, wychodzi z założeń nauki, zajmującej się tą dziedziną rozleglejszą, a taką nauką jest właśnie biologia. Dodajmy, że ze wszystkich gałęzi biologii ta jedna odsłania przed nami najbardziej treść istotną życia, albowiem życie jestestw ludzkich będzie zawsze bliższe uczoneму, badającemu objawy życia wogóle, niż dajmy na to życie roślin.

Ale może ktoś mi zarzuci, iż utożsamiliśmy poprzednio antropologię z historią, obecnie zaś utożsamiamy ją z inną nauką, a mianowicie z wyodrębnioną gałęzią biologii, oraz zagadnie, czy historia jest nauką. Odpowiadamy na to twierdząco. Wiem, iż wielu historyków zaprzeczy temu, a to bodaj na tej zasadzie, iż kiedy wypada pracować nad historią, zasada prawdy w imię prawdy doprowadza do wyników niepożądanych. Zgadzam się na to, iż taka odmiana historii pofalszowana nie jest nauką, ani antropologią. Istnieje o wiele poważniejszy zarzut przeciw roszczeniom historii do nazwy nauki. Wielu najpoważniejszych mężów świata naukowego twierdzi, iż nauka zmierza do wykrycia praw, będących ponad więzią czasu. Natomiast historia lubuje się nade wszystko w uogólniającym opisie tego lub innego ogniwa w paśmie czasu. Na to można odrzec, iż tylko fizyka i nauki fizykalne czynią

całkowicie zadość takiemu wężkiemu pojmowaniu. Prawa materji, będącej w ruchu, są, przynajmniej pozornie, właśnie takiego rodzaju matematycznego, niezależnionego od czasu. Ale w obrębie biologji prawa takie nie dają się, a w każdym razie nie dały się wykryć. Biologia ma do czynienia z objawami życia, lub jeśli godzicie się na to określenie, z objawami materji, obdarzonej życiem. Materja znajduje się w ruchu, życie zaś podlega rozwojowi. Tem samem, wchodzimy w nowy wymiar bytu. Ale nie wyzwalamy się z pod praw, które są właściwe materji, będącej w ruchu: fizyka prowadzi badania swoje w oderwaniu od objawów życia, t. j. nie bierze pod rachubę jego skutków osobliwych. W biologji przekraczamy poza te prawa matematyczne jednego tylko ruchu, wprowadzamy do nich jakieś  $x$ , jakąś ilość nieznaną. Rzeczy tak się mają z punktu widzenia fizyki; biologia podejmuje rzecz jak gdyby od początku i poszukuje własnych środków do opisowego ujęcia sposobów odrębnych, według których przedmioty badane wiążą się ze sobą na tej zasadzie, iż są życiem obdarzone. I biologia dochodzi do przeświadczenia, iż nie zdoła wziąć rozbratu z uwzględnieniem czasu. Nie wolno jej traktować jestestw żyjących, jako maszyny. Nie pozostaje jej nic innego, jeno stać się odmianą historyi. Ustala, iż pewne rzeczy zmieniały się na określonej drodze, i stara się według sił swoich wykazać, iż w całości swojej

te zmiany podążają w kierunku określonym. Słowem, ujmuje tylko dążności, i te dążności oto jedyne prawa, z którymi mamy do czynienia w biologii. Niektóre z tych dążności są natury stateczniejszej niż inne, i dlatego na pozór zbliżają się dokładniej do praw kalibru, w którym pierwiastek czasu jest nieobecny. Ale owo  $x$ , owa ilość nieznaną, owo coś co nie jest objawem natury fizycznej, czepia się wszelkiej z tych dążności, bez względu na to czy jest stateczniejsza lub niewiele stateczną. Dla nauki, która podzieliła świat na różne dziedziny i bada je cząstka po cząstce, nie ma możliwości rozstania się z tym faktem, że jestestwa żyjące wogóle, istoty zaś ludzkie w szczególności, podlegają rozwojowi. Rozwój zaś wszelki jest przedmiotem historii.

A teraz słów parę o filozofii. Bynajmniej nie zamierzam roztrząsać tutaj zagadnień filozoficznych. Dla tej przyczyny nie będę nazywał biologii historią naturalną wogóle, ani antropologii — historią naturalną człowieka w szczególności. Niechaj filozofowie rozprawiają, jaką treść wyraz „natura“ posiada w ich przekonaniu. Wyraz ten w nauce nastrocza moc wątpliwości, a tymczasem jedyną zdrową zasadą w niej jest podnoszenie jak najogólniejsze takich zagadnień filozoficznych. Wszystko w przyrodzie jest naturalne, w tem znaczeniu, że wszystkie rzeczy wykazują powinowactwo niejaki, wszystkie są z tej samej sztuki zro-



bione. Ale winniśmy ujmować części, jako części całości jakiejś, i właśnie ten fakt nie tylko umożliwił istnienie filozofii, ale robi ją nieodzowną. Lec jednocześnie ten fakt nie zapobiega temu, iż te części mają przyrodę własną, odrębną, oraz odrębne sposoby zachowania się. Ludzie, którzy utożsamiają pojęcie przyrodzoności z objawami fizykalnymi, wszystko sprowadzają do tego samego mianownika: widzą jeden tylko rodzaj przyrody i zachowania się w świecie całym. Doświadają niewłaściwego konia, gdy stosują to do człowieka. A tymczasem najwłaściwszym jest koń, zdatny do jazdy. O ile rzecz dotyczy antropologii, jako części biologii ewolucyjnej, nauka ta jest historią dążności, nacechowanych objawami życia, te zaś dążności nie są dążnościami przyrodzonymi w tem znaczeniu, w jakim nauki fizykalne posługują się tym terminem.

Filozofia w stosunku do nauki spełnia dwie czynności. Po pierwsze, dokonywa krytyki: ma baczne oko na dziedzinę nauk, zabiegając pomieszaniu praw każdej z nich i powstrzymaniu swobodnego rozwoju. Pomiedzy antropologią a biologią współdziałanie n. p. jest konieczne, ale rzecz nie może przekształcić się w utożsamianie zadań i wygłaszanie tego samego prawa dla wszystkich objawów, jak to czynią fizycy, pragnąc stosować metody, właściwe światu machn, do nauk, mówiących o rozwoju życia. Powtóre, zadania filozofii są natury

syntetycznej: winna ująć w jedną wszystkie drogi wiedzy i w tem zjednoczeniu zestawić je i zespolić z drogami czucia i działania, ażeby w wyniku ostatecznym otrzymać teorię rzeczywistości i właściwego życia w ich współzależności organicznej, — konsekwencya, która już uprzednio tkwiła jako cel w naszym wysiłku zestawienia różnych dziedzin.

W obliczu tego następuje się pytanie, w jakim stosunku powinny pozostawać względem siebie antropologia i filozofia. Ale sprawa, czy antropologia zdoła być filozofii pomocną, nie powinna nas zaprzętać. Jest to rzecz filozofów. Natomiast filozof może wyświadczyć antropologii dwojakiego rodzaju usługi, a mianowicie w jej sprawności krytycznej, wspierając ją w osiągnięciu jej własnych dążeń i w jej rozwoju samorzutnym, wolnym od wtrętów obcych, oraz w jej sprawności syntetycznej, wysuwając zasadę, iż z dwóch wyjaśnień, n. p. biologicznego i fizykalnego, bardziej oderwane jest jednocześnie dalsze od istotnej prawdy, iż natomiast im bardziej zwężymy swój zakres, tem więcej mamy widoków rzetelnego rozumienia rzeczy.

Pozostaje jeszcze polityka. Posługują się tym wyrazem dla oddania wszelkiego praktycznego stosowania wyników nauki. Niekiedy zdarza się, iż niepodobna powiedzieć, gdzie nauka się kończy a polityka poczyna, jak oglądaliśmy to już z okazji tych panów, którzy pragnęli zgwałcić historię, ponieważ to prowadzi do

wyrobienia dobrego pojęcia o nas samych i do ufności, iż nasze stanowisko wyjdzie zawsze z walki ręką zwycięską. Antropologia zapożyczyła, prócz zasady ewolucyjnej, od biologii jeszcze rzecz jedną, a mianowicie przedmiotowość. Nie jest sprawą ciężką zachować taki stan ducha w stosunku do pszczół i mrówek, chociaż niekiedy nadużywamy względem nich porównań najrozmaitszych. Ale my, antropologowie, winniśmy zdobyć się na rzecz o wiele trudniejszą, na przedmiotowość w stosunku do ludzi. Winniśmy spoglądać na siebie, jak gdybyśmy byli tyłuż pszczołami i mrówkami, a zarazem nie zapominać o skorzystaniu z tych wiadomości podmiotowych, które są nieobecne w stosunku do owadów.

Z tego jednak nie wynika, ażeby historia człowieka, zbudowana zgodnie z zasadami uwzględniającymi tylko prawdę, nie była i nie mogła być użytą dla praktycznych korzyści ludzkości. Antropolog, właśnie w charakterze swoim antropologa, bynajmniej nie zaprzęta się zastosowaniami praktycznymi, do których jego odkrycia dały pobudkę. Co najwyżej w imię przeświadczenia, iż prawda jest wszechwładna i że jej się należy głos pierwszy, gdy chodzi o dobro ludzkości, może on wymagać od mężów czynu, ażeby zaznajomili się z faktami, które wydobył był, i z uogólnieniami, ufny, iż im lepiej ci działacze pojmować będą człowieka, tem snadniej zrozumieją jego potrzeby i uczynią im

zadość. Administrator n. p., który trzyma w swem ręku ster rządów nad ludźmi dzikimi, jest w większości wypadków człowiekiem dobrych chęci, ale zazwyczaj zupełnym nieukiem w stosunku do zwyczajów i wierzeń tubylców. W takim samem położeniu znajduje się misyonarz, druga postać ciesząca się powagą, wykazująca zamiary jak najlepsze, ale stosująca środki, które pozostawiają wiele do życzenia. Sama gorliwość nie wystarcza, bez wejrzenia naukowego w warunki zagadnień praktycznych. Ale nie nabywamy takiego wykształcenia bez wysiłku. Lecz rządy i kościoły, prócz niewielu wyjątków czcigodnych, skrupulatnie unikają uposażenia swoich wychowanków w konieczne wykształcenie i wyćwiczenie, chociaż okazało się, iż na daleką metę nieuctwo jest zawsze rzeczą jak najkosztowniejszą. Ale polityka, w tej liczbie niedbała polityka, nie wchodzi w zakres urzędowy antropologii. Jednak antropologowie wolno żywić nadzieję, że jak przed wielu laty fizjologia pośrednio wspierała umiejętność leczniczą, tak samo nauka antropologiczna, w sposób pośredni, acz nie mniej skuteczną, będzie świadczyła w przyszłości usługi umiejętności lecznictwa politycznego i religijnego.

W końcu, w trzeciej i zarazem ostatniej części rozdziału obecnego, winniśmy wykazać, w jaki sposób, w warunkach współczesnych nauki i wykształcenia, antropologia ma osiągnąć swoje zamierzenia. Dotychczas antropologowie

błądzili, biorąc drzewa za las. Badając głównie ludy kultury prostaczej, nagromadzili tyle faktów, iż zarówno sami, jak ich czytelnicy stanęli w obliczu tych zasobów bezradni. Nastąpiła chwila wyjścia z tego położenia. Właściwie, wyjście to samorzutnie powstaje. Różne odłamy badaczy, których któraś dziedzina poszczególnej historii człowieka pociągnęła ku sobie, zwracają się codziennie do antropologa, żądając, z zasobu nagromadzonych faktów, tych wiadomości, których potrzebują. Jako ogólny zarządca tego zasobu, zyskuje on, niemal bezwiednie, świadomość ładu, któryby sprostał wygłaszanym żądaniom. Skarby, których udzielamy w takich dawkach odrębnych, stopniowo układa on na półkach odrębnych. Musimy powziąć wiadomość o tych półkach — jest to najlepszy sposób postępowania w zakresie rozważań, obecnie się nasuwających. Innymi słowy winniśmy kolejno zastanowić się nad poszukiwaniami odrębnymi, które pragną skorzystać z dorobku antropologii.

Ale ażeby uniknąć obezwładniającego obowiązku przyglądania się zastępowi rozmaitych „logii“, postawimy rzecz inaczej. Przypuśćmy, iż młodzieniec lub dziewczę, pragnąc przynajmniej w ciągu roku przykładać się do nauk antropologicznych, zapisuje się do uniwersytetu, i to do uniwersytetu, pozostającego w stosunku z współczesną działalnością naukową. Uniwersytet, jak to głosi sama nazwa, powinien

być wszystko obejmującym ogniskiem studyów wyższego rzędu, tak ustosunkowanych względem siebie, ażeby pospołu zapewniły słuchaczowi początkującemu dobre wykształcenie ogólne, w oddzielności zaś słuchaczom bardziej posuniętym możliwość prowadzenia wyspecjalizowanych poszukiwań w tym lub w innym kierunku. Otóż w jaki sposób w takim dobrze urządzonym uniwersytecie nasz początkujący antropolog ma osiągnąć znajomość przedwstępne z czterech zasadniczych węzłami swego przedmiotu? Do jakich dziedzin ma przykładać się kolejno? Ułóżmy dla niego program, przyczem oświadczamy z góry, iż pomimo obfitości wymogów swoich pozostawimy mu możność wczasów. Człowiek jest jestestwem wielostronnem, i niema rady na to, iż i antropologia jest nauką wielostronną.

A zatem po pierwsze, musi on wysłuchać tych, którzy zajmują się specjalnie zaciękaniami nad człowiekiem przedhistorycznym. Taki początek jest tem dobry, że świetność przedmiotu odrazu pociąga umysły. Niechaj słuchacz cofnie się wyobraźnią swoją na wiele tysięcy lat wstecz ku Europie, wyglądającej z pod całunu lodowcowego, ale uposażonej w jestestwa ludzkie, tak dalece podobne do nas, iż rozumiały dobrodziejstwa dobrego ogniska, wyrabiały zręczne narzędzia z kamienia, drzewa i kości, pokrywały malowidłami zwierząt ściany jaskiń swoich lub rzeźbiły ich kształty na kości

mamuta, lepiej niż wielu z nas uskuteczniłoby to dzisiaj, i chowały zmarłych w sposób, świadczący o wierze w życie pośmiertne. A mimochodem nauczy się zespalać ze sobą metody i dorobki różnych gałęzi nauki. Przecież czaszka ludzka, kilka kości zwierząt wygasłych, niecy krzemieni ociosanych leżą obok siebie na poziomie jakichś dwudziestu stóp pod powierzchnią ziemi. A więc badacz musi odwołać się przynajmniej do czteru powag odrębnych, zanim zdoła złożyć pospołu części tej łamigłówki.

Następnie musi powziąć on jakieś wiadomości o rasie, czyli o wynikach utrwalonych hodowli, w stosunku do człowieka. Nieco anatomii praktycznej, — t. j. rzetelne obejrzenie i wymierzenie zasadniczych części szkieletu ludzkiego w jego odmianach podstawowych, — uzdolni naszego wychowanka do należytej oceny różnic zewnętrznych, któremi n. p. osadnik angielski w Australii wyróżnia się od czarnego tubylca lub od murzynów, czerwonoskórych i żółtych azyatów w obrębie Stanów Zjednoczonych. W tem miejscu będzie dla niego z korzyścią zagłębienie się w szczegóły teorii Darwina o pochodzeniu człowieka. Niechaj wśród licznych współczesnych odchyłeń teorii o rozwoju człowieka poszukuje tej, która najlepiej zdaje sprawę z napięcia podobieństwa cielesnego lub niepodobieństwa pomiędzy ludźmi wogóle w przeciwieństwie do zwierząt, zwłaszcza zaś małą człokształtnych, a nadto w obrębie ludzkości róż-

żnych czasów i miejsc. Ale podczas tych badań nie wystarcza poprzestawanie jedynie na cechach cielesnych, takich, jak kształty czaszki, barwa skóry, barwa i budowa włosów i t. d. Albowiem i właściwości umysłu pozostają bodaj w ścisłym związku z organizmem cielesnym i podlegają wpływom dziedziczności. Takimi są tak zwane instynkty. Badaniom zaś tego rodzaju winny pospieszyć z pomocą wycieczki dokonane w świat umysłowy zwierząt, dzieci, obłąkańców. A mierzenie i doświadczanie czynności umysłowych, zwłaszcza zaś zmysłów, odwołują się obecnie do pomocy narzędzi dowcipnie pomysłanych. Nabycie przeto wprawy w posługiwaniu się nimi może tylko wydać skutki pomysłne przy rozważaniu zagadnień, związanych z pochodzeniem człowieka.

W ciągu dalszym kształcący się musi przyłożyć się gruntownie do geografii w jej pierwiastkach zarówno fizycznych jak i ludzkich, które przecież wiążą się tak szczelnie ze sobą. Musi posiadać umiejętność wskazania na mapie ojczyzny wszystkich ludów wybitniejszych, i to nie tylko w dobie obecnej, ale także we wszystkich ważniejszych chwilach przeszłości. Sprawą następną jest opanowanie głównymi faktami, dotyczącymi warunków przyrodzonych, którym każdy lud podlega, jako to klimat, budowa lądów i mórz, świat zwierzęcy i roślinny. A stąd tylko krok jeden do spraw natury gospodarczej, do sposobów zaopatrywania się w pożywie-



nie, do odzieży, mieszkania, do głównych zajęć, narzędzi pracy. Należy zaglądać do wyborowych dzieł podróźniczych. A rzeczą niemniej doniosłą jest stałe zwiedzanie dobrego muzeum etnograficznego i przyglądanie się przedmiotom wystawionym. Ale bynajmniej nie wystarcza taki przegląd świata według dzielnic. Należy uwzględnić jeszcze stosunki pomiędzy niemi wzajemne, a zatem wędrówki i podboje, handel i zapożyczanie zwyczajów. W końcu, na podłożu tego rozmieszczenia, które uczący się musi wytknąć samodzielnie na ślepej mapie ziemi, winien on jeszcze zaznajomić się z głównymi działami umiejętności pożytecznych i ich zastosowań w rozwoju stopniowym.

Z pośród gałęzi odrębnych, zajmujących się człowiekiem, bodaj następną z kolei będzie ta, która zaprzęta się różnemi kształtami społeczności ludzkiej, albowiem więź społeczna pozostaje w związku bezpośrednim z warunkami bytu materialnego. W innem i bodaj głębszem znaczeniu, istotnym warunkiem rzetelnego uspołecznienia jest dar mowy członkowanej. Nastreżcza się pytanie, w jakiej rozciągłości słuchacz nasz winien uwzględnić dzieje języka? Zaciekania nad jego początkami zamierzchłemi wyszły dzisiaj ze zwyczaju. Nadto, mowa, sama przez się i niezależnie od innych czynników, nie zdoła, według poglądu współczesnego, dostarczyć klucza do rozwiązania tak licznych tajemnic początku ras. Chodzi tutaj raczej o wy-

kształcenie zasadnicze w zakresie związku organicznego pomiędzy mową a myśleniem, a nadto ich rozwoju współzrędnego, rozważanego na podłożu ogólnej ewolucyi społecznej. A nie tylko wyrazy i myśli są w istocie swojej jedynie symbolami, są jeszcze symbole - pantominy i symbole pisane, jako też pasmo symbolów, służących do liczenia. Wszystkie te warunki wstępne obcowania pomiędzy ludźmi dadzą się rozpatrzyć pospólnie.

Przechodząc do rozbioru kształtów więzi społecznej, uczeń musi przedewszystkiem dotknąć zagadnienia o tem jakie przyczyny tworzą z ludzi jeden naród. Okaze się, iż ani wspólność krwi, ani to samo terytorjum, ani język nie dostarczają poszukiwanej spójni, ale tylko ten fakt, iż istnieje mniej lub więcej zwarta więź, ujmująca ludzi w społeczność polityczną. Ale skoro uporamy się z pierwotnym strojem ciała politycznego, przed nami ukazują się szranki, wewnątrz których moc cała wyśmienicie zarysowujących się ogniskowań ludzi sama naprasza się na bliższe zbadanie, na zewnątrz zaś ich domagają się takiego uwzględnienia różne stosunki społeczne nieco chwiejnego rodzaju. Z pośród urządzeń wewnętrznych ustrój rodziny następuje rozległe pole do poszukiwań, acz niekiedy inny ustrój, a mianowicie klan, odsuwa go na plan dalszy. Do tej samej rubryki należą obfite ustroje zreszenia w mniejszym lub większym stopniu dobrowolnego, go-

spodarczego więc, religijnego i t. d. Z drugiej strony, poza obrębem ciała politycznego, i to na wszystkich szczeblach kultury, istnieją porozumienia wzajemne, które miarkują wojnę, handel, podróże, obchody obrzędów wspólnych, wymianę idei. Całą tę moc różnych rodzajów współdziałania ludzkiego należy najpierw rozważać w jego pierwiastkach z osobna, a następnie w stosunku wzajemnym.

W ścisłym związku z przedmiotem powyższym pozostaje historia prawa. Właściwie każdy typ zreszenia posiada swoje prawo, przynagające jego uczestników do wypełniania pewnych obowiązków. Uczeń przejdzie odrazu od ustrojów społeczności do jej czynności najistotniejszych. Fakt zaś, iż u ludów mniej cywilizowanych prawo nie zostało ujęte w kodeks i opiera się na zwyczaju, ustrój zaś mający pieczę nad jego wypełnieniem, acz dostatecznie sprawny w działaniu swoim, jest przecież wielce chwiejny i przypadkowy, czyni wysłedzenie wzrostu urzędów prawnych rzeczą nie mniej doniosłą, acz bynajmniej nie łatwiejszą. Dzieje powagi społecznej są przedmiotem mocno pokrewnym. Działalność prawodawcza i sądownicza z jednej strony, rządu z drugiej są tylko różnymi postaciami tej samej czynności ogólnej. Zgodnie z następczością już wskazaną należy najpierw zbadać prawo i rząd, jako czynności, spełniane przez ciało polityczne za pośrednictwem jego przedstawicieli, a więc wodzów,

starców, przywódców wojennych, królów-kapłanów i t. d.; następnie prawodawstwo i karność w ciałach upodrzedzonych, takich, jak rodzina i klan, lub społeczności religijne, związki handlowe i inne; w końcu, umowy międzyplemienne wraz z istniejącymi rękojmiąmi ich przestrzegania.

Historia religii jest pobliskim przedmiotem, budzącym daleko posunięte zaciekawienie. Dostarcza ona głównego klucza do zrozumienia bardziej pierwotnych kształtów życia społecznego. Na tym szczeblu religia jest szańcem prawa i rządu. Moc zniewalająca obyczaju daje odczuć obecność swoją, otaczając się wyolbrzymiającą mgłą sankcyi tajemniczej; powaga zaś przywódców społeczności tkwi w większości wypadków w potędze nadprzyrodzonej, którą im przypisują. Należy zaznaczyć się starannie z religią, jeśli pragniemy zrozumieć, na jakiej drodze różne osobistości i całe ciała, ogniskujące w ręku swoim powagę, znajdują poparcie lub napotykają opór w swoich wysiłkach utrzymania karności w społeczeństwie. Ale prócz tych tak doniosłych poszukiwań istnieją jeszcze inne, niemniej poważne, do których badania nad religią torują dostęp. Jest to zagadnienie, jakim sposobem ludzie doszli do wyróżnienia doświadczenia podwójnego i do wydania, obok świata zewnętrznego zmysłów, drugiego świata, wewnętrznego, myśli i ustosunkowań jej właściwych. Wyobraźnia twórcza

jest władczynią tych czynności umysłowych, które ujmujemy w terminie dość niejasnym „myśli“; wyobraźnia zaś ta jest najbardziej czynną tam, u krawędzi zewnętrznej, w rutynicznej działalności umysłu naszego, kiedy nasuwające się nam pytanie, nie przyrodziane w szatę wyrazu członkowanego, promieniują w dziedzinę niepoznawalnego. Wśród ludów niższych, gieniusz ze swemi widzeniami uchodzi stale, zarówno w swoim własnym przeświadczeniu, jak i w przekonaniu swego społeczeństwa, za coś nadprzyrodzonego i świętego, a wszystko jedno, czy wydał on z siebie czyn zarządu lub rozporządzenie, wynalazek praktyczny lub dzieło sztuki, opowieść o przeszłości lub wizję przyszłości, wyleczenie lub niszczące przekleństwo. A tradycja społeczna karbuje w pamięci te objawienia i włączając do nich przyczynki tłumów ubogich duchem — my wszyscy bowiem miewamy własne sny i własne marzenia — wytwarza w postaci mitów, legend i opowieści, oraz w wielu innych kształtach artystycznych, nową podniecię natchnienia dla pokoleń przyszłych. Sztukę w większości wypadków, przynajmniej podczas okresów jej pierwotniejszych, da się badać w związku z religią.

O ile zaś prawo i religia nie wystarczają dla zdania sprawy z różnych sposobów zachowania się społecznego, nasz uczeń może je rozważać najwłaściwiej pod rubryką moralności. Kształty stosunku społecznego, sposoby wystę-

powania, nastroje uroczyste, wszystko to zostało nam narzucone z zewnątrz przez naszych współplemieńców, te normy zaś wywierają pomimo tego wpływ niemniej skuteczny, gdyż w zasadzie godzimy się na nie, jako na rzecz całkowicie zrozumiałą. Różnica pomiędzy obyczajem a wyższego rzędu moralnością powstaje za sprawą potrzeby bardziej naglącej w razie ciężenia na nas obowiązków bardzo poważnych, sankcyi zaświatowej, „zmysłu moralnego“ i wdraża nas w karby posługi pospólnej. A usiłując wyrobić sobie pogląd na to, w jakiej mierze pojęcia o tem, co jest dobre a co złe, panujące w rozpatrywanem społeczeństwie, wpływ wywierają, niepodobna wyłączyć z pod rozpatrzenia kar lub nagród, ferowanych przez prawo i religię; rzecz warta jest zachodów, a zasób poważny materyałów wesprze te usiłowania. Fakty dotyczące wychowania, które nawet u ludów najniższych przeciąga się aż do chwili dojrzałości męskiej, rzucają sporo światła na tę sprawę, a tak samo i zasady moralne, ujęte w tradycyjną wiedzę ludu, a więc w przysłowia, w bajki o zwierzętach, opowieści o bohaterach.

Pozostaje zbadanie osobistości odrębnej, rozpatrywanej sama w sobie. Niekiedy nauki społeczne lekceważą osobowość ludzką; tem gorzej dla społecznoznawstwa, które w mierze odpowiedniej przestaje być rzetelnem poszukiwaniem antropologicznem. Nasz uczeń powinien dopatrywać się oznak i wyników pobudki oso-

bistej w ciągu całej historii człowieka. Wolność wyboru doznaje ograniczeń za sprawą tego, pomiędzy czym mamy dokonywać wyboru. Tutaj więc należałoby mimochodem rozważyć rozwój tego, co dałoby się nazwać okazyą społeczną. Każdy ustrój moralny dąży do takiego wykształcenia ludzi, ażeby nasze „ja“, dające ku czemuś pobudkę, zlewało się w jedno z naszym „ja“ społecznym. Nawet samobójstwo nie jest sprawą własną człowieka — społeczeństwo zawsze głos zabiera w istniejącym kodeksie moralnym! A ponieważ puszcza się w niepamięć tę prawdę doniosłą, jako istnienie kontroli społecznej każe domyślać się iż istnieje jakaś wola, która w pół drogi przeciwstawia się tej kontroli, przeto będzie rzeczą pożyteczną, gdy kształcący się poświęci uwagę osobliwą a odrębną czynnikowi, tkwiącemu w osobowości ludzkiej. Ostatnim wyrazem antropologii jest rada: **Poznaj samego siebie.**

---

## ROZDZIAŁ II.

### Starożytność człowieka.

Historia, w węższym tego słowa znaczeniu, zależy od obecności dokumentów pisanych. W miarę tego, jak cofamy się wstecz, aż ku dobie, kiedy dokumenty takie stają się treści mglistej, przodkowie zaś lub poprzednicy bezpośredni ludów, które ukazać się mają na stronach historii, są spowici w opowieści legendarnej, domagającej się obfitego szperania w ziemi i posługiwania się szpadlem, stajemy w obliczu okresu pra-historycznego. Sięgając jeszcze bardziej w przeszłość, poza punkt, w którym pomniki pisane mają jakąkolwiek wartość, przejdziemy do okresu przed-historii.

Tutaj ktoś może zagadnąć, w jaki sposób badacz tego okresu przedhistorycznego zabiera się do pracy, jakim hołduje metodom kojarzenia faktów i w końcu jakie są źródła jego wiadomości.

Nadewszystko, co do metody. Przypuśćmy, iż rzesza malców gra w football i że ich odzież wierzchnia leży w nieładzie rzucona,



oraz, iż, mniejsza o przyczynę, pragniemy wiedzieć, w jakiej kolejności chłopcy na plac przybywali. W jaki sposób zabierzecie się do tej sprawy? Napewne podejście do którejś z gromad odzieży rozrzuconej i zwrócić uwagę na to, że surdut jednego z wyrostków leży pod kamizelką innego. Udając się do innej gromadki, spostrzeżecie może, iż któryś z malców rzucił czapkę swoją na jedną kupę, pasek zaś na inną. Te okoliczności pozwolą wam odtworzyć coraz dokładniej kolejność przybycia wszystkich. Może zdarzyć się, iż niektóre z gromadek odzieży zostały przewrócone. Naówczas weźmiecie pod uwagę i te zakłócenia w swoim obrachunku. Naturalnie, jeśli któryś umyślnie sprawił nieład w swojej gromadzie, naówczas nie wiele wygracie. Jednak, jeśli liczba gromadek jest wystarczająca, oraz odzież kładziono prawidłowo, istnieje wszelaka możliwość, iż w śmienicie odgadniecie, który malec kogo wyprzedził, chociaż wątpliwa, czy zdołacie z jakimkolwiek przybliżeniem obliczyć, czy Tomek przyszedł wcześniej od Ryszarda o pół minuty lub o całe pół godziny.

Takim jest sposób postępowania badaczy okresu przedhistorycznego. Nosi on miano metody straty graficznej, gdyż opiera się na wyznaczeniu pokładów (strata).

Weźmy prosty wypadek, w jaki sposób pokłady opowiadają o sobie. Wprawdzie przykład ten nie wyróżnia się niczem osobliwem prócz

tęgo, że osobiście mogłem go badać. Kopano miejsce dla zbiornika gazowego na łące w pobliżu miasteczka St. Helier (w. Jersey) i dotarto świdrami aż do podłoża skalistego, na głębokości 30 stóp, odpowiadającego z gruba obecnemu średniemu poziomowi morza. Pokłady nowoczesne pokryte łąką ciągnęły się na głębokości 5 stóp. Poniżej znajdowała się warstwa torfu, powstałego z gnicia mchów, mająca od jednej do trzech stóp grubości. Kiedyś istniało tu trzęsawisko, a o ile wolno wnioskować z podobnych odkryć gdzieindziej, było to akurat przed początkiem epoki bronzowej. Pod torfem leżał muł, zawierający w sobie muszle morskie, grubości 2—3 stóp. Widoczna, iż wyspa Jersey w tym okresie uległa zalewowi. Jeszcze niżej ciągnął się pokład torfu, mający grubości 5—7 stóp, a w nim znajdowały się olbrzymie pnie drzewne, szczątki wspaniałego ongi lasu; który wymagał dla siebie gleby mniej lub więcej wyniesionej. W tym torfie wykopano oręż z kamienia gładzonego, a na dnie samem dwie skorupki garnka, z których jedna była ozdobiona niewielkimi wyłobieniami. Te szczątki wystarczają do udowodnienia, iż puszczaki ówczesni należeli do epoki wczesnej neolitycznej. Jeszcze głębiej, na przestrzeni czterostopowej, szedł muł obfitujący w muszle morskie — świadectwo nowego zalewu wyspy przez wody morskie. Pod mułem znajdował się pokład 6—8 stóp znaczniejszej żółtej gliny z ułomkami skały, z da-

leka przybyłemi, towarzyszący wielkim wylewom epoki lodowcowej. Powierzchnia ziemi w tem miejscu musiała wtedy znajdować się ponad wysokością przypluwów, gdyż tylko w takich warunkach lodowce mogły pozostawić swoje osady. W końcu warstwa 3—4 stóp błękitnej gliny leżała bezpośrednio na skale, a była prawdopodobnie wytworem morza i w ten sposób świadczyłaby o swojej obecności na tym samym poziomie w tej przeszłości zamierzej.

W powyższym przykładzie pokłady mają piętno wyłącznie geologiczne. Człowiek ukazuje się tylko w jednym miejscu. Ale mógłbym wziąć przykład wymowniejszy, a nawet najwymowniejszy ze znanych mi osobiście, a mianowicie dotyczący z okolic St. Acheul, przedmieścia miasta Amiens w Francyi północnej. Commont znalazł tam narzędzia ludzkie typów odmiennych aż w ośmiu z pomiędzy 11 czy 12 pokładów, piętrzących się nad sobą. Opowieść o tem zajęłaby za wiele miejsca. Ale bądź co bądź godziło się rozpocząć rzecz naszą nadewszystko od przykładu geologicznego. Albowiem geolog zaopatruje nas w czasomierz przedhistoryczny. Badacze okresu przedhistorycznego znajdują skalę potrzebną w czasie geologicznym; t. j. nie w liczbie lat, jeno w liczbie wieków nieokreślonego trwania, odpowiadających każdy wybitnym przeobrażeniami w ukształtowaniu powierzchni ziemi. Dopiero po upływie znacznego przeciągu czasu

profan zrozumiał, iż do niczego nie doprowadzi go rozpytywanie się przedhistoryka, dumnie potrząsającego czaszką lub narzędziem z kamienia: przed ilu laty żył ich posiadacz. Przypominam sobie, iż zadano właśnie takie pytanie wielkiemu uczonemu, Cartailhacowi, gdy wykładał o rysunkach przedhistorycznych, odkrytych w jaskiniach francuskich i hiszpańskich. Ten odrzekł: pono nie mniej nad 6000 lat i bodaj nie więcej nad 250.000! Zrębnem naszego współczesnego sposobu określania czasów przedhistorycznych jest teoria geologiczna o epoce lodowcowej, zawierającej w sobie pewną liczbę zlodowaceń krańcowych, przedzielonych przerwami łagodniejszymi. Jest rzeczą geologów, których może wesprą astronomowie, rozwiązanie zagadnienia, dlaczego wogóle epoka lodowcowa istniała, jaką była liczba, rozciągłość i względna trwałość jej podniesień się i poniżeń; oraz w jakim czasie w przybliżeniu ustała, ustępując miejsca warunkom umiarkowanym, z których korzystamy obecnie. Przedhistorycy, ze swojej strony, poprzestają na poszukiwaniu śladów, które pozostawił człowiek ówczesny, w obrębie tego, z góry im danego schematu, bez względu na jego nieokreśloność. Osiągają oni codziennie zgodność coraz doskonalszą pomiędzy sobą, a także z geologami, aż pewnego dnia, może jutro nawet, będziemy wiedzieli dokładnie, w jakiej kolejności malcy, którzy złożyli odzież swoją, przybywali na plac zabawy.

Niekiedy nie odwołujemy się zgoła do geologii. Czytelnik zechce mi towarzyszyć do którejś z jaskiń zbadanych, dajmy na to, do jednej ze sławnych jaskiń mentońskich, na Rivierze włoskiej, tuż powyżej kąta południowo-wschodniego Francji. Człowiek zamieszkiwał te pieczary w ciągu niezmiernych okresów czasu: rozkopując je, odsłaniając jedną warstwę po drugiej jego szczątków. Ale pamiętajcie o tem, że w takiej jaskini możecie być łatwo wprowadzeni w błąd przez nieład w gromadzie odzieży, t. j. wskutek odwrócenia pokładów. Człowiek, którego pozostałości tworzą pokład w połowie wysokości jaskini, mógł wykopać głęboką jamę w dnie pieczary w celu pochowania zmarłego przyjaciela, a z nim położył, co wolno nam przypuścić, także nieco sprzętów, które mogłyby się przydać w życiu pozagrobowym. A więc narzędzie jednego okresu będzie leżało tuż obok sprzętu epoki wcześniejszej, a nawet może o parę stóp poniżej. Przed historyk musi wtedy uwzględnić ogólną kolejność kształtów, t. j. typy narzędzi i umieścić narzędzie każde w pokładzie właściwym. Na szczęście, mody ongi wykazywały większą dążność do stateczności. Dlatego dla badacza, zajmującego się czasami przedhistorycznymi, dwa krzemienie, nieco odmiennie ociosane, mogą służyć jako wskazówka odrębnych okresów kultury, tak samo jak waza grecka i kufel nie-

miecki dla uczonego, poświęcającego się czasem późniejszym.

Ale dosyć o metodzie, odwołującej się do następności pokładów! Słowo jeszcze o głównych źródłach, z których badacz czasów przedhistorycznych czerpie wiadomości swoje. Prócz świadectw geologicznych istnieją trzy zasadnicze kategorie świadectw, pozwalających wyróżnić epoki przedhistoryczne. Są to kości zwierząt, kości ludzkie i wyroby ręki ludzkiej.

I znowu odwołam się do wypadku, o którym mam wiadomość z pierwszej ręki. Na w. Jersey, w pobliżu zatoki St. Brelade, istnieje jaskinia, którą rozkopaliśmy poziomo poprzez dwadzieścia stóp nagromadzonej gliny i rumowisk skały, prawdopodobnie skutków ostatnich przewrotów epoki lodowcowej, aż w końcu natrafiliśmy na ognisko przedhistoryczne. Znajdowały się tam wielkie kamienie, otaczające ongi ognisko, oraz gniazda popiołu. W pobliżu było widać gromadkę ogryzków jadła. Kawałki zniszczonych kości nie wiele obiecywały; jednak, doręczone znawcy, przemówiły. Rzekły, iż są szczątkami nosorożca, sierścią pokrytego, tego niezgrabnego towarzysza mamuta, renifera, dwóch odmian konia, z których jedna była koniem niskiego wzrostu, tułającym się jeszcze dzisiaj w pustyniach Mongolii, wołu i jelenia. Zaiste, warunki polowania na w. Jersey podówczas, kiedy ta tworzyła część zlodowaciałego lądu, były pomyślniejsze niż obecnie!

Nadto w gromadce ogryzków znaleziono 13 czyichś zębów. Czy jedzono i człowieka? Niepodobna było dociec tego, ale ponieważ właściciel ich liczył około 20—30 lat, trudno przypuścić, ażeby zęby same wypadły. Rzeczne żarna! Inny specjalista oświadczył, że korzenie tych zębów wytrzymałyby wszelkie porównania. Zęby są tego rodzaju, iż towarzyszyły potężnej szczęce, pociągającej za sobą rozwinięte łuki brwiowe dla przeciwdziałania wysiłkowi podczas żucia, wogóle zaś naprowadzają na typ czaszki, znany pod nazwą neanderthaleńskiego, typ obdarzony znacznym mózgiem, ale jednocześnie niezwykle małpokoształny.

W końcu biesiadnicy pozostawili dokoła mnóstwo nożów. Ci ludziska pielęgowali własny a statecznie stosowany sposób odłupywania szerokiego a płaskiego wióra od rdzenia krzemienego; te rdzenie leżały tuż na miejscu, udało się nawet niektóre z wiórów umieścić w ich położeniu pierwotnem. Pozostawiali jedną stronę wióra nietkniętą, wygładzali zaś powierzchnię drugiej, a ponieważ krawędzie zużywały się, naprawiali je, posługując się młotem kamiennym (znaleziono go także w pobliżu ogniska), aż w końcu wiór tracił kształty swoje owalne i stawał się trójkątem spiczastym. Powołano do pomocy trzeciego specjalistę, który bez najmniejszej trudności dojrzał w tych nożach wyrób znamieny epoki, znanej pod nazwą

mousterieńskiej. Gdyby któryś z tych obrobionych krzemieni jerseyjskich położono obok takiego samego narzędzia z jaskini Le Moustier (na prawym brzegu Wezery, w Francji południowo-środkowej), nie zdołalibyście powiedzieć, który skąd pochodzi.

Zgarniając wszystkie te świadectwa pospołu, możemy wyrobić sobie pojęcie, wprawdzie szwankujące, jednak dobrze uzasadnione, o myśliwcu doby lodowcowej, który sprostął nosorożcowi, sierścią pokrytemu, umiał ugotować kawał jego mięsa, posiadał noże krzemienne do krajania i dobre zęby do żucia, wogóle wiedział, jakim sposobem, w tych lichych warunkach, zapewnić sobie wygody i zachować rasę swoją przy istnieniu.

Istnieje jeszcze jedna kategoria świadectw, na którą badacz czasów przedhistorycznych może powołać się, acz z powściągliwością należyłą, gdyż dowody te zawsze mogą w błąd wprowadzić, dostarczają zaś korzyści wątpliwych. Ludy pierwotne tegoczesne prowadzą tryb życia, który w zarysie ogólnym nie odbiegł doszczętnie od bytu ludów epoki starodawnej. Badacz owych czasów może rozczytywać się w dziełach Gillena i Spencera o tubylcach Australii środkowej, ale tylko po to, ażeby wynieść przeświadczenie niezłomne, iż lud ten, którego czaszki wykazują pokrewieństwo niejaki z typem neanderthaleńskim i który używa noży krzemiennych, tem nie mniej



posiada umysł ruchliwy, innemi słowy, że życie, w swoim zakresie dość bogate, może pozostawić po sobie ubożuchną (wiązaną) dowodów. Ale gdy rzecz dochodzi do czerpania szczegółów, do zatykania otworów w sprawozdaniu przedhistorycznem ułomkami i pakułami współczesnemi, to z zadania tego literatura wywiązuje się lepiej niż nauka. Bądź co bądź, Australczycy, Tasmańczycy, Buszmeni, Eskimowie, o których tyle zaczynają obecnie rozprawać uczeni, zajmujący się czasami przedhistorycznemi, są naszymi współrówieśnikami, t. j. mają za sobą taką samą przeszłość jak i my sami. A w ciągu setki tysięcy lat, albo przeciągu tylko nieco odmiennego, nasz szczep oglądał tyle zmian, że i szczepy tamte bodaj otarły się o parę z tych przekształceń.

Zaznajomiwszy się z metodami i źródłami, przejdziemy do wyników otrzymanych. Należy wziąć do ręki któryś z podręczników, ażeby zaznajomić się z długim spisem okresów przedhistorycznych, których wyróżnienie okazało się niezbędne w obrębie Europy zachodniej, że już nie mówimy o zakłóceniach wywoływanych z powodu uwzględnienia pozostałych części świata. Najpierw idzie epoka kamienia ze swymi trzema wielkimi działami: eolitycznym (greckie *eos* = zorza, *lithos* = kamień), paleolitycznym (*palaeos* = dawny) i neolitycznym (*neos* = nowy), oraz ich licznemi poddziałami; następnie, epoka miedzi i brązu, po niej epoka żelaza,

będąca u progu prahistorii. Ograniczę się w swoich uwagach tylko do Europy. A zatem nie będę się zastanawiał nad takimi zagadnieniami, kim byli twórcy nasypów w Ameryce północnej, ani czy czaszka calawerska i inne szczątki, znalezione w zwirze złotodajnym Kalifornii, należą istotnie do rzędu najstarożytniejszych świadectw człowieka na ziemi. Nie będę także roztrząsał, czy zabarwione na czarno a zwierciadlane narzędzia krzemienne, znalezione na wysokim poziomie przez Henryka Balfoura poniżej wodospadów Wiktoryi i położone tam może wcześniej, zanim rz. Zambesi wyłóbiła w skale bazaltowej swoją przepaść dzisiejszą, mogą służyć za dowód, iż i w Afryce południowej człowiek żył i działał przed niezmiernymi tysiącami lat. Nadto poprzestaną jedynie na okresie kamienia, chodzi mi bowiem głównie o uwydatnienie dalekich rodowodów szczepu, z którego my wszyscy pochodzimy.

A ponieważ starożytność człowieka jest przedmiotem mego rozbioru bezpośrednio, nie mogę uniknąć powiedzenia słów paru o eolitych, aczkolwiek sprawa jest tego rodzaju, iż, na samą wzmiankę o nich, jedni badacze przeszłości przedhistorycznej skaczą innym do oczu. Zresztą są eolity a eolity: wiele okazów belgijskich Rutota pozyskało uznanie powszechne. Popatrzmy jednak, czy nie znajdziemy eolitów we własnym domu. Nie mogę wskazać czytelnikowi lepszej okazji nad przechadzkę do Ightham (Kent)

i zwrócenie się do Benjamina Harrissona. W swoim pokoju wystawił on bez liku eolitów, które pozbiierał podczas tak rzadkich chwil wytchnienia od zajęć. Zapał jego działa zarażająco, kiedy z umiłowaniem obraca eolity w rękę swoim i pokazuje ich cechy. Ale spodziewamy się, iż gość zachowa się w sposób powściągliwy. Jednak droga do Ash'u, na grzbiecie wzgórzy, znanych pod nazwą North Downs, jest niedaleka, acz ciężka: tam znajdują się obszary myśliwskie Harrissona. Po tych miejscach kamienistych oprowadzał on J. Prestwicha i J. Evansa i zdołał przekonać jednego z nich. Zwróćcie uwagę na te szcerki barwy rdzawo-czerwonawej, nieprawidłowo rozrzucone gniazdami w polu, jak gdyby były szczątkami jakiegoś dawnego strumienia czy powodzi. Z ziemi, jeśli szczęście wam sprzyja, może podnieście niewątpliwy paleolit typu wczesnego, pokryty warstwą rdzawo-czerwonego szcerku, świadcząca, że leżał na tem miejscu w ciągu wielu wieków. Ale zarówno na powierzchni, jak i w głębi tych pokładów, mających około 5—7 stóp grubości, zdarza się i innych kształtów kamień: eolit. Wyróżnicie go z pośród pospolitych kamieni częściowo z powodu jego kształtów, częściowo zaś za sprawą prostaczych i mocno zużytych obciosañ, które, stosownie do waszego usposobienia, przypiszeć działaniu ręki ludzkiej lub przyrody. A Harrison oświadczy wam, iż jeśli poprzestaniecie na je-

dnym okazy, to napewno zaliczycie go do minerałów, które znajdujemy na każdej drodze. Ale ułóżcie w jednym rzędzie całe ich mnóstwo — ciągnie on — i widok tych samych kształtów, powtarzających się ustawicznie, przekona was w końcu, iż człowiek, celowo działający, nie zaś przypadek bezmyślny pracował nad niemi.

Pozostawiam Harrisonowi okazyę zrobienia z was przyjaciół lub wrogów jego eolitów, sam zaś dorzucę jedno słówko co do prawdopodobnego wieku tych szczerków, zawierających w sobie eolity. J. Prestwich usiłował rozwiązać to zagadnienie.

Kent i Sussex ciągną się obecnie ku wschodowi mniej lub więcej równoległymi grzbietami, wysokimi w przybliżeniu na 1000 stóp, pomiędzy którymi idą głębokie doliny. Ale te doliny nie istniały niegdyś, i olbrzymia kopuła kredy, około 2.500 stóp wysoka na swoim szczycie (niektórzy podają liczby niższe), pokrywała całą tę okolicę. Dlatego rzeki, jak Darenth i Medway wyźłobiły sobie łożyska po przez North Downs i wpadają do Tamizy, zamiast kierowania się na wschód wzdłuż dolin późniejszych. Jęły zaś ryc swoje koryta w miękkiej kredzie w owych czasach, kiedy wody spływały ku północy i południu ze stoków tej kopuły olbrzymiej. Szczerki czerwone wraz z eolitami — wnioskuje Prestwich -- zostały odłożone na pochyłości północnej, kiedy kopuła

była jeszcze niezniszczona, gdyż zawierają w sobie ułamki skały, idącej prostopadle do dolin obecnych. Ale jeśli eolity są dziełem człowieka, to naówczas istota ludzka polowała na zwierzynę i ćwiartowała ją na szczycie kopuły. Dreszcz nas ogarnia, kiedy pomyślimy, przed ilu laty to było...

Przechodzimy do paleolitów. Co do nich wszelkie wątpliwości pierzchnęły. Ale przed półwiekiem, kiedy abbé Boucher de Perthes znalazł je w żwirach rzeki Somme, w okolicy Abbeville'u i pierwszy ogłosił je był za to, czem są w istocie, postępkiem swoim wywołał nie małe zgorszenie. Ale dzisiaj świat cały pogodził się z tem, że owe ordynarne, odbarwione, mocno otarte kamienie, niekiedy mające kształt gruszki, a znajdujące się także na wysokich tarasach, przez Tamizę odłożonych, są narzędziami i orężem człowieka, który miał dobre mięśnie w swoim ramieniu. A także sporo sprawności w palcach! Albowiem obciosanie krzemienia z obu stron, dopóki nie przybierze kształtów względnie symetrycznych i ustalonych, bynajmniej nie jest rzeczą tak łatwą, jak to z pozoru wygląda. Spróbujcie sami wyciosać taki krzemień i zobaczycie, jaką to trudność stanowi. Wracając na chwilę do eolitów, możemy z całą słusznością wnioskować, iż kształty bardziej prostacze niż mocno otarte narzędzia paleolityczne, znalezione w wczesnych pokładach żwiru rzeczno-go, muszą przecież gdzieś istnieć. Inna rzecz,

czy możemy do nich zaliczyć eolity Harrisona. Zaprawdę, Tasmańczycy okresu nowoczesnego ciosali swoje narzędzia w sposób tak ordynarny, iż profan jakiś, nieobeznany z ich historią, wzięłby większą część tych wyrobów za pospolite okazy kamienia. Z drugiej strony, w miarę tego, jak posuwamy się od wcześniejszych ku późniejszym narzędziom, znajdującym w pokładach żwiru, spostrzegamy, iż umiejętność ciosania doskonali się zwolna. Kształty stają się bardziej prawidłowemi i subtelniejszymi i to aż do czasu, który obrano jako granicę pierwszego z wielkich poddziałów, na jakie rozdzielano olbrzymią epokę paleolityczną. Człowiek późniejszej doby St. Acheulskiej był niewątpliwie artystą w swoim rodzaju. Przyglądając się jego wyrobom w muzeum, prawdopodobnie nie obojętnem okiem będziecie spoglądali na ich powaby. Ale poszperajcie sami w łożysku żwiru, póki traf szczęśliwy nie da wam do rąk takiego cacka: delikatnie usuniecie palcami swojemi błoto, które przyłgnęło do jego powierzchni, i odsłonicie jego kształty owalne lub w rodzaju piramidy, jego krawędź prostą, dokładne a subtelne ciosy na obu jego stronach; zawiniecie go w chustkę troskliwie, zabierzecie do domu obmyć i aż do pójścia na spoczynek nocny będziecie napawali się błyszczącą łagodną barwą tego przedmiotu, który nie w większej mierze jest sprzętem niż kamień drogocenny. Ci ludzie czasów dawnych

oddawali się duszą całą swojej pracy, a dopóki ktoś nie zdoła współczuć z nimi, nigdy nie będzie dobrym antropologiem!

Podczas następnego wielkiego działu epoki pleleolitycznej odbywa się stanowcze uwstecznienie kultury, gdy chodzi o jakość wyrobów z krzemienia. Są to czasy Mousterieńczyków, tych, którzy spożywali na w. Jersey nosorożców. Ich narzędzia z kamienia, obrobione tylko z jednego boku, są lichotami w porównaniu z wyrobami ostatnich czasów doby St. Acheulskiej, aczkolwiek były wśród nich w użyciu i zwyrodniałe kształty sprzętów tej ostatnio wymienionej epoki. Cóż takiego się stało? Możemy robić jedynie przypuszczenia. Prawdopodobnie ta zamiana na gorsze pozostaje w jakimś związku z warunkami klimatycznymi. Ruttot mniema, że podczas epoki lodowcowej każde silniejsze zlodowacenie kończyło się olbrzymimi powodziami, zwiastującymi powrót łagodniejszego powietrza. Jeden z tych potopów musiał, jego zdaniem, zatopić rasę St. Acheulską, obdarzoną taką zręcznością palców, i pozostawił wolny przestwór dla nadejścia Mousterieńczyków z ich niższą kulturą. Może byli oni jeszcze bardziej upośledzeni pod względem swego typu cielesnego\*).

\*) Do nich należą napewno czaszki neanderthaleńskie, mające bodaj wygląd małopokształtnej. Jeśli czaszka, znaleziona w Galley Hill (w pobliżu Northfleet, Kent) wśród żwiru, odłożonego przez Tamizę, kiedy rzeka ta miała ło-

Co do Mousterieńczyków należy ustalić fakt, iż mieli zwyczaj zamieszkiwania jaskiń, a nawet takim był może ich stan pierwotny. Wprawdzie nieco narzędzi typu wcześniejszego napotkano i w jaskini Moustier, jako też w innych, między innymi w sławnej jaskini około Torquay (Kent). Może klimat zaważył na tem wepchnięciu człowieka pod ziemię. Ale czy dlatego iż musieli, czy ponieważ lubili pobyt w jaskiniach, bądź co bądź Mousterieńczycy przebywają w nich w ciągu niezmiernego czasu, wykazując postęp nieznaczny. Nauczyli się jednak zaostrzać kości i przekształcać je na narzędzia. Jednak jaskinie i kości odegrają rolę pocześniejszą w czasach, które dopiero mają nastąpić. Ten trzeci i ostatni podział okresu paleolitycznego rozwijał się stopniowo, aż wydał z siebie złote czasy aryzmu. Nie mogę zatrzymywać się nad jego wspaniałością pod tym względem. Muszę więc pominąć piękne wyroby z krzemienia, jako to cienkie narzędzia kształtów liścia wawrzynowego, powszechne we Francyi, lecz rzadkie w Anglii, należące do typu solutreńskiego (Solutré w departamencie Saone i Loary). Muszę też opuścić wspaniałe okazy francuskie rzeźb

---

zysko swoje o stóp prawie 90 wyżej niż dzisiaj, pochodzi z wczesnego okresu paleolitycznego, jak niektórzy przypuszczają, wtedy istniałby, w tych czasach zamierzchłych, inny typ ludzki, posiadający piękne wysokie czoło i umiarkowane łuki nadoczne, słowem mniej ordynarny okaz ludzkości niż nasz Mousterieńczyk ze swemi zębami-żarnami.



i rysunków na kości, w tej liczbie na kości mamuta; Anglia w tym razie może poszczycić się jedynie rzeźbą, wyobrażającą łeb koński, a znalezioną w jaskini Creswell Crags (Derbyshire). Możecie obejrzeć te okazy lub podobny tych pięknych rzeczy, w każdym muzeum; ale rzeczy, o których zamierzam mówić, muszą pozostawać zawsze tam, gdzie twórcy zostawili je, a mówiąc to, mam na myśli malowidła i rzeźby na ścianach jaskiń francuskich i angielskich.

Raczej towarzyszyć mi w swojej wyobraźni najpierw do jaskini Gargas w pobliżu Aveniron, znajdującej się w cieniu góry Pic-du-Midi (dep. Górnych Pyrenejów). W połowie wysokości wzgórza, wśród dziko sterczących złomów skały, osadów epoki lodowcowej, istnieje niewielki otwór, przez który przeciskamy się do niskiej, ale obszernej groty, ciągnącej się wśród mroków na przestrzeni 500 prawie stóp. Tuż przy wejściu, któredyś światło dnia przedostaje się swobodnie, znajdują się szczątki ogniska; ogryzki i porzucone narzędzia, pomieszane z popiołem, ciągną się na znacznej głębokości. Rzut oka na te narzędzia, naprzykład na niewielką skrobaczkę z krzemienia, o wązkim wysokim grzbiecie, i prostopadłych ciosach na bokach, wystarcza do udowodnienia, iż ludzie, którzy ongi grzeli ręce swoje u ogniska, należeli do tak zwanego typu aurignackiego (Aurignac w departamencie Górnej Garonny, we Francji południowej), t. j. żyli u zmięchu trzeciego

szczebla epoki paleolitycznej. Bezpośrednio po ich zniknięciu przyroda pono opieczętowała jaskinię, i te pieczęcie spoczywały na niej aż do naszych czasów, tak iż możemy ją badać osobiście.

Weźmy światelko i zbadajmy tajemnice jaskini. Chłodna jak lód. Potoki, które wyźłobiły ją w wapniaku, wyżarły wzdłuż ścian zaokrąglone nisze. Na białej ich powierzchni, pokrytej ochraniającą powłoką nacieku wapiennego, spostrzegamy na pierwszy rzut oka zarysy wielu rąk. Są to po większej części ręce lewe, świadczące, iż Arignakczycy posługiwali się, jak i my, ręką prawą, i rozprawiali barwnik czarny, otrzymywany z manganu, lub ochrę czerwoną, pomiędzy palcami rozpozartemi, jak i my postępowalibyśmy w takim razie. Rzecz ciekawa, zwyczaj ten odbijania rąk na ścianach jaskiń dochował się pomiędzy Australczykami, chociaż ci na nieszczęście zachowali w tajemnicy powody tego, o ile istnieją tu jakiegokolwiek głębsze pobudki prócz chęci rozrywki. I na podobieństwo Australczyków i innych ludów pierwotnych człowiek doby aurignackiej ucinął jeden palec — prawdopodobnie z pobudek religijnych, o ile możemy wnioskować z okaleczonego widoku wielkiej liczby rąk.

Stosowano barwniki jedynie do tego rodzaju ozdób ściennych. Ale ostry krzemień jest wysmienitym rylcem. Myśliwy aurignacki lubował się w takim odtwarzaniu rzeźbiarskiem

kształtów zwierzyny, którą umysł jego niewątpliwie zaprzętał się podczas dnia i nocy. Jego wysiłki w tym kierunku przypominają nam raczej ćwiczenia naszych malców w szkole. Spojrzyjcie chociażby na tego bawołu. Pysk jego oddany jest z boku, ale róg, zarówno prawy jak lewy, z przodu. Nasz artysta zaledwie naszkicował nogi. Wyraźny brak wprawy zniewolił go do stworzenia czegoś, co jest raczej symbolem przedmiotu, niż jego wizerunkiem. Idziemy coraz dalej wśród przeraźliwych mroków, i dołączamy wciąż nowe okazy do naszego zwierzyńca przedhistorycznego, w tej liczbie rzadki rysunek ptaka, przypominającego niezmiernie swemi kształtami pingwina. Ale pamiętajcie, ażebyście nie wpadli do okrągłej jamy w dnie jaskini. Jest bardzo głęboka, przeszło czterdziestu niedźwiedzi jaskiniowych złożyło tam swoje skielety, a wśród nich wasz zajmie niewiele miejsca.

Dnia następnego udamy się do departamentu Niższych Pirenejów, ażeby obejrzeć inną jaskinię, w Niaux, hen wysoko w dolinie, wyżłobionej prawie aż do wierzchołka przez dawny lodowiec. Jaskinia ciągnie się na przestrzeni prawie mili (angielskiej). W ciągu prawie pół mili będziecie musieli niezgrabnie przedostawać się pomiędzy głazami i stalaktytami, że już nie wspominać o zwężeniu jaskini, takim, iż odstraszy człeka dobrej tuszy. Aż w końcu jaskinia staje się obszerniejsza. Znaleźliście się w ol-

brzymiej katedrze podziemnej, którą człowiek przedhistoryczny obrał za przybytek swoich obrazów. Jest to ostatnie pokolenie tego szczepu: w ciągu wieków zaprawiło się do rysunku poprawnego. Spójrzycie na śmiałe barwy, czarne i białe, na tym wizerunku małego konia, z rozwiewną grzywą i ogonem, gładkim kadłubem i zręczną mordą o płaskich nozdrzach. Ma on w poprzek 4—5 stóp, a przecież ani o cal jeden nie ztracono proporcji. I to samo niemal da się powiedzieć o każdym z pozostałych pięćdziesięciu, a nawet więcej wizerunków zwierzyny. Ci artyści umieli odtworzyć to, co mieli przed swemi oczyma!

A nadto umieli malować na ścianach utwory wyobraźni swojej. Istnieją tam całe pasma symbolów, które nie dadzą się, może po wiekuistość, odgadnąć. Kropki, linie i różne zakrętasy niewątpliwie są pismem obrazowem. Ale czy zdołamy wyłuskać ich znaczenie? Może uda się jakoś. Oto dwa znaki, jak gdyby dwie różnego rodzaju maczugi do miotania; bumerangi australskie nie zbyt się różnią od nich. Na lewo od nich znajduje się gromada punkcików, wyglądająca na wzór jakiś, a w tej liczbie dwukrotnie powtarza się ten sam schemat kropki pośrodku, otoczonej przez koło, zrobione z innych kropek. Jeszcze dalej na lewo sterczy wizerunek malowany bawołu, a właściwe połowa przednia jest barwna, tylną jest występ skały, pozostawiający wrażenie płaskorzeźby.

Bawół podniósł się w tył na swoich przednich biodrach, i właśnie w tem miejscu znajduje się plama barwy czerwonej, jak gdyby rana zięjąca powyżej serca. Postarajmy się odgadnąć tę zagadkę. Może zawiera się w niej zaklęcie, które w przybliżeniu brzmiałoby w sposób następujący: tym orężem i za pomocą tych środków czarodziejskich, tworzących koło, obyśmy zdołali upolować tłustego bizona, o! wy, bogi mroków! Skazani na taki pokarm, ludzie ci nie dla prostej igraszki zapuszczali się na przestrzeni pół mili (ang.) w szczelinę górską i pozostawiali malowidła na ścianach! Jest to miejsce posępne, i ośmielam się twierdzić, że większość z pośród nas nie zgodziłaby się spędzić tam nocy w samotności, chociaż wiem, iż człowiek przedhistoryczny to robił. Ujrzymy w toku dalszym, iż malowidła zwierzyny na ścianach, może nie oddane z takim życiem, jak w owych czasach zamierzchłych, przecież o tyle dobrze uchwycone, że pozwalają na rozpoznanie okazów, tworzą w Australii część ceremonii uroczystych, które w przekonaniu tubylców winny zapewnić im pomyślność na polowaniu. Wolno domyślać się, iż przed wielu wiekami podobne obrzędy obchodzono w jaskini Niaux. Zaprawdę, była to swego rodzaju świątynia! A kiedy biorę pod uwagę rzeźbione kolumny stalaktytów, sklepienia krzywe nisz i kaplic bocznych, lśniące białe ściany, i mętne pomroki, rzucane jakgdyby na szyderstwo przez nasze potężne lampy, to py-

tam się, czy człowiek kiedykolwiek wznosił swego ducha w świątyni wspanialszej?

Zabrakłoby mi czasu, gdybym poprowadził was teraz do jaskini Altamirskiej w pobliżu Santanderu (w Hiszpanii północno-zachodniej). Ujrzelibyście tam arcydzieła jeszcze późniejsze malarstwa skalnego, który rozstał się z barwami jedynie czarną i białą i posługiwał się odcieniami barw o wiele swobodniej. Sądzę, iż nawet robi to zanadto swobodnie. Albowiem chociaż artysta panuje całkowicie nad swoim materiałem prostaczym, przecież wykazuje dążność niejaką ku lekceważeniu rzeczywistości, nadając zwierzętom postawę, raczej bijącą w oczy, niż naturalną, i obdarzając ich mordy niekiedy, przynajmniej odniosłem takie wrażenie, wyrazem niemal ludzkim. Cokolwiek zresztą sądzić będziemy o podobieństwie tych zwierząt, rysowanych tak, ażeby przypominały człowieka, jednak jest rzeczą ustaloną, że w pokrytych malowidłami jaskiniach tego okresu ludzie sami mają zawsze głowy zwierzęce, jak gdyby byli istotami mitologicznymi, a więc półludźmi, półzwierzętami. A najprawdopodobniejsza, iż są to postacie przebranych tancerzy. W jednym miejscu, a mianowicie na występie skały w Cogul w pobliżu Leridy, od strony hiszpańskiej Pirenejów, rysunek odtwarza gromadę płasających kobiet, bez masek, ale ubranych odpowiednio do okazji. Mają na sobie wysokie kapelusze czy w ten sposób

upięte włosy, obcisłe kamizele i krawędzie, zaostrzone w kształcie dzwonów. Zaprawdę, przyglądając się temu rysunkowi, odnosimy wrażenie iż przed nami znajduje się współczesna ryccica z modami, a jednocześnie widać wszędzie dokoła liczne rysunki rąk i nawet, jak to oglądałem na własne oczy w Niaux, w piaszczystym dnie stwardniałem za sprawą nacieków stalagmitowych, odcisk istotny nogi. To wszystko nawiązuje jakąś bliskość pomiędzy nami a naszymi poprzednikami paleolitycznymi, chociaż wieki niezmierzone nas oddzielają od tej epoki.

Zanim zakończę rozdział niniejszy, chciałbym powiedzieć jeszcze słów parę o człowieku neolitycznym, przebywającym w obrębie Europy zachodniej. Nadawał on często, acz nie zawsze, narzędziom swoim powierzchnię gładzoną, czego nie robił poprzednik jego z czasów paleolitycznych. Spodobało się wszystkim uważać tę cechę za wyróżniającą ten okres. Ale byłoby to wielkim błędem, gdybyśmy zapomnieli, iż łącznie z tą różnicą podrzędną idą inne, silniej zaznaczające przeciwstawność pomiędzy dawnymi a nowymi typami kultury. Rzecz domaga się udowodnienia, czy rasy paleolityczne posługiwały się wogóle wyrobami garncarskimi lub czy oswoiły zwierzęta, chociażby tłustego konia-kuca, którego mięso tak chętnie spożywały, albo czy uprawiały rośliny. Ludy neolityczne jeły się, prędzej lub później, wszystkich

tych czynności. Nie dziw, iż człowiek paleolityczny musiał opróżnić tym ludom miejsce, gdyż nie mógł im sprostać. Poszukiwania przedhistoryczne milczą o okolicznościach jego zaniku. W wilgotnym i wietrznym tunelu, noszącym miano Mas d' Azil, we Francyi południowej, którądy rzeka Arize wciąż żłobie sobie drogę przez góry, gromadka ludzi okresu paleolitycznego pono węgietowała w przykrem wymiaraniu. Dawna śmiałość ręki w rzeźbieniu kości opuściła ich. Malowidła ich ograniczyły się do przyozdabiania niewielkich krzemieni różnemi kreskami i linjami — ciekawe przedmioty, wykazujące niejakię powinowactwo z pokrewnego rodzaju przedmiotami w Australji. Także coś podobnego istnieje i w Szkocyi w początkach okresu żelaza. Inni przedstawiciele okresu paleolitycznego może wraz z reniferem i innemi zwierzętami podbiegunowemi wywędrowali na północo-zachód. Możliwa, iż najazd ludów neolitycznych, idących od południa, wytępił tych poprzedników. A może rasy obie skrzyżowały się nawzajem, i krew okresu paleolitycznego płynie w wielu z nas, tak samo, jak posiadamy w żyłach swoich sporo krwi neolitycznej. Ale na wszystkie te pytania możemy odpowiedzieć jedno tylko: nie wiemy nic zgoła!

I nie wiemy nawet połowy tego, cobyśmy pragnęli wiedzieć o warunkach życia i kulturze śniadego długogłowca epoki neolitycznej, posługującego się językiem, który bodaj pozo-



stawił po sobie puściznę w mowie Basków współczesnych. Rasa ta rozpostarła się na całym zachodzie, dosięgnęła Wielkiej Brytanii (która była podówczas prawdopodobnie wyspą) i zbudowała w niej tak zwane podłużne grobowce i inne pomniki wielkokamienne (megalityczne). (Grobowce zaś okrągłe są dziełem rasy następnej, krótkogłowej, w okresie brązu). Każdy dzień jednak, posługując się szpadlem, dodaje coś do naszej znajomości przedmiotu. Zresztą większość współczesnych ludów pierwotnych znajdowała się na szczyblu kultury neolitycznej w dobie ich odkrycia przez Europejczyków. Dlatego mamy prawo zupełne porównywania nawzajem ich oręży, sprzętów, wyrobów garncarskich, mieszkań na palach itd. Nowy to dowód, jak jedna gałąź antropologii wspiera inne.

Zgodnie ze swoim postępowaniem wysuwania jedynie przykładów jaskrawych, zamknę ten rozdział wycieczką do Brandonu, w Suffolk, na pograniczu z Norfolkem. Tutaj jedną nogą będziemy tkwili w okresie neolitycznym, drugą zaś w dobie dzisiejszej. Canon Greenwell badając w r. 1870 w tej okolicy jedną z kopalń neolitycznych krzemienia, znaną pod nazwą Grime's Graves, musiał usunąć różne śmiecie ze studni dawnej, mającej kształt lejka a głębokiej około stóp czterdziestu. Zdaje się, pracownik neolityczny natrafił na tym poziomie na gniazdo najlepszego krzemienia. Wyzyskiwał

je prowadząc przekopy we wszystkich kierunkach. Do wiercenia używał odnóg rogu jelenia czerwonego. Jedno z tych narzędzi można oglądać w British Museum, a na niem ślady wielkiego palca, odcisnięte na glinie, która przylgnęła do rękojeści. Naczynie z wapniaka służyło mu, jako lampka, za drabinę zaś prawdopodobnie prostacze nacięcia, wyrąbane w ścianie studni. O użytku, robionym z surowca, opowiada warsztat neolityczny, odnaleziony na południe od Grime's Graves. Tutaj leżały, rozrzucone wszędzie, wióry, młoty kamienne, któremi je rozbijano, noże, skrobaczki, świdry, ostrza strzał i dzid na wszystkich postaciach obrobienia.

A teraz udajmy się do miasteczka Lingheath, leżącego w pobliżu. Znajdziemy tam rodzinę Dyerów, która i obecnie trzyma się dawnych sposobów górniczych. Studnie jej mają kształt bardziej kwadratowy niż neolityczne, ale w innym względzie pozostały te same. Narzędzie ich o jednym ostrzu zachowało kształty rogu jeleniego. Lampką jest świeca, wsadzona do naczynia z wapniaka, drabiną rząd szczebli, „palców“, jak mówią, w ścianie, odległych nawzajem o pięć stóp i połączonych przez nacięcia dla wkładania nóg. Górnik rzuca ładunek swój krzemienia, w liczbie paruset sztuk, ze szczebla na szczebel, używając po temu głowy swojej, tę zaś osłania rynsztunkiem, którego napewno nie znał człowiek neolityczny, a mianowicie sta-

rym kapeluszem, używanym podczas gry w kręgle. Używa on nawet mowy osobliwej. W ogóle każdy szczegół ma tam rodowody zamierzchłe. Sprzedaje swój dorobek krzemieniarzom brandońskim na „jagi“, taki jag to gromada krzemieni tak wysoka, iż stanąwszy z którejkolwiek strony możecie dojrzeć krzemienie, ułożone na dnie stosu. Każdy z tych krzemieniarzy, chociażby mój przyjaciel Fred Snare, rozbija bułę krótkim a okrągłym młotem na kawałki podatniejsze. Kładąc taką „ćwiartkę“ na kolanie, mającem na sobie przepaskę skórzaną, odtłukiwa podłużnym młotem wiór po wiórze, niekiedy około tysiąca w ciągu jednego poranka; i obrabia je w postaci kwadracików o ostrej krawędzi, które sprzedawane tubylcom Afryki będą służyły jako skałki do broni palnej. Niestety, świetne dzieła skałek, wyrabianych w ten sposób dla armii brytańskiej, nigdy nie zmartwychwstaną w Brandonie! Prawdopodobna, upadek handlu w tym zakresie sięga, wstecz aż czasów epoki brązu. Nawet krzesiwa sprzedawane i dzisiaj po pensie za sztukę, nie zdołają powstrzymać wilka, dobijającego się do wrót! Snare jest nie tylko rzemieślnikiem, ale i artystą. Wyrobił z krzemienia obrączkę, zręczność, która dorównywa sprawności umiejętnych krzemieniarzy Egiptu przed-dynastycznego, haczykiem zaś krzemienym swego wyrobu wyłowił wspaniałego pstrąga z rzeczki Little Ouse, przepływającej przez miasteczko.

Są zaiste w starej Anglii rzeczy starsze, niż wielu z nas mniema. W tem jednym hrabstwie, a więc w Suffolku, dobry krzemień — tak różnorodny w barwie swojej i tak podatny na uderzenia młotka, zwłaszcza jeśli spuścicie się do niżej położonych gniazd (czarny, gładki kamień znajduje się wogóle poniżej poziomu wód) — czynił zadość potrzebom wszystkich okresów paleolitycznych i neolitycznych, a także Anglików nowoczesnych, którzy pod Waterloo strzelali, posługując się skałkami, i brali ze sobą krzesiwo na wojnę afrykańską. Chodzi o to, przez jaki przeciąg czasu posługiwano się tym krzemieniem i okres ten jaką stanowi część starożytności człowieka. Czy lat tysiące? Nie wiemy dokładnie, ale mniemamy, iż raczej setki tysięcycoeci...

---

## ROZDZIAŁ III.

### R a s a.

Opowiadają o majtku angielskim, który, pytany, co rozumiał był pod wyrazem dago, odrzekł: wszelakie dago są to nie nasze sposoby poruszania szczęką. Dosłownie tego samego zwrotu użyłby Grek starodawny, gdyby wykladał nam treść wyrazu „barbarzyńca“. A kiedy wyjaśnienia stają się tak ryczałtowe, powiadamy słusznie, iż mamy do czynienia z przesądami rasowemi. A zarazem winniśmy podziwiać, jak dalece ów przesąd odpowiada pierwiastkom rzeczywistości. Niezaprzeczenie, rasa jest zjawiskiem, które odrazu rzuca się w oczy.

Udajcie się na przechadzkę wzdłuż jakiejkolwiek ulicy londyńskiej: nie omylicie się względem studenta hinduskiego, mającego niemal nasze rysy twarzy, ale o cerze bardziej śniadej. **W** mężczyźnie niskiego wzrostu, zwinnym, z oczyma nieco skośnemi, rozpoznacie nie mniej

stanowczo Japończyka. Oko nieco wprawniej-  
sze wyróżni oddźwiernego Niemca, szofera Fran-  
cuza, sprzedawcę lodów Włocha. W końcu,  
gdy zaprawicie się dobrze w tej umiejętności,  
wątpliwa czy utożsamicie niskiego i śniadego  
Walijczyka a szerokiego o cerze różowej York-  
shire'czyka, tak samo jak nie pomieszacie wyżła  
a buldoga.

Ale pamiętajcie, iż wydajecie wyrok na za-  
sadzie wrażenia dorywczego, nie zaś wycho-  
dząc z jasno wyodrębnionego pojęcia rasy, czyli  
hodowli ustalonej. Oto paru naszych krewnia-  
ków amerykańskich. Może wymowa wydała ich,  
a może cały sposób zachowania się. Ale, gdy  
szperać będziecie w ich rodowodach, znajdzie-  
cie, iż jeden z nich miał ojca Szkota, matka  
zaś jego pochodziła z Dorsetshire'u, drugi jest  
częściowo Skandynawczykiem, częściowo Hi-  
szpanem, zabarwionym nieco przez krew ży-  
dowską. Jednak stanowczo tworzą ten sam typ.  
A im głębiej wnikamy w przedmiot, tem bardziej  
odnajdujemy, iż jesteśmy wszyscy mieszańca-  
mi, mianowicie, gdy czynimy z rasy, i to z niej  
jedynie, rzecz badaną. Rasa zaś — w tem jedy-  
nem znaczeniu, które ów wyraz posiada dla  
antropologa — jest niczem więcej ani mniej,  
jeno oddziedziczonemi objawami hodowli, jest  
hodowlą przekazywaną w dziedzictwie, bez  
względu na to, czy chodzi o właściwości cie-  
lesne czy umysłowe.

Albowiem nie godzi się o tem zapominać,

iz rasa ogarnia zarówno ciało jak i ducha. Sięga głębiej naszej skóry. Zestawcież powściągliwego czerwonoskórca a żywego murzyna, albo flegmatycznego Holendra a namiętnego Włocha. Ale naówczas może wysuniecie sprawę wpływu klimatów odmiennych, w których te ludy przebywają, lub odmienne drogi ich postępowania. Macie słuszność: rzeczą niepomiernie trudną jest rozwikłanie skutków, idących od tych różnych czynników. A jednak pierwiastek rasowości coś waży w układzie umysłu. Pierwszy lepszy hodowca koni wam wytłómaczy, iż ani klimat newmarketanski, ani piecza troskliwa, ani jakość owsa lub inne wpływy jakiegokolwiek nie wleją krwi rasowej w żyły konia pociągowego.

Zamierzam w swoich wywodach wskazać, w czym tkwi rdzeń zagadnienia o rasowości, acz będę zmuszony w tym celu potrącić nieco o dziedzinę biologii. Bynajmniej nie będę skrywał trudności jego. Jestem świadom, iż czytelnik przeciętny wolałby, ażeby uskuteczniiono uprzednio wszystkie rozważania i ofiarowano mu jedynie wyniki ostateczne. Ale powątpiewam, czy byłby zbudowany, gdyby wypadło mu zaglądać do jakiegoś pół tuzina książek, traktujących o rasach ludzkich, w których znalazłby tyleż odmiennych opowieści o ich powinowactwie wzajemnem, posiadających ledwie jedno jakieś wspólne założenie. Lepsza śmiało spojrzeć w oczy temu faktowi, iż rasa dotychczas

urąga nam całkowicie. Tak, pochodzenie i pokrzyżowanie są tam wszystkim, i w swoim czasie i we właściwy sobie sposób ujawniają obecność swoją.

Tylko cośmy zaznaczyli, iż rasa tworzy jeden z pierwiastków przyrodzenia ludzkiego. Ale jedynie w wyobraźni swojej możemy rozłożyć (lub starać się o to) przyrodzenie ludzkie na pierwiastki, w rzeczywistości zaś nigdy temu nie podołamy. Możemy rozebrać taki mechanizm, jak zegar, na części i złożyć je ponownie. Nawet ciała chemiczne, jak woda, rozkładamy na tlen i wodór i odtwarzamy ją znowu z tych jej pierwiastków. Ale rozcięcie ciała żyjącego pociąga za sobą śmierć za jednym zamachem i po wieki. Życie jest rzeczą w swoim rodzaju jedyną i odznacza się odrębną właściwością, a mianowicie tem, iż jest zdolne do rozwoju. Życie rozwija się, tj. przekształca się, przechodząc od jednych kształtów określonych do innych: obok częściowej podatliwości plastycznej towarzyszy tej sprawie także częściowa zeszywniałość. Istnieje tam pierwiastek stateczności, wdrażający siły, właściwe życiu, aż do punktu odpowiedniego, w tory dążności jego starych, i dopiero poza tym punktem rozwój żłobi nowe łożyska. Rasa właśnie w sprawie rozwojowej jest czynnikiem, na którym ciąży odpowiedzialność za to zakrzepnięcie. Ale prawdopodobnie nigdy nie zdołamy dokładnie odpowiedzieć na pytanie, jak dalece, w któryms



wypadku poszczególnym, te wpływy się rozciągają. Ale gdybyśmy mogli w stosunku do człowieka podejść do tego punktu, niewątpliwie udałoby się nam wykuć nowe narzędzie do kierowania drogami własnego naszego rodzaju, potężniejsze może niż wychowanie. Mam na myśli naukę o eugenizmie („dobrem urodzeniu“), tj. umiejętność hodowli rasy ludzkiej.

Ażeby dowiedzieć się, czym jest rasa odrębnie rozważana, wezmę nadewszystko twoją własną osobę, i zapytam się, w jaki sposób wyodrębniłbyś swoją istotę odziedziczoną od przyrodzenia, któreś pozyskał w ciągu dni swego własnego żywota. Rzecz to nie łatwa! Przypuśćmy, iż masz brata bliźniaka, który jest tak do ciebie podobny, jak ziarnko bobu do ziarnka. Przypadek w dzieciństwie sprawił, iż utracił on nogę. Dlatego służy w biurze i prowadzi siedzący tryb życia, ty zaś, mając na swoje rozporządzenie obie swoje krzepkie nogi, jesteś, jako listonosz, w ciągłym ruchu. Obaj jesteście odmiennymi zgoła osobistościami co do zwyczajów swoich i zamiarów. Brat jest blady, ty ogorzałeś; grasz w football, on zaś sterczy w domu nad książką. Ale ktoś, znający was obu z bliska, dostrzeże całe mnóstwo drobiazgow, świadczących, iż jesteście tego samego przyrodzenia i tych samych skłonności. Obaj nieco nieodróżniacie pewnych barw i dajecie się przy okazji porwać silnym namiętnościami. Wasze pochodzenie wspólne wydobywa się

wtedy na jaw, nawet jeśli ów wasz przyjaciel gotów położyć to i owo na karb tego, iż popołu się chowaliście, — to wychowywanie się wspólne może wiele wytłómaczyć w waszej popędliwości, ale nic zgoła w stosunku do nieodstrzegania barw niektórych.

Ale oto następuje się wielka trudność. Przypuśćmy, iż obaj bliźniacy poślubiają dwie bliźniaczki, równie podobne do siebie, jak dwa ziarenka bobów, oraz iż każde stadło doczekało się potomstwa. Która gromadka dzieciaków będzie wykazywała w ogóle dążność do posiadania nóg mocniejszych? Twoje nogi są silne za sprawą ich używania, twego brata wzięte z winy nieposługiwania się niemi. Ale czy używanie lub nieużywanie oddziałują w czemkolwiek na potomków? To pytanie wikła i gmatwa niepospolicie próby nasze współczesne zrozumienia dziedziczności.

Jest to zagadnienie, iż użyjemy zwrotu technicznego, o dziedziczeniu wprawy, czyli o dziedziczeniu właściwości nabytych. Profan nie powątpiewa o tem, iż skutki wprawy lub nieużywania przechodzą na potomków. Tak myślał Lamarck, który na lat 50 przed Darwinem wygłosił swoją teorię rozwojową początku gatunków. Czemu żyrafa ma taką szyję długą? Ponieważ — tak mniemał Lamarck — pozyskała zwyczaj wyciągania swojej szyi. Ilekroć posucha trapiła ziemię, żyrafa musiała wyciągać swoją szyję aż do pokrytych liśćmi wierzchoł-

ków drzew; okazy, które sięgały najdalej, pozostawały przy życiu i przekazywały swoją zdolność do takiego czynu swoim potomkom. Nawet Darwin był gotów przypuścić, iż użycie lub nieużywanie wywierają wpływ niejaki na dziedzictwo, przechodzące na potomków, ale mniemał, iż to działanie jest znikome w porównaniu z działaniem — w braku odpowiedniejszego terminu użył on tego zwrotu — zmienności samorzutnej. Niektórzy z jego zwolenników, przywłaszczający sobie nazwę neo-darwinistów, poszli dalej. Trzymając się wywodów biologa niemieckiego, Weissmanna, wyrugowali oni całkowicie rzeczników teorii Lamarcka i wzięli rozbrat z przypuszczeniem, iż skutki wprawy przechodzą dziedzicznie. Zmienność samorzutna wystarcza do doboru wysokiej żyrafy. Urodziła się taką. Innemi słowy, rodzice jej mieli to w krwi swojej. Wprawdzie teoria ta nie wygłasza żadnej prawdy, jedynie zastrzega się przeciw powoływaniu się na wpływy użycia i nieużycia i poszukuje innego wyjaśnienia zmienności, któregośmy dotychczas nie wykryli.

Profan powinien i o tem pamiętać, iż skutki wprawy, które bodaj dostrzega wszędzie dookoła siebie, splatają się w jedno z mnóstwem objawów zgoła odrębnych. Wywołam może uśmiech na jego ustach, opowiadając o tem, iż Weissmann odcinał ogony licznym myszom i karczując je nawzajem, znalazł iż ogon niezmiennie przyozdabiał rasę, jak i poprzednio. Wypadło mi

wysłuchać komentarzy Bernarda Shaw z powodu tego doświadczenia. Shaw bronił poglądów Samuela Butlera, zaczerpniętych z doktryny Lamarcka: Butler oświadczył, iż nasza dziedziczność jest rodzajem pamięci rasowej, inteligencją bezwiedną. Dlaczego — pytał się Shaw — ogony wciąż odrastają u tych zwierząt? Oto dlatego, że te stworzenia nigdy nie wyrażały pragnienia, ażeby je im odcięto! Ale mężczyźni strzygą brody, gdyż pragną je ostrzydz; wśród ludów, bardziej zachowawczych niż my w swoich przyzwyczajeniach, taki obyczaj może trwać w ciągu pokoleń bez liku. A jednak kto oglądał jakiegokolwiek najmniejsze oznaki zanikania zarostu, osiągnięte na tej drodze! Z drugiej strony, są ludy brodate, jakoteż inne, pozbawione brody, a krzyżując je nawzajem, rychło zdołalibyście wywołać zastój lub rozkwit procederu golarzkiego. Ale, jak twierdzi szkoła Weissmanna, poszukiwana zmiana powstała w tym wypadku samorzutnie, tj. wypłynęła z własnych swoich pobudek.

Pozostawiając otwartą sprawę dziedziczenia wprawy, winien jestem słówko powiedzieć o zmienności, rozważanej pojedynczo i w wyodrębnieniu od swoich wpływów wątpliwych. Weissmann broni założenia, iż jestestwa, pochodzące ze zlania się dwóch komórek, są podatniejsze na zmiany niż wydane przez jedną komórkę. Według tego poglądu, zmienność w mierze rozległej zależy od praw współdziałania

właściwości odmiennych, zjednoczonych pospołu za sprawę skojarzenia się komórek. Ale na czem zasadzają się te prawa? Co najwyżej wolno mi oświadczyć, iż codziennie poznajemy je nieco więcej. A w liczbie tego rodzaju zaciekań doświadczenia, idące według dróg utworzonych przez Mendela, obiecują wyświecić wiele z tego, co dzisiaj jest ciemne.

Rozwój osobnika, który ukazał się w następstwie takiego skojarzenia się komórek, bynajmniej nie polega na mieszaninie jakiejś lub dodaniu cech, ale jest sprawą powstawania ustroju na drodze doboru. Ze posuniemy swój przykład aż do ostateczności niedorzecznej, nie znajdziemy takiego stadła rodziców dwunożnych, którychby dziecko miało nogę tak grubą, jak nogi pospołu rodziców, lub posiadało cztery nogi, z których dwie miałoby jeden, dwie inny kształt. Innemi słowy, dziecko zużytkowyywa jedne z pośród możliwości, których dostarczają mu ojciec i matka, inne pozostawia bez uwzględnienia. Nadto, różne dzieci wcielają w sobie odmienne doборы, dokonane pomiędzy temi samemi pierwiastkami zarodkowemi. Szkoła Mendela poszukuje głównie praw, według których te odmienne typy ustroju urzeczywistniają się wśród dzieci. Każde dziecko jest odrębną osobowością, żyjącą całością, mającą własny swój ustrój. To znaczy: pierwiastki jego składowe tworzą więź własną, znajdując się nawzajem w stosunku współrzędności i współ-

działania. Słowem, życie jest możliwe, gdyż zasadza się na równowadze.

Ale ten stan ogólny równowagi idzie w parze z mnóstwem zrównoważeń poszczególnych, które bodaj są w znacznej mierze niezależne nawzajem. Warto o tem pamiętać, zwłaszcza, kiedy będziemy niebawem rozważali instynkty. Wszelakiego rodzaju ustroje pomniejsze istnieją w obrębie wielkiego ustroju ucieleśnionego w organizmie odosobionym. Tak samo bywa w państwie — pomimo zarządu głównego istnieją rady hrabstw odrębnych, korporacje miejskie itd., a każda korzysta w mierze niejkiej z samorządu. W sposób ogólnikowy to nam tłumaczy, jakim sposobem taka rozległa zmienność jest możliwą. Ustrój oparty na doborze i od tych samych składników zarodkowych wyprowadzający tyle i tak odmiennych kształtów nowego życia, jest o tyle luźny i podatliwy, iż uwspółrzednienie pomiędzy częściami daje się osiągnąć we wszelkich możliwych kierunkach. Ustroje pomniejsze zaś są o tyle samorządne, iż wchodzą nawzajem w skojarzenia najmożliwsze. Wprawdzie niektóre z tych kojarzeń są silniejsze i skuteczniejsze niż pozostałe, i dlatego wykazują dążność do odsunięcia ich, czyli do tego, ażeby same dochowały się za sprawą doboru przyrodzonego.

Tutaj właściwe jest miejsce uwzględnienia zasad doboru przyrodzonego. Dokonaliśmy tego, traktując o zmienności. Czy użycie i nieużycie

wspierają wywiązywanie się nowych kształtów życia lub czy te poczynają się, iż tak rzekniemy, z własnej pobudki, w każdym razie, dajmy na to, iż już ukazały się. Dobór przyrodzony rozpoczyna obecnie pracę swoją. Wygłoszenie tego prawa było wielką zasługą Darwina, ale godzi się nadmienić, iż jednocześnie odkrył był je A. Wallace. Obaj zaczerpnęli pierwszej podniety u Malthusa. Ten kapłan anglikański o 50 lat wcześniej wykazał, iż wzrost zaludnienia zdołałby znacznie wyprzedzić podniesienie ilości pożywienia, i takie klęski żywiołowe, jak głód lub wojna, muszą bezustannie działać w celu stworzenia równowagi. Stosując te rozważania wogóle do królestw zwierzęcego i roślinnego, Darwin i Wallace dostrzegli, iż z pośród licznych kształtów życia, rzuconych na świat, ażeby dobywały sobie według sił utrzymanie, wielkie mnóstwo musi uleść zagładzie. A ponieważ różnią się nawzajem co do zasad ustroju swego, przeto zgoła właściwem jest przypuszczenie, że z pomiędzy współzawodników wyżyją ci, którzy z przyrodzenia swego mogą najbardziej sprostać okolicznościom wciąż zmiennym. Odwołanie się do faktów poparło zupełnie te domniemania. Naturalnie, nie zawsze to współzawodnictwo idzie na korzyść najzdolniejszego. Przypadki zdarzają się zawsze. Ale w ogólności typ, który najlepiej dostraja się do warunków otoczenia, bądź dlatego, iż jest

złożony, bądź że posiada budowę prostą, zdolny jest do wyżycia przed innemi.

Ale wyżyć to pozostawić potomstwo przy życiu! Chociaż dosięglibyście lat 80, ale jeśli nie macie dzieci, nie żyliście w znaczeniu biologicznem, natomiast wasz sąsiad, który zmarł w czterdziestym roku życia, istnieje w osobach swojego liczego potomstwa. Dobór naturalny jest ostatecznie sprawą pomiędzy osobnikami, ponieważ jedynie te są obdarzone zdolnością mnożenia się. Ale jednoczesne powody tego, iż osobnik wyżył, mogą tkwić w mierze bardzo znacznej na zewnątrz niego. Np. pomiędzy pszczołami nie zdolne do pracy owady utrwalają byt swój w potomstwie tylko dlatego, że bezpłodne pracownice wypełniają swój obowiązek w roju pszczelnym. A ponieważ pozostawienie potomstwa jest sprawą nawskróś osobistą, przeto istnieje zawsze niebezpieczeństwo, iż społeczność, zbyt trwoniąc siły swoje najlepsze, będzie doprowadzona do uzupełniania owej liczby z pośród osób, w których nagromadzona zdolność do posługi publicznej jest słabo rozwinięta. Pozostawienie obfitej rodziny powinno być zawsze najgłówniejszym obowiązkiem ludzi niesamolubnych, albowiem na innej drodze żywioty, wolne od sobkowstwa, nie dadzą się utrzymać przy istnieniu.

Ale dosyć o dziedziczności, jako warunku rozwoju. Zwracamy się, z lepszymi widokami wyróżnienia ich, do roztrząsania skutków, które



dziedziczność pociąga za sobą. Rzekliśmy, iż dziedziczność jest objawem stateczności w przyrodzeniu człowieka, stateczności, z którą nieodłącznie idzie w parze mniejsza lub większa podatliwość plastyczna. Obecnie poniekąd jest rzeczą niewątpliwą, iż całe przyrodzenie dziecka, jego zasób i tryb podatliwości, pochodzą od jego rodziców. Zadaniem naszym w rozdziale niniejszym jest wydobyć na jaw tego pierwiastka podatliwego, zmiennego, naszej oddziedziczonej siły życiowej. Te składniki, mniej lub więcej stateczne, określone, współrzędnione, tworzą żywiol dziedziczny, stanowią rasę. Ale żaden z nich nie jest całkowicie ustalony. Niejaka skłonność do zmienności wchodzi jako część składowa do ich istoty przyrodzonej. Nawet wśród pszczoł, wykazujących instynkty w stopniu najwyższym utrwalone, istnieje niejaka podatliwość w zakresie każdego instynktu: nawet zdolność wrodzona lepienia plastrów w sposób prawidłowy ulega przekształceniu, gdy ul będzie przypadkowo kształtów niewłaściwych. Jednak bądźco bądź, w porównaniu z innymi, te przymioty, która wyróżniamy jako cechy rasowe, muszą wykazywać stateczność. Ale niestety, i przyzwyczajenia odznaczają się także statecznością. Przyzwyczajenia zaś nasze pozostają w związku z podatliwą, zmienną stroną naszego przyrodzenia, gdyż, nabywając przyzwyczajień, jesteśmy na początku podatliwi, chociaż wątpliwa, czy daliśmy za jednym zamachem pokie-

rować sobą. Ale w naszym rozstrząsaniu znaczenia dziedziczności w życiu naszym nie możemy uwzględniać przyzwyczajień. Lecz zgoła nie chcemy ukrywać trudności, które nas oczekują, gdy imamy się poszukiwać nad rasą.

Pomimo tych trudności, rozważymy parę cech, które zazwyczaj uchodzą za cechy rasowe ludzkości. Jak i poprzednio, nie chodzi nam o wyczerpanie przedmiotu, jeno o traktowanie rzeczy w sposób obrazowy. Nadto musimy zadowolić się bardzo nieokrzesanym podziałem tych cech na cielesne i duchowe. Albowiem w tem miejscu byłoby zaprawdę rzeczą mozolną wyznaczenie, które z nich mamy poczytywać za cielesne, które zaś za duchowe. Pozostawiamy te wycieniowania filozofom, sami zaś przejdziemy wprost do rzeczy, według sił własnych.

O! nie może być mowy o nieporozumieniu, gdy chodzi o cechy rasowe zewnętrzne! Tak przynajmniej marzyli antropologowie, ale marzenia te nie doczekały się ziszczenia. Kolejno wysuwano wszelkie możliwe świadectwa tego rodzaju. Czaszka i szwy czaszki, wyrostek czołowy, kości nosa, oko, podbródek, szczęki, zęby mądrości, włosy, kość ramienna, miednica, linia sercowa na dłoni, łydka, stopa, barwa, nawet zapach, wszystkie te cechy zewnętrzne i wiele innych jeszcze, wysuwano z osobna lub pospołu, jako świadectwa, mające dostarczyć dowodów ostatecznych o rodowodach człowieka. Nie mogę tutaj, nawet gdybym pano-

wał całkowicie nad przedmiotem, zbadać całej gromady cech, występujących jako nosicielki tych uroszczeń. Zatrzymam się nieco tylko nad dwiema: kształtami głowy i barwą.

Sądzę, iż gdyby pospolity śmiertelnik zadał sobie pytanie, w jaki sposób, przechadzając się w Londynie wyróżnił jeden typ rasowy od innego, to spostrzegłby, iż dokonał tego opierając się na barwie. Jest świadom tego, iż należy uwzględnić ogorzałość od słońca i odszukuje pod nią zwyczajną cerę, właściwą naszej ojczyźnie. Ale gdyby udał się do muzeum jakiegokolwiek i zechciał zastosować to postępowanie względem człowieka przedhistorycznego, tam wystawionego, nie osiągnąłby żadnych wyników, gdyż ludzie przedhistoryczni rozstali się doszczętnie ze swoją skórą. Musimy jać się badania kości, a nadewszystko zwrócić się do czaszki. Rozważając zarówno kształty głowy jak i barwę skóry, jesteśmy w możności ogarnięcia znacznej ilości przestworu badanego, acz ten jest tak rozległy. Antropologia w tym zakresie nie odgranicza przeszłości od terażniejszości, dzikości od cywilizacji, ale ima się wszelkiej postaci ludzkiej, która znalazła się w obrębie jej osiągalności.

Ale kształty głowy są rzeczą bardziej złożoną, gdy chodzi o korzystanie z nich w celu porównawczym, niż to ktoś sobie wyobraża. Ani jedna część czaszki nie pozostaje w położeniu statecznym względem innych, i dlatego nie ma tam ustalonej skali pomiarów, jeno

gołe wyrokowanie o podobieństwie, oparte na wartości średniej ustosunkowania. Dochodzi do tego, iż w ostateczności wrażenie, otrzymane przez znawcę, w tych rzeczach doświadczonego, ma większą wartość, niż rzędy tablic. Same nawet tablice przemawiają wtedy inaczej. Lecz nie zawsze dają się ułożyć, zwłaszcza gdy chodzi o osobę żyjącą. Może ta ma w ręku maczugę i nieżyczliwie zachowa się względem narzędzia, które ktoś jej wsadza do uszu lub dokąd indziej. Z tego lub innego powodu musimy poprzestawać na tem bardzo niewystarczającym ujęciu kształtów głowy, które jest znane pod nazwą wskaźnika głównego. Należy wymierzyć największą długość i największą szerokość czaszki, i iloraz, otrzymany, z podziału tamtej przez tę, pomnożyć na sto. Średniogłowcy mają wskaźnik leżący pomiędzy 75 a 80. Poniżej tej liczby wyróżniamy ludzi jako długogłowców, powyżej zaś jako krótkogłowców. Ale to świadectwo, jak nadmieniałem, nie zaprowadzi nas zbyt daleko. Przecież mniemam, że dobry znawca kształtów czaszki w jej wszystkich wyglądach wziętych pospołu, zdoła robić zręczne przypuszczenia względem ludu, w którym należy umieścić posiadacza danej czaszki.

Ale niestety, powiadając: lud, nie mówimy jeszcze: rasa. Możliwa, iż lud wykazuje dążność do posiadania głowy kształtów znamiennych, ale nie dlatego, iż jest pnia wspólnego, lecz ponieważ po urodzeniu, a nawet po poczęciu,

podlega oddziaływaniu tego samego otoczenia. Nieco spostrzeżeń precyzyjnych, dokonanych przez prof. Boasa nad przybyszami do Ameryki z różnych krajów Europy, świadczy, iż nowe otoczenie, w sposób dotychczas niewytłómaczony, zmienia w mierze rozległej kształty głowy. Np. wśród Żydów Europy wschodniej głowa niemowlęcia, urodzonego w Europie, jest krótsza a szersza niż niemowlęcia, które przyszło na świat w Ameryce, a te różnice występują jeszcze z większą mocą w drugim pokoleniu urodzonym w Ameryce. Inne ludy europejskie wykazują w tym przypadku inne zmiany. Ale wszystkie te przekształcenia idą w kierunku tym samym, ku temu samemu typowi amerykańskiemu. Jak mamy wytłómaczyć te fakty, przypuszczając, że poszukiwania rozleglejsze je poprą? Na wszelki wypadek winniśmy wziąć pod rachubę znaczną podatliwość kształtów czaszki, skutek czego podlega ona stanowczym zmianom za sprawą wpływów otoczenia, naturalnie nie w każdej chwili życia, ale w tym okresie wczesnym, kiedy wzrost głowy odbywa się zwłaszcza szybko. Nie potrzebujemy ponownie podnosić pytania, czy takie właściwości nabyte są dziedziczne. Jedna jeszcze uwaga: jeśli czaszka ulega tak dalece wpływom, co mamy rzec o mózgu, w niej się znajdującym? A jeśli długogłowcy z ojca i dziada przeinaczają się w warunkach sprzyjających, co należy wnioskować o osobach, dziedzicznie odznaczających się krótkim rozumem?

Należy powiedzieć nieco o typach właściwych ludom przedhistorycznym, o ile wolno co do tego wyciągać jakieś wnioski na zasadzie ich kości i zwłaszcza czaszek. Rzecz zrozumiała, iż przedmiot obfituje w różne niepewności.

Pithecanthropus (małpoczwłowiek) jawański zajmuje miejsce osobne, jako istotne „ogniwo brakujące“. Wierzchnia część czaszki, kilka zębów i kość udowa, znalezione w pewnej odległości od siebie, oto wszystko co po sobie pozostawił. Dubois, ich odkrywca, zrobił bardzo wiele dla uzasadnienia tego, iż pokłady geologiczne, w których znaleziono te szczątki, są plioceniczne, tj. należą do epoki trzeciorzędowej, do której nie udało się z jakimkolwiek prawdopodobieństwem poważnem prześledzić człowieka. Zresztą rzecz pozostaje wielce wątpliwa, czy była to istota praludzka lub małpa typu, spowinowaczonego z gibbonem. Cechy pośrednie występują zwłaszcza w zakresie kształtów czaszki. Jak na małpę, Pithecanthropus posiadał mózg niepomierny; jak na człowieka, graniczyłby z tem, co nazwalibyśmy niedołęstwem umysłowem.

I człowiek heidelberski ma stanowisko nieco osobne. Dochowała się po nim w stanie dobrym szczęka dolna wraz z zębami. Znaleziono je przeszło na stóp 80 poniżej powierzchni ziemi, w towarzystwie ze szczątkami zwierząt, pozwalającemi z niejaką dokładnością wyznaczyć jego położenie w paśmie okresów przed-

historycznych. W takim oświeceniu człowiek ów sięga takiej samej przeszłości, jak najwcześniejsze z wiarogodnych narzędzi znalezionych w napływowych pokładach żwiru i kamieni, chelleńskie (Chelles w depart. Sekwany i Marne, we Francji). Szczęka ze swej strony przypomina goryla, jest tak samo potężnie zbudowaną i pozbawioną podbródka. Ale zęby są niezaprzeczenie ludzkie, i dają się umieścić pomiędzy starożytnymi czaszkami typu neandertaleńskiego (o ile pewne objawy pierwotności nie zniewolą do wyjęcia ich z tego rzędu), a nawet Australczykami współczesnymi.

Możemy przystąpić obecnie do rozważenia szeregu czaszek typu neandertaleńskiego, które otrzymały nazwę swoją od pierwszej tego kalibru czaszki, znalezionej w r. 1856 w dolinie Neanderskiej w pobliżu Düsseldorfa (porzeczce Renu). Wązka czaszka o niskim i pochylonym czole i grubych łukach nadocznych, jednak mająca dwa razy taką pojemność jak goryl, wywołała wśród uczonych rozprawy, czy pochodzi od małpy, człowieka zwykłego lub idioty. Na nieszczęście, nie rozporządzano najmniejszymi wskazówkami co do epoki tych szczątków. Ale po pewnym odstępie czasu okazały pokrewne jeły mnożyć się. W r. 1866 w jaskini la Naulette (Belgia) znaleziono szczękę kobiety, wykazującą dążność do nieobecności podbródka, oraz silną budowę, a obok niej szczątki mamuta, nosorożca włochatego i reni-

fera, dające się co do epoki określić jako tako. Nieco wcześniej o lat parę — zdarzenie, którego doniosłości nie umiano na razie ocenić — odkryto w pobliżu kamieniołomów Forbesa w Gibraltarze sławną czaszkę gibraltarską, którą można oglądać w Muzeum królewskiego kolegium lekarzy w Londynie. Każdy ze zwiedzających dostrzeże na pierwszy rzut oka, iż nie jest to człowiek współczesny. Wązka czaszka, niski wierzchołek, wydatne łuki nadoczne, wszystko jak poprzednio, jedynie z dodatkiem wyjątkowych oczodołów: rozległych kręgów, oddzielonych znaczną przestrzenią od siebie. I inne osobliwości wystąpią na jaw przy bliższem badaniu: osada podkowokształtna zębów według modły, właściwej małpom, i ryjowate kształty twarzy, pochodzące z nieobecności zagłębień, które u nas biegną po każdej stronie twarzy od skrzydła zewnętrznego nozdrzy do kątów ust.

W chwili obecnej posiadamy dwadzieścia i nawet więcej okazów typu neandertaleńskiego. Bodaj ostatnie odkrycia są najgodniejszymi uwagi, gdyż w dwóch przypadkach z pośród nich, a może i w innych, człowiek był pochowany uroczyście. W la Chapelle-aux-Saints (dep. Corrèze we Francyi) znaleziono skielet, którego kształty czaszki żywo odtwarzają okaz gibraltarski, w jamie, wyłobionej w podłożu niskiej groty. Leżał na grzbiecie, z głową ku zachodowi, jedna z rąk była zgięta ku głowie, druga wyciągnięta. Nieco kości bizona znajdowało się



w grobie, jak gdyby zaopatrzone nieboszczyka w pożywienie. Tuż leżały narzędzia robione z krzemienia, dobrze znanego typu moustieńskiego. I w samym schronieniu le Moustier odnaleziono taki sam sposób pochowania. Ciało leżało na prawym boku, ręka prawa była zgięta, jak gdyby podierała głowę, na troskliwie ułożonym stosie krzemieni, lewa zaś była wyciągnięta, dłoń jej znajdowała się może w pobliżu pięknego owalnego narzędzia z kamienia, obciosanego z obu stron i widocznie położonego umyślnie. Tyle o tych ludziach typu neandertaleńskiego, obywatelach świata paleolitycznego z ostatniej doby jego okresu środkowego. Niewątpliwie, mieli poniekąd kształty głowy małpie, acz cechy te z osobna zdarzają się niekiedy wśród Australczyków współczesnych. A jednak byli oni ludźmi w mierze wystarczającej i mieli dość rozwinięte mózgi, ażeby wierzyć w życie pośmiertne. Rzecz to, nastreżająca nieco do myślenia.

Nie opuszczając Europy, winniśmy wyróżnić przynajmniej dwa inne typy, właściwe kształtowi głowy w okresie bardzo wczesnym.

W jednej z jaskiń mentońskich, znanej pod nazwą Groty dzieci, dwa skielety, wydobyte z pokładów dolnych, wykazywały w budowie swojej pierwotność, ale odmienną od neandertaleńskiej. Wygłoszono pogląd, iż wykazują powinowactwo z typem współczesnym murzyńskim. Ale ponieważ nie znaleziono innych oka-

zów pra-murzyna ani w Europie, ani w jakiegokolwiek innej części świata, nie wiele da się powiedzieć o tym zaciekawiającym typie rasowym.

W pokładzie, spoczywającym bezpośrednio nad szczątkami temi murzynokształtnymi, jako też i w innych jaskiniach mentońskich, znaleziono kości osób zgoła innego typu, a jedna z nich niezaprzeczenie była olbrzymem. Są one znane pod nazwą rasy Cro-Magnońskiej, według pewnej ich liczby wydobytej ze schronienia skalnego Cro-Magnon na brzegu Vezery. Ten lud osobliwy może uchodzić za Aurignakczyków, tj. nastąpił bezpośrednio po Mousterieńczykach, posiadających neandertaleńskie kształty czaszki. Napomknęliśmy już, że osobnik, którego czaszkę znaleziono w Galley-Hill i który wykazuje powinowactwo niejaki z typem cro-magnońskim, może sięgać czasu, kiedy powstawały napływowe smugi żwiru i kamieni. Gdyby tak było, naonczas moglibyśmy mniemać, że od okresów bardzo wczesnych istniały wspólnie w Europie przynajmniej dwie odmiany ludzkie, i to tak różne, iż niektóre z powag naukowych, cofają rozbieżność pomiędzy niemi wstecz aż do doby, zanim człowiek i małpy wyodrębnił się nawzajem: rasa neandertaleńska ciążyłaby ku goryłowi, cro-magnońska ku orangutangowi. Czaszka Cro-Magnończyków wykazuje wysoki i subtelny poziom rozwoju. Czoło jest wysokie, podbródek kształtny, ani łuki nadoczne, ani dolna szczęka nie występują jak

u Neandertaleńczyków. Czy istotnie ta rasa dochowała się w Europie nowoczesnej, jak o tem wzmiankowaliśmy, jest rzeczą wielce niepewną. Pod niektórymi względami, np. gdy chodzi o niską twarz, typ ten posiada cechy wyjątkowe. Są jednak tacy, którzy twierdzą, iż odnajdują osoby tego typu w dzielnicy Dordognc. Zważywszy, jak czaszki ludów okresu neolitycznego są dalekie od jednolitości i tem samem nasuwają przypuszczenie o krzyżowaniu się szczepów odmiennych, mamy widoki niejakkie do poszukiwania poniekąd pokrewieństwa pomiędzy sobą a doskonalszym z pośród dwóch typów człowieka paleolitycznego. Naturalnie, wciąż hołdujemy przypuszczeniu, iż kształty głowy mogą służyć w tym razie w charakterze rękojmi. Ale czy zaprawdę tak bywa? Wszak drobnoludy z porzecza Kongo są pośredniogłowcami, Buszmeni zaś południowoafrykańscy, zazwyczaj uchodzący za ich krewniaków, mają głowę podłużną. Indjanie amerykańscy, powszechnie uważani niemal wszyscy za przedstawicieli tego samego typu rasowego, wykazują znaczne różnice w budowie głowy. Zbyteczna nadmieniać, iż wszelka cecha rasowa zawieść może.

W sposób wystarczający oświetliliśmy użYTEK, który zrobiono z poszczególnej cechy rasowej, takiej, jak kształty czaszki, usiłując dać klasyfikację ludzi z okresu bardzo wczesnego, co pozostawili byli nam swoje kości. Obecnie

zwrócimy się do innej cechy rasowej, a mianowicie do zabarwienia. A chociaż mniej jest zadowalającą niż inne, np. niż budowa włosów, przecież pospolici śmiertelnicy zwykle ku niej się zwracają, ilekroć zamierzają ustopniować według ras współczesną ludność ziemi.

Linneusz, w okresie przed Darwinem wyróżniając cztery odmiany człowieka, a mianowicie białego Europejczyka, czerwonego Amerykanina, żółtego Azyatę i czarnego Afrykańczyka, ani marzył o osiągnięciu czegoś innego prócz dostarczenia zasad klasyfikacji sztucznej. Prawdopodobnie zgodziłby się z Buffonem na to, iż bądźco bądź istnieje tylko jeden rodzaj ludzki, jedynie zabarwiony odmiennie przez różne klimaty. Ale darwinista poszukuje klasyfikacji przyrodzonej: pragnie wyróżnić ludzi zgodnie z ich rodowodami istotnymi. Rasa zaś i pochodzenie oznaczają to samo. Dlatego cecha rasowa, o ile odnajdujemy ją, powinna starczyć za całe mnóstwo właściwości, tworzących popołu typ dziedziczny, i współistnieć z niemi. Ale czy zabarwienie może występować w tem znaczeniu głębokiem w charakterze cechy rasowej? W tem tkwi jądro rzeczy.

Przedewszystkiem, jaki płynie pożytek z tego lub innego zabarwienia. Czy pociąga ono, jakkolwiek różnice? Czy może jest czemś w rodzaju linji serca na ręce, która może iść w parze z właściwościami pożytecznemi, ale która sama z siebie jest pono rzeczą przypadku, nie

mającą znaczenia najmniejszego? Otóż jak o tem mogłoby zaświadczyć wiele osób dotkniętych niepowodzeniem, barwa jest wciąż wielką korzyścią w walce o byt. Nie rozważamy przesądów w tym zakresie pod innymi względami, ale w zgodzie z powyżej powiedzianem pozostaje rola jej współczesna w sprawie doboru małżeńskiego. Zwierzęta niższe, zdaje się, kierują się w wyborze swego towarzysza według cech zewnętrznych kalibru jaskrawego, od razu rzucającego się w oczy. Zarówno mężczyźni jak i kobiety w dobie dzisiejszej wchodzi w związki małżeńskie, odwołując się raczej do oczu, niż do głowy.

Zabarwienie człowieka, acz z czasem jęło służyć do celów płciowych, jednak w początkach swoich pono nie odgrywało tej roli, jak jaskrawe upierzenie samca wśród ptactwa. Nie było ono czemś zgoła bezużytecznem i poza obrębem sprawy przywabiania płciowego, chociaż rzecz pożyteczna, w takim charakterze występując, staje się dowodem żywotności. Zabarwienie począło się niewątpliwie w ścisłej zależności od klimatu. Het wstecz, do doby zamierzchłej, winniśmy odsunąć epokę — jak Bagehot wyraził się — robienia ras, tę epokę, kiedy zasadnicze różnice cielesne, w tej liczbie różnice w zabarwieniu, powstawały w łonie ludzkości. Wolno nam mniemać, że dobór przyrodzony oddziaływał naówczas silnie na ciało, gdyż umysł nie stał się był jeszcze warunkiem pierwszym wy-

życia. Wycieniowanie szczegółów w tym względzie oto zadanie, ciężące na geografii okresu przedhistorycznego. Pod zwrotnikami, tem miejscu pobytu mały człekokształtnych i prawdopodobnej ojczyźnie człowieka najwcześniejszego czarna barwa skóry zabezpiecza od promieni słonecznych. Natomiast biała cera — domysł zresztą natury bardziej wątpliwej — może sprzyja zaoszczędzeniu ciepła słonecznego w obrębie szerokości chłodniejszych. Brunatna, żółta i tak zwana czerwona barwy są odcieniami pośrednimi, odpowiadającymi dzielnicom tak samo pośrednim. Nie jest rzeczą trudną wyodrębnienie na mapie świata przedhistorycznego prowincyi geograficznych, czyli „przestrzeni nakładających piętno swoje“, w których rasy zabarwienia odmiennego, odpowiednio do różnic w zakresie klimatu, mogły byłyby się począć, w odosobnieniu mniejszem lub większem, takim, które z konieczności przynaglało do różnicowania się ludzi.

Niezapominajmy o tem, że podatliwość osobista odgrywa także rolę jakąś w ustaleniu barwy człowieka. Anglik, posiadający plantacye w Indyach, powraca, po dłuższym pobycie na Wschodzie, mając skórę tak przesyconą barwnikiem ciemnym, iż jak największa ilość mydła nie zdoła go usunąć w ciągu pozostałego życia. Byłoby rzeczą wdzięczną przeprodzenie poszukiwań według metody już wygłoszonej prof. Boasa, w celu wykrycia, w jakim

stopniu ta zdolność gromadzenia barwnika ochraniającego ujawnia się wśród dzieci pochodzenia europejskiego, ale urodzonych pod zwrotnikami lub przewiezionych tam podczas niemowlęstwa. I odpowiednio należałoby zbadać skłonność szczepów ciemnych do nabywania barwy jaśniejszej w krajach chłodnych. A w głębi wysuwa się pytanie, czy takie skutki podatliwości osobistej dają się przekazywać potomstwu i stać się częścią dziedzictwa cielesnego.

Jedna jeszcze uwaga w przedmiocie barwy. Ludy cywilizowane, jako i wiele ludów pierwotnych, będących pod władzą tamtych, noszą obecnie odzież. Innemi słowy, sprawili figła słońcu, dzięki umysłowi swemu stworzywszy złożony ustrój społeczny, który w łonie swoim zawiera rzemieślników, wyrabiających białe ubiory i hełmy przeciwsłoneczne. W takich warunkach zabarwienie skóry staje się w mierze mniejszej lub większej przedmiotem zbytku. Barwnik ochronny, przynajmniej obecnie, nie wiele działa w porównaniu z rozległością posługi społecznej. Barwa traci w tempie szybkim swoje czynności żywotne. A zatem czy winna zniknąć? W dostatecznie długim okresie czasu, może nawet bardzo długim, wyodosobni się może od ogólnej zdolności do wytrwania w określonych warunkach klimatycznych, której ongi był oznaką wrodzoną. Bądźcobądź, przesady rasowe, które w takiej mierze rozległej opierają się na względach z barwą związanych, są przeznaczone na

zagładę. Stanie się to naówczas, kiedy i o ile rasy barwy ciemniejszej zdołają rozwinąć takie władze umysłu, które pozwolą im w równej mierze współzawodniczyć z rasą białą w owym świecie, co dąży do ogarnięcia wszystkich klimatów.

I oto doszliśmy do rozprawy nad umysłowością ras. Ale w tym zakresie bardziej, niż w jakimkolwiek innym, jesteśmy na łasce swawolnej toni morskiej z braku stosownych proberzy. Albowiem, co mamy za świadectwo umysłu? Umysł i podatliwość są niemal tą samą rzeczą. Rasa, jako pierwiastek stateczny w rozwoju życia, może uchodzić w swej istocie za potęgę przeciwstawiającą się umysłowi, ograniczającą i powstrzymującą. Ale my mamy powracać do starego, wyprzedzającego naukę poglądu na duszę, jako na coś obcego ciału, powściąganego przez nie i ujarzmionego? Tego nigdy nie będzie! Ciało i duch, ze stanowiska nauki winny być pojmowane, jako pozostające w zgodzie doskonałej, jako współdziałacze w zadaniach życia i właśnie dlatego, jako podlegające rozwojowi spólnemu. Musimy przypuścić, iż dziedziczność dotyczy jednakowo obu. W tej samej mierze ciało jest podatliwe i plastyczne, w jakiej jest duch. Niestety, najpodatniejsza pod względem zmienności części ciała, a mianowicie mózg, jest zarazem najtrudniejszą do badania, przynajmniej kiedy osoba żyje. Względem tego narządu nie podobna zdobyć jakie-



gokolwiek probierza, rzucającego światło na dziedziczność. Twierdzą, że wielkość pojemności czaszkowej służy jako cecha wyróżniająca rasy nawzajem. Jest to rzecz niezmiernie wątpliwa, że wyrazimy się łagodnie. Niewątpliwie, średni przedstawiciel Europy wykazuje niejaką przewagę pod tym względem w porównaniu, dajmy na to z Buszmenem. Ale winniście uwzględnić odpowiednią budowę ciała, albowiem roślejшему tułowiu towarzyszy większa głowa, a wtedy okaże się, iż zestawiamy rzeczy oderwane. Zresztą Europejczyk pierwszy może podnieść wrzawę z powodu niewłaściwości tych porównań: niektóre osobniki typu neandertaleńskiego co do pojemności czaszkowej mogą iść o lepsze z niejednym z naszych poetów nowoczesnych i polityków. Rzecz widoczna, iż w tem świadectwie tkwi jakiś błąd. A nawet gdyby badano sam mózg po śmierci i zestawiano kształty i liczby jego zwojów, probierz dziedziczności mocy mózgowej nie byłby także więcej zadowolający. Możliwa na tej drodze wykryć różnice pomiędzy idjotą a osobą średniej inteligencji, ale nie pomiędzy obłąkanym a geniuszem.

Przekraczamy granicę, oddzielającą rzeczy cielesne od duchowych stosując do tego samego zagadnienia o dziedzicznym uposażeniu umysłowym metody nauki, znanej pod nazwą psychologii doświadczalnej. Ostrość wzroku, słuchu, dotyku, powonienia i czucia mierzą, odwołując się do różnych forteli dowcipnych.

Mając na uwadze opowieści, które podróżnicy przywożą ze sobą o wzroku jastrzębim szczepów myśliwskich, możnaby wnioskować, że zestawienia tego rodzaju wypadną ku ich korzyści. Ale wyprawa, wysłana przez wszechnicę w Cambridge do cieśniny Torresa pod kierownictwem dra Haddona, zawierała w swoim łonie kilku psychologów wyszkolonych, którzy zajęli się z uwagą osobliwą tym przedmiotem. Wyniki ich poszukiwań wykazują, że ostrość zmysłu wśród tego szczepu pierwotnego w średnim była niemal ta sama, co wśród Europejczyków. Jedynie wprawa, pozyskana przez nich na polowaniu, uzdolnia go do dostrzegania zwierzyny na znacznej odległości. Istnieje wielka moc bardziej złożonych sposobów badania siły pamięci, uwagi, kojarzeń, rozumowania i wielu innych uzdolnień, uchodzących w przeświadczeniu większości osób za sprawy wyłącznie umysłowe; inne tego rodzaju badania dotyczą wrażliwości na różne podniety, uspołrzednienia ręki a oka, zmęczenia, strachu, i — może najdowcipniej pomyślane ze wszystkich — podniecenia emocjonalnego, ocenianego w oddechu. Są to zjawiska jednocześnie cielesne i fizyczne. Niestety, we wszystkich tych wypadkach psychologia nie zdoła wyróżnić skutków dziedziczności a wprawy nabytej przez osobę, mniejsza czy chodzi o objawy wyższej kultury czy życia rozstrzelonego. W rzeczy samej, na wskróż chwilowy stan ciała i umysłu może wy-

wrząc wpływ na te wyniki. Ktoś, przypuśćmy, wstał późno lub zrobił daleką przechadzkę, lub nie trafił na obiad, a już czas jego odpowiedni na podniecie, ocena osiągnięta dla jego pamięci wykazują różnicę na gorsze. Albo osoba może być poddawana doświadczeniu w usposobieniu bardzo odmiennem. Już uniesiona próżnością, dba o popisanie się swojemi wyższemi uzdolnieniami, kiedyindziej zaś zachowuje się obojętnie, znudzona tem wszystkim. Nie zatrzymujemy się dłużej nad tą sprawą. Czemkolwiek te sposoby staną się w przyszłości, przecież w chwili obecnej są niezdolne do dostarczenia jakiegokolwiek probierza co do sprawności umysłowej, związanej z rasowością. Są płodne jedynie pod względem tablic statystycznych, ale winniśmy doczekać się wyjaśnienia tych tablic, któreby wsparło nasze cele.

Ale przecież, powiadają, możemy powołać się na instynkt wplatający się w życie nasze, tak jednostajny i zarazem tak niezależny od pozostałego ustroju. Bynajmniej! Pogląd, iż instynkt jest częścią mechanizmu tak stateczną, jak przeznaczenia, jest zgoła przestarzały. Wiemy obecnie, iż w wielu razach jest wielce podatliwy, że podlega zmianom w osobnikach poszczególnych, oraz że pociąga za sobą przebiegi świadome, myśl, czucie i wolę, przynajmniej rodzaju początkowego. I w jaki sposób mamy wyodrębnić instynkt? Te nieliczne poruszenia automatyczne na podniecie, występu-

jące wkrótce po urodzeniu, jak n. p. ssanie, moglibyśmy uwzględnić, gdyż nie może być mowy o przekazaniu wprawy przez rodziców i o ich doświadczeniu. Ale co mamy powiedzieć o instynkcie lub o splocie instynktów, związanych ze sprawą płciową? Są one w postaci utajonej do tego okresu życia, kiedy doświadczenie występuje już w całej mocy. Psychologowie roztrząsają wciąż pytanie, czy człowiek jest obdarzony niewielu instynktami lub odwrotnie tylko na pozór wydaje się, iż instynkty są w liczbie nieznaczej, gdyż w istocie rzeczy posiada on tyle ich, iż wciąż krzyżują się nawzajem. Mc Dongall na korzyść tego założenia, świeżo wysunął sprawę, że instynkty osiągnają swój wyraz najlepszy w emocjach natury swoistej. Mniema, iż każdy przebieg, właściwy instynktowi, składa się z ogniwa określającego, czyli zawiadomienia środkowego, oraz w końcu wyładowania. I właśnie przebieg ten w obu swoich krańcach jest w najwyższym stopniu plastyczny. Zawiadomienie i wyładowanie, którym odpowiadają myśl i wola, przekształcają się w swojej budowie w miarę tego, jak doświadczenie dosięga dojrzałości. Natomiast ogniwo środkowe, któremu w obrębie świadomości odpowiada wzruszenie (emocya), pozostaje zawsze to samo. Obawa, podziw, gniew, niesmak, podniecenie, przygnębienie, czułość — wszystkie te czucia według Mc Dongalla, oraz inne bardziej złożone emocje, poczynające się

w skojarzeniu wzajemnem, są wspólne wszystkim ludziom i świadczą o istnieniu w nich dążności do odpowiedzi odruchowej na podniety w sposób stosunkowo odrębny a określony. A wiele możnaby w swoim rozumieniu rzeczy, powiedzieć na korzyść sprawy tej spornej.

Ale zważywszy to wszystko, czyż jednak otrzymaliśmy probierz jakikolwiek na zasadzie którego moglibyśmy wyróżniać rasy ludzkie? Bynajmniej. Naodwrot, o ile mamy wyrokować na podstawie emocyi, właściwych człowiekowi, jest on wszędzie bardzo podobny, od Chin do Peruwji. Wszystkie instynkty istnieją w zarodku, acz obyczaje odmienne i różne szczeble kultury usiłują naprzód wysunąć osobliwe módy odczuwania.

Zaprawdę, warto tutaj zaznaczyć jeden z paradoksów. Powiadają, iż murzyn wyróżnia się od białego pobudliwością czuciową. A tymczasem badania dokonywane przez pannę Kellor z Chicago nad murzynkami i białymi kobietami (a chodziło o zbadanie wpływów wzruszenia na oddech), wykazały, że tamte odznaczają się większą opornością. I cokolwiek sądzilibyśmy o wartości takich metod dowodzenia, rzecz pewna, że badacze ludów pierwotnych gotowi poczytywać większość z pośród nich za odłamy apatyczne, chyba, że płąsy lub inne zdarzenie społeczne wprawiają ich w usposobienie podniecone. Możliwa, że zgoła nie wrodzony temperament murzyna, lecz obyczaj, wspólny mu

z innymi ludami tego szczebla kultury, współzycia i współdziałania gromadnego jest źródłem tej jego pobudliwości pozornej. Ale tak bywa i w krajach cywilizowanych. Badanie cech rasowych przyrodzenia umysłowego napotyka nową zawadę.

Jaki jest więc ostatecznie, zapytanie, wynik tego rozdziału, obfitującego jedynie w przeczenia? Czy zmierza ku hasłom równości powszechnej i braterstwa? A może, naodwrot, wykazuje potrzebę poważnego pielęgnowania dobrze urodzonych pod względem umysłowym osobników drogą doboru małżeńskiego? Nie. Nie podsuwam najmniejszej myśli praktycznej. Usiłując jedynie dowieść, iż rozważana pod względem antropologicznym — t. j. jedynie ze stanowiska teorii, — rasa jest rzeczą, której nie podobna w dobie obecnej wyodrębnić, choć wiadomo, iż istnieje. Zastosowania praktyczne zaś winny poczekać na teorię; przesady, acz złe same w sobie, nie są chyba gorszymi doradcami czynu, niż chęć przedwczesnego wyzyskiwania wiedzy.

Co do braterstwa powszechnego ludów możemy jedno powiedzieć: poglądy starodawne w stosunku do rasy są nieco czerstwe i w sposób widoczny chyłą się ku upadkowi. W każdym razie, podatliwości czyli zdolności do dostrajania się względem otoczenia należy wydzielić wpływ większy w zakresie kształtowania się umysłu, aniżeli dotychczas to robiono. Ale nic

zgoła nie wiemy, w jakim stosunku ta podatliwość ma się do rasy. Możliwa, że dziedziczenie wprawy przodków wciela w niejkiej mierze skutki jej w potomstwie rodziców podatliwych. A może podatliwość ta wzrasta w miarę tego, jak krzyżowanie odbywa się według skali rozleglejszej. Zagadnienia te oczekują dopiero rozwiązania.

Co zaś dotyczy sprawy eugenistów, t. j. osób dobrze urodzonych pod względem antropologicznym, rzecz niewątpliwa, iż nawet w krajach cywilizowanych odbywa się rozległe i stateczne wyrugowywanie osobników. Obliczono, iż na sto Anglików, którzy żywi przyszli na świat, 50 nie dożywa do okresu dojrzałości płciowej, z pozostałych zaś połowa wydaje na świat  $\frac{3}{4}$  całego pokolenia następnego. Ale czy to rugowanie jest doborem? niewątpimy o tem, przynajmniej w mierze niejkiej. Ale o jego wynikach, a zatem czy wspiera oporność względem pewnych chorób, czy zdolność do osiadłego życia w murach miejskich lub umysłowość i uspołecznienie, możemy jedynie czynić przypuszczenia. Czyż ograniczywszy się jedynie do swej własnej ojczyzny, zdołamy powiedzieć, jaki typ się rozmnaża? Z drugiej strony, jeśli rozejrzemy się po dziedzinie rozleglejszej i będziemy badali wyniki krzyżowania rasowego, znajdziemy się na nowych manowcach. Może jest prawdą, iż osobnik krwi połowicznej jest okazem nieszczęśliwym, a jednak sprawa ra-

sowa pozostaje w postaci nieziennej, dopóki nie odciągniemy czegoś na rzecz warunków przyjścia jego na świat. Również możliwa, iż krzyżowanie wzmacnia płodność, ale nie zbliżyliśmy się do rozwiązania, dopóki nie udowodnimy, iż ten wzrost płodności nie tylko nawadnia świat typami pośledniejszemi.

Jeśli w rozdziale niniejszym tkwi jakiś morał natury praktycznej, tedy morał ów będzie następujący: należy zachęcić antropologów do większego przykładania się do poszukiwań nad rasą, a przed osiągnięciem dobrych wyników nie należy spieszyć się z zastosowaniami.



## ROZDZIAŁ IV.

### O T O C Z E N I E.

Dziecko, przychodząc na świat, w ciągu trzech kwartałów podlegało już wpływowi otoczenia. Rasa zaś jego była ustalona w chwili poczęcia się. Rozległość właściwej mu podatliwości na zmiany, którą rozważaliśmy, jako czynnik niezależny od rasowości, uzdolnia je, w kierunku dodatnim lub ujemnym, do odpowiadania na wpływy otoczenia macierzystego, w okresie przed urodzeniem. Możemy łącznie zbłądzić, przypuszczając, iż rasa ulega zwyrodnieniu, wówczas gdy niewystarczający pokarm i przebywanie matek w warunkach niezdrowotnych są istotną przyczyną obfitego rodzenia się zwykłych osobników, z których powodu rozpaczamy. A o ile rzeczy te przybrały taki obrót, działacze, zajmujący się reformą stosunków społecznych, mogą być zadowoleni. Doskonalenie rasy drogą doboru dobrze urodzonych, acz niezaprzeczenie możliwe w pewnych granicach, pozostaje przecież nieziszczonym marzeniem z braku oświaty.

Z drugiej strony, polepszenie otoczenia materialnego jest sprawą prostą, byleby sumienie publiczne ocknęło się i zrozumiało potrzebę podjęcia takiej pracy na rzecz wszystkich warstw społecznych. Jeśli człowiek cywilizowany pragnie chlubić się swoim stanowiskiem poczesnym wśród rodzaju ludzkiego, ta wyższość jego powinna ujawnić się nadewszystko w jego panowaniu nad otoczeniem materialnym. Cokolwiek da się powiedzieć o przeszłości, w dobie obecnej musimy uważać za prawdę rzetelną wyrzeczenie, iż człowiek w jednakiej mierze stwarza własne otoczenie materialne, jak jest jego dziełem.

Bądźcobądź, faktem jest, że warunki materialne w najszerszym znaczeniu tego wyrazu, wśród których przebywamy, odgrywają rolę bardzo stanowczą w kształtowaniu naszego życia. Ztąd pochodzi doniosłość dociekań geograficznych, o ile te biorą człowieka za swój przedmiot. Od chwili poczęcia się swego dziecko podlega oddziaływaniu ze strony czynników geograficznych. Weźmy chociażby dziecko Anglików, urodzone w Indjach. Kilka czynników sprzysięga się przeciw jego wyżyciu lub na korzyść jego. Dla prostoty przypuszczamy, iż są rodzaju trojakiego. Po pierwsze, dziecko należy do odłamu, posiadającego określoną kulturę, innemi słowy urodziło się, mając w ustach swoich świstek papieru, świadczący, iż należy mu się jeden z udziałów w Imperyum brytańskim. Po-

wtóre, pochodzi ono z rasy, która przekazała mu włosy jasne i oczy błękitne, oraz budowę odpowiednią ciała. Potrzebie, działa klimat, oraz czynniki, pozostające w związku z klimatem. Dzięki pierwszemu z punktów wyluszczonych, dziecko białe ma przewagę nad dzieckiem tubylczem, zwłaszcza, iż otoczone jest troskliwszą pieczą, biorącą pod uwagę zasady higieny; ale pozostaje ono w takim rozdźwięku względem klimatu i wymagań rasy swojej, iż stanowczo umarłoby, gdyby go zawczasu nie wywieziono z Indji. Możliwa, iż Anglik przystosowałby się do klimatu, właściwego Indjom, ale za cenę niezmiernego trwonienia życia niemowląt, jednak nie wykazuje on najmniejszej chęci płacenia takiego haraczu.

Jakie są szranki wpływów geograficznych? gdzie poczynają się one i kończą? a gdy sprowadziliśmy te wpływy do trzech wyrazów: położenia, rasy i kultury, następuje pytanie, który z tych trzech czynników, o ile któryś to robi, panuje na długą metę nad pozostałymi? Pamiętajmy o tem, że antropolog stara się zostać historykiem, ogarniającym dalekie widnokreśli. Usiłuje on objąć historję pospolitą, którą mierzy na lata, proto-historję, względem której posługuje się skalą stuleci, oraz okresy przed-historyczne, które wynoszą tysiąclecia. Rozważa Anglików zarówno w Indjach jak i w Australji. Ażali jeden z tych najazdów, rozpatrywany ze stanowiska takich dalekich widnokręgów, ma

być zdarzeniem przypadkowym, drugi zaś posiadać trwały charakter? A w południowych dzielnicach Stanów Zjednoczonych przebywają obok siebie biali, czarni i czerwonoskórzy, prócz klimatu posiadający niewiele punktów nawzajem stycznych. Odmienne rasy, różne kultury i wspólne środowisko geograficzne! Jakie wyniki wyda taki stan rzeczy ze stanowiska historyków, przyzwyczajonych do powolnych a dalekich rzutów oka antropologicznych? Warto rozwikłać tę łamigłówkę. Ale nie spodziewajmy się, iż rozwikłamy ją całkowicie.

Geografia, w swojej odnodze, znanej pod nazwą antro-po-geografji, wygłasza roszczenia do przodowania naukom antropologicznym. Niewątpliwie, gruntowna znajomość geografii powinna stać się w przyszłości częścią ryszunku antropologicznego. Szkoła Ratzela w Niemczech i le Ploya we Francyi, nie skąpią uogólnień, które są zbyt powabne, ażeby miały być rzetelnymi. Na wzór innych specjalistów wygórowali oni doniosłość swojego zakresu poszukiwań. Życie w całkowitej swojej rozległości nie da się ująć w wyraz warunków materyalnych. Bynajmniej nie jestem zbudowany oświadczeniem Ratzela, iż człowiek jest sztuką ziemi, ani nie sędzę, ażeby powiedziano słowo ostatnie, kiedy jego zwolennicy, pragnący w dalszym ciągu rozwinać jego poglądy, a wyróżniający atmosferę, czyli powłokę powietrzną, hydrosferę, czyli powłokę wodną, litosferę, czyli twardą skorupę,

i centrosferę, t. j. rdzeń wewnętrzny, dodają, iż człowiek jest najczynniejszą częstką biosfery pośredniczącej, czyli powłoki żyjącej.

Albo posłuchajmy na chwilę Desmolinsa, autora wiele dającej książki: „Szlaki dziejowe a typy społeczne“ (która wyszła w przekładzie polskim). „Istnieje — powiada — w przedmowie — na globie nieskończona różnorodność ludów. Jaka przyczyna sprawiła tę różnorodność? Na to odpowiadają: rasa. Ale rasa nie daje należytego wyjaśnienia, bo trzeba najpierw zbadać, jakie czynniki stworzyły odrębność rasy. Ale rasa nie jest przyczyną, jeno skutkiem. Zasadniczem i stanowczem źródłem różnorodności ludów i odmienności ras to droga, po której szły ludy“. A w innym miejscu powiada: „Gdyby historia rodzaju ludzkiego poczęła się ponownie na globie jeszcze nie przekształconym, to jej ogniwa powtórzyłyby się w zarysie ogólnym. Niewątpliwie istniałyby różnice drugorzędne, np. w objawach życia publicznego, w przełomach politycznych, którym zanadto wiele udzielamy znaczenia, lecz jednakie drogi wydałyby te same typy społeczne i napiętnowały je tym samym charakterem zasadniczym“.

Niepodobna walczyć przeciw poglądom opartym na wierze, zwłaszcza, gdy zakrawają na proroctwa, nie podlegające sprawdzeniu. Niechaj ostrożnie myślący antropolog wystrzega się kładzenia wszystkich jaj do jednego koszyka! Niechaj stara się wciągnąć do obra-

chunku każdy czynnik według jego wartości! Rasa musi coś działać, bo czemuż inne zwierzęta nie zaglądały do naszej księgi i nie budują, na podstawie stosownej, cywilizacyi współzawodniczących? Czemu ludzie hodują bydło, nie zaś bydła — ludzi! Jesteśmy stworzeniami rozumnymi, ponieważ ta właściwość tkwi w naszym przyrodzeniu. Ale kultura wraz z umysłowością i możliwością wyboru, także coś zawazyły. Łatwą rzeczą jest rozumowanie, iż ponieważ istniały w Azji stepy, a na nich konie oczekujące oswojenia, człowiek winien był obłaskawić je rychlej lub później i dać początek tak znamiennej kulturze koczowniczej. Ale czemu człowiek oswoił konia raczej zbyt późno. A dlaczego czerwonoskóry amerykański nigdy nie obłaskawił bizona i nie jął się pasterstwa w obrębie swoich preryi rozległych? I czemu ani biali ani czarni nie skorzystali w Afryce ze słonia? Czy dlatego, iż niepodobna było tego dokonać lub ponieważ człowiek nie umiał jąć się rzeczy?

Ale gdy uwzględnimy przesadę, będącą zresztą do wybaczenia, w gałęzi nauki, torującej sobie drogę ku stanowisku przodującemu, antro-po-geografja pozostaje bądźco bądź doniosłą metodą dociekania historycznego, i antropolog powinien nabyć wprawy w jej stosowaniu. Że wyłożymy rzecz bez ogródki, winien on pracować zawsze, opierając się łokciami swemi o mapę ziemi.

A nadewszystko, niechaj dopuści, iż świat

ludzki pozostaje stateczny, a wtedy niechaj wyznaczy rozmieszczenie ciepła, wilgoci, chorób, roślinności, zwierząt służących na pokarm, tyków fizycznych człowieka, gęstości zaludnienia, przemysłu, ustrojów rządu, religii, języków. Jak dalece te różne rozmieszczenia trzymają się nawzajem? Ujrzy, że wiele rzeczy pozostaje w sprzężeniu wzajemnem, zgoła naturalnem. Znajdzie, iż wzdłuż równika, zarówno w Afryce, jak w Ameryce południowej i na Borneo ludzie porzucają pracę ku południowi i udają się na odpoczynek. Z drugiej strony, inne rzeczy nie dostrajają się do siebie w taki sposób doskonały. Np. chociaż wszyscy w tej dzielnicy mają barwę ciemną, przecież Amerykanie południowi są odcienia miedzianego, Afrykańczycy — czarni, Borneańczycy żółci.

Za sprawą tych rozdźwięków może zechce poznać zbliska ów świat ludzki w ruchu. Zwróci się do obcowania wzajemnego różnych ludów, wysuwającego przed nim stosunki zgoła nowego rodzaju. Ale dopóki będzie zaprzętał się opisami odosobnionemi, dotyczącemi nie tylko otoczenia materialnego, ale i zarządzeń natury społecznej, dostrajających się do tego podłoża, będzie pracował wychodząc z założeń geografji. Dopiero, gdy stanie w obliczu opisu uogólniającego lub wyjaśnień historycznych, np., gdy będzie usiłował dowieść, iż w tem, nie zaś w tamtem miejscu cywilizacja ma widoki większe powstania, nawówczas rozważania wyłącznie

geograficzne przestają mu wystarczać. Rozmieszczenie jest tylko jedną stroną rozwoju. Ale jest zarazem stroną bardzo doniosłą, jak to uwydatni pobieżny przegląd świata według jego dzielnic geograficznych.

Poczynamy od Europy, ażeby stopniowo przechodzić od rzeczy bardziej znanych do mniej znanych. Lecky mówił o „okresie europejskim umysłowości ludzkiej“. Jak wygląda widownia geograficzna i fizyczna tej epoki? Możemy wyróżnić — trzymam się poglądów prof. Myersa — trzy szczeble w jej rozwoju: najpierw okres nadrzeczny, następnie nadśródziemnomorski, wkońcu obecny, atlantycki. Doliny Nilu i Eufratu były obie kolebkami cywilizacji zarówno trwałej, jak wspaniałej. Ale te cywilizacje poczęły się nie samorzutnie. Rzeki wsparły człowieka, ale i człowiek wsparł je, budując sieć kanałów unawadniających. W toku dalszym, od czasu Minosa aż ku schyłkowi Średniowiecza, pomorze nadśródziemnomorskie było ogniskiem wyższego rzędu życia, o ile nie bierzemy pod rachubę cywilizacji hinduskiej i chińskiej, a nadto podrzędniejszych, peruwiańskiej i meksykańskiej. Zatrzymam się nad tym drugim okresem, ile że jest zwłaszcza pouczający ze stanowiska geograficznego. W końcu, od czasów odkrycia Ameryki, handel morski, powołany do istnienia w charakterze pierwiastka cywilizacyjnego początkowo, przez warunki, właściwe okolicom Morza Śródziemnego, obrał



sobie za oparcie wybrzeże, Atlantykę i zwłaszcza kraje portów przyrodzonych, a mianowicie wyspy brytańskie. Winniśmy wziąć rozbrat z terminami półkuli wschodniej i zachodniej. W zastosowaniu do czasów nowożytnych istnieje różnica pomiędzy półkulą lądową, której ognisko znajduje się w Europie na wybrzeżu nadatlantyckim, a morską, zlewającą się z gruba z obszarami Oceanu Spokojnego. Tylko ten ocean jest rzetelnym oceanem, Atlantyk staje się z dniem każdym coraz bardziej stawem do hodowli śledzi.

Zwróciwszy oko swoje ku obszarowi nadśródziemnomorskiemu (wraz z morzem Czarnym), z łatwością dostrzegamy, że tworzy dobrze wyodrębnioną dzielnicę geograficzną, zdolną do wystąpienia w charakterze przestrzeni, nakładającej piętno osobliwe, i to bardziej niż jakakolwiek inna dzielnica świata, ile, iż jej ludy odmienne miały działy i umiejętność do wejścia z sobą w obcowanie wzajemne na drodze wodnej. Nadewszystko należy wziąć pod uwagę nieprzerwane ogrodzenia, które ochrania tę dzielnicę. Od Pyrenejów wprost do Araratu idzie wielka fałda Alp, jako zmarszczka w zmiętoszonej serwecie: Sierry hiszpańskie i Atlas tworzą przedłużenie tego koła na południo-zachodzie, pustynia zaś gdzieindziej. Ukształtowanie wybrzeży, w zakresie obcowania drogą wodną, zwłaszcza na północy z jej półwyspami i wyspami, odtwarza jak gdyby widok zatopionej wyspy

górskiej. Ta sama budowa, w związku z roślinnością i światem zwierzęcym, znajdującymi poparcie ze strony klimatu, wyjaśnia wielorakość życia politycznego, sprzyjającego niezależności, która jednak nie zdolna była podołać wszystkim potrzebom. Pas lasów, za sprawą suchego lata, utkwiał w linii śniegów, poniżej ciągnęła się strefa zarośli, która, dostarczając skąpej okazji polowania, zmuszała ludzi do uprawy zbóż i hodowli drzewa oliwkowego i macicy winnej w najmniej bagnistych miejscach niziny, rozrzuconych, jako oazy wśród wzgórz i cyplów.

Otoczenie wśród wybrzeży północnych przez długie wieki raczej powściągało człowieka, niż go wspierało. Uniemożliwiało poruszenia tłumne. Wielkie powodzie wychodźstwa ze stepów na północo-wschodzie i z kniei północno-zachodniej będą uderzały o przegrodę górską, prześiakały przez nią, jako strumyki i tworzyły tu i ówdzie niewielkie rozlewy. Drobne rozterki pomiędzy wybrzeżem, nizina a górami, jak np. w Attyce, jedynie zaostrzały odrębność już poprzednio istniejącą. Naodwrot, na wybrzeżu południowym Morza Śródziemnego, tam, gdzie ciągnęła się okolica otwarta, acz w stopniu wielkim pustynna, istniał w okresie pierwotnym przestwór do plenięcia się rasy jednolitej. Właśnie w Afryce północnej winniśmy bodaj poszukiwać pra-kolebki rasy nadśródziemnomorskiej, o niskiej a śniadej twarzy owalnej i cza-

szce podłużnej, która w okresie neolitycznym osiadła na przeciwległym wybrzeżu Morza Śródziemnego, a ztąd wysunęła odnogę wzdłuż ciepłego wybrzeża Atlantyku aż do Szkocyi, jako też ku wschodowi do porzeczka górnego Dunaju, na południe zaś i na wschód zalała Egipt, Arabię i kraj Sowralów z rozgałęzieniami, idącymi w tym samym kierunku jeszcze dalej. W końcu, w wschodniej okolicy Morza Śródziemnego wyciągnięto naukę z korzyści, jakie wypływają z żeglugi. Tam począł się istotny okres nadśródziemnomorski, będący w gruncie rzeczy okresem handlu morskiego. Wybrzeże północne, porznięte przez półwyspy, miało wielkie widoki rozwoju. Kartaginę na wybrzeżu południowym należy poczytywać za nieudatną próbę, która nie mogła ziścić pokładanych nadziei. A z tego możemy wyciągnąć morał, iż Śródziemnomorski okres okazał się idealną pielęgnarnią żeglarzy, ale dopiero naówczas, gdy ludzie posiadli odwagę i rozum, ażeby jać się morza. Czynniki geograficzne, przynajmniej częściowo, jest zarówno wynikiem jak i przyczyną zdarzeń.

Udajmy się teraz na północ, która w okresie wczesnym ludów nadśródziemnomorskich, była kolebką cudzoziemców-barbarzyńców, zagrażających ustalonemu trybowi osiadłego życia. Winniśmy rozpatrywać Europę północną i Azyę północną, jako tę samą dzielnicę geograficzną, tymczasem Azya Mniejsza, wraz z doliną Eufratesu i w pewnej mierze z Arabią,

należą do dzielnicy nadśródziemnomorskiej. Indyje i Chiny, oraz leżący pomiędzy niemi kąć południowo-wschodni Azji, tworzą całkowicie inny ustrój, o którym pomówimy kiedyś.

Północna dzielnica eurazyatycka, z natury samej, t. j., o ile ręka człowieka nie spowodowała zmian, składa się z czterech stref. Pierwszą od południa jest grzbiet górski, przechodzący ku wschodowi w płaskowyż. Na północ od niej, od dolnego Dunaju aż do Chin, ciągnie się strefa trawiasta, czyli stepowa, o niższym poziomie, która podczas łagodniejszych okresów epoki lodowcowej i bezpośrednio po jej ustąpieniu musiała sięgać aż do Atlantyku. Jeszcze dalej ku północy leży strefa lasów, obecnie rozwinięta doskonale w Syberii. W końcu, wzdłuż krawędzi morza Podbiegunowego, ciągnie się tundra, której zamrożona gleba dostarcza za ledwie porostu, znanego jako mech reniferowy; na zachodzie, jak np. na naszych wyspach, bagna i mokradła odtwarzają tę strefę jałowych gruntów w stopniu złagodzonej.

Strefa górska w całkowitej swojej długości jest ojczyzną krótkogłowców, tak zwanej rasy alpejskiej, co do której istnieje pogląd powszechny, iż przywędrowała z wyniosłych płaskowzgórzy Azji. Ci krótkogłowcy pojawiają się w Europie zachodniej wszędzie, gdziekolwiek istnieją góry, wysyłające odnogi z pagórzystych okolic Francji środkowej do Brytanii. Tutaj wprowadzili umiejętność użytkowania z brązu

(wynałazek, pono pozyskany przez nich za sprawą zetknięcia się z Egipcyanami na bliższym Wschodzie), acz nie pozostawili śladów wybitnych wśród ludności. Na drugim krańcu Europy dosięgnęli Grecy, wsiąkając w jej ludność statecznie, choć nielicznie. W Azji Mniejszej opuścili swoje góry, jako straszni Hettycy, lud, któremu żydzi zawdzięczają swoje nosy znamienne a niesemickie. Ale czyż ci wszyscy krótkogłowcy są tej samej rasy? Prof. Ridgevay wygłosił teorię raczej paradoksalną, iż jak konie boerskie o długim łbie, przekształciły się w górach basuckich w kuce łba okrągłego, to samo przytrafiło się w ciągu paru pokoleń góralom rodzaju ludzkiego bez względu na ich krew. Twierdzenie to niewątpliwie wygórowało skutki otoczenia. Obecnie, w stanie dzisiejszym naszej wiedzy, byłoby przedwczesne zarówno zaprzeczanie, jakoteż wysuwanie poglądu, iż krótkogłowość towarzyszy pobytowi w górach, o ile uwzględnimy bardzo długie przeciągi czasu.

Stepy z kolei przykuwają uwagę naszą. Stąd wychodziły uciążliwe gromady tasegów azjatyckich, które, odrzucone wielokrotnie, dokonały wyłomu w szańcu nadśródziemorskim i osiadły jako Turcy; u drugiej zaś krawędzi kolebki swojej przedostali się do Chin, których wielki mur nie zdołał ocalić, i dali początek rządóm Mandżurów. Biorąc za punkt wyjścia stepy, oraz lud, co oswoił był konia, moglibyśmy wraz z antropo-geografem znaku odważniejszego wy-

prowadzić wszystkie drogi jego życia, koczownictwo, obfitość pokarmu aż do karmienia dzieci mlekiem, tak trudnym do otrzymania dalej ku południowi, ustrój pospólny, powagę typu patryarchalnego, budowę karawan, które mogą wessać w siebie całe hordy niby ławica szarańczy itd. Ale nadewszystko wypadało oswoić konia. Człowiek paleolityczny w Europie miał koniny pod dostatkiem. W Solutré, nieco na północ od Lugduna, śmietnisko, długości 100 jardów, 10 zaś stóp szerokości, składa się przeważnie z kości koni, po większej części młodych a delikatnych. To świadczy, iż myśliwcy starocześni umieli korzystać w chwili w właściwy im nieopatrzny sposób, jak i tacy Buzmeni, którzy pozostawili po sobie także same kościarnie w Afryce południowej. A jednak człowiek paleolityczny nie oswoił pono konia. Otoczenie dostarcza jedynie pobudki, ale człowiek może nie być zdolnym do pójścia za nią.

Knieje północy umożliwiają polowanie obfite, ale wątpliwa, czy sprostają wyhodowaniu ludnego roju ludzkiego, dopóki narzędzia z kamienia robione, są jedynymi pomocnikami do uporania się z roślinnością i trzebieenia lasu, gdyż wilgotność staje na przeszkodzie stosowaniu ognia do karczowania lasów. Rzecz pozostaje poniekąd tajemnicą, czy tutaj znajdowała się ojczyzna rasy północnej, wysokich a jasnej barwy Teutonów, acz obecnie weszło w modę umieszczać ją raczej na północnym

wschodzie Europy niż w Azji, i jednocześnie twierdzić, iż za sprawą istniejących ongi smug wody była w stopniu większym lub mniejszym wyodrębniona od pozostałego świata. Ale gdziekolwiek ta kolebka leżała, musiała zawierać ilość ziemi, umożliwiającą tryb pasterski życia, urozmaicony może przez dorywcze polowanie z jednej, prostaczą zaś uprawę roślin z drugiej strony. Nadśródziemnomorczyk, przybywający z Afryki północnej, krainy wspaniałej ze stanowiska wymagań konia, mógł współzawodniczyć z Azyatą stepowym w sprawie zaszczeplenia kultury bardziej urozmaiconej na północy. Bądźco bądź Germanowie Tacyta, gdy wychodzą na widowie historyczną, bynajmniej nie są mieszkańcami puszczy, jeno krajów lesistych, wychowankami trzebieży leśnych, czerpiącymi utrzymanie ze źródeł wielorakich, obeznanymi między innymi z morzem i jego drogami o wiele więcej, niż ci Pomorzanie wcześni, których nędzne śmietniska kuchenne znaleziono na wybrzeżu duńskim.

Co do tundry wystarcza powiedzieć, iż wszystko tam zależy od renifera. To zwierzę jest źródłem istnienia, jako też jedynym celem Lapończyków. Nansen, przebywszy Grenlandyę, wracał do ojczyzny z dwoma Lapończykami. Zwrócił ich uwagę na tłumi, które zebrały się na ich powitanie w porcie. „Ach! rzekł starszy i poważniejszy z pośród nich, gdyby to były renifery!” Oswojony renifer dostarcza mleka i mię-

sa, ale potrzebne są znaczne stada, ażeby społeczność opływała w dostatku. W innym razie polowanie i rybołówstwo muszą przyczynić się do zaopatrzenia spiżarni. Nędzny byt prowadzą plemiona lub właściwie szczątki plemion w tundrze syberyjskiej, nie posiadający reniferów. Z drugiej strony pomiędzy Korjakami i niektórymi Czukczami istnieje obfitość dzikich reniferów i polowanie samo wystarcza na utrzymanie.

Przejdziemy obecnie od północy eurazyatyckiej do Ameryki północnej, która pod względem zoologicznym jest niemal jej przyczepem, np. jej tundry, miejsce pobytu Eskimów, tworzą jedną całość zwartą ze strefą azyatycką. Acz posiada inną roślinność i świat zwierzęcy, Ameryka południowa tworzy prawdopodobnie część tej samej dzielnicy geograficznej, o ile rzecz dotyczy człowieka, który, jak są po temu poszlaki, dotarł do niej bardzo wcześnie. Ale, co najwyżej, możemy jedynie czynić przypuszczenia co do wielkich przyczyn sprawnych, geograficznych i innych, dopóki nie zgromadzimy obfitszego materiału w zakresie pra-historyi Indyanina amerykańskiego. Wiele zależy od tego, w jakim okresie osiągnął tej dzielnicy, albowiem rzecz to mało prawdopodobna, ażeby począł się tutaj, chociażby dlatego, że nie znaleziono w Ameryce typów człekokształtnych. Typ rasowy, prócz Eskimów i może łowców łososia wzdłuż wybrzeża północno-zachodniego, jedno-



stajny wszere i wzdłuż całego ładu, wykazuje raczej odległe powinowactwo z Mongołami azjatyckimi. Ani drogi przedostania się człowieka z Azji północnej nie nastęrczają trudnościami. Nawet jeśli przypuścimy, iż most łądowy, będący dzisiaj wyspami abuckimi, został zamknięty zbyt wcześnie, ażeby człowiek zdołał skorzystać z niego, przecież zawsze istniało przejście po lodzie przez cieśninę Behringa, które jeśli udźwigało mamuta, jak o tem świadczą jego szczątki w Alasce, mogło także wytrzymać ciężar człowieka. Ale w jaki sposób rozmieścił się po tym łądzie, gdy przebył tę zawadę? Geografia w chwili obecnej może nam o tem powiedzieć bardzo mało. Wprawdzie Desmoline wytyka trzy drogi, jedną wzdłuż Gór Skalistych, drugą ku środkowej połaci preryi, trzecią i najważniejszą — wielkich jezior. Ale są to wszystko czcze domysły. Faktów na poparcie tego niema. Trudno zgromadzić w tej dziedzinie dowody, dotyczące rozmieszczenia ludzi, gdyż typ cielesny jest jednostajny. Probiezrem najdonioślejszym jest dowód poniekąd natury bardzo niewystarczającej, spoczywający w rozmieszczeniu języków przeróżnych. Istnienie języków tej samej budowy w okolicach bardzo odległych wytyka parę bardzo ciekawych szlaków wychodźstwa, najwymowniejszego zaś przykładu dostarcza znalezienie szczepu lingwistycznego atapskiego na północo-zachodzie, na pograniczu Alaski, następnie w jednej lub dwóch

miejsowościach oregonu południowo-zachodniego i Kalifornii północno-zachodniej, gdzie zasadą jest zamęt zupełny w zakresie języków; w końcu w górzystej krainie południowej wzdłuż Colorado i Utahu aż do granicy meksykańskiej po drugiej stronie. Ale czy z tego rozmieszczenia wypływa, iż Apachowie, będący u południowej krawędzi pasma, przybyli do obecnego miejsca pobytu swego z Alaski wzdłuż Gór Skalistych i Pacyfiku? Może tak było; ale są i tacy, co mniemają, iż istnieją dowody posuwania się plemion ku północy, wypędzonych uprzednio na południe w okresie zlodowacenia. Otóż obowiązkiem pierwszym jest ustalenie starożytności amerykańskiego typu człowieka.

Musimy poprzestać na jednym rzucie oka na Amerykę południową. Pod względem geograficznym ląd ten składa się z trzech części. Ku zachodowi Oceanu Spokojnego pasmo zwarte wyniosłości, biegnące od Meksyku aż do Chili i będące ogniskiem dwóch lub większej nawet liczby kultur rzędu wyższego. Ku wschodowi ciągnie się wilgotna knieja równikowa, obejmująca wachlarzowaty ustrój rzek, a później przechodząca w zdrowszą wyniosłość, całość zaś w stanie swoim pierwotnym urąga wszelkim wysiłkom człowieka. Poniżej leży dzielnica stepowa pumpów, oczekująca jedynie na konia, ażeby wydobyć na jaw uzdolnienia tubylców.

Zanim rozstaniemy się z zagadnieniem o oswojeniu konia, z którego kilkakrotnie użytkowa-

liśmy, ażeby wykazać, jak dalece pomyślne warunki geograficzne i wynalazczość ludzka winne współdziałać nawzajem, warto zaznaczyć, jak któryś wynalazek może w prędkim tempie przekształcić doszczętnie tryb życia nawet ludów pierwotnych, acz zazwyczaj jesteśmy tego zdania, iż obyczaj sięgający czasów zamierzchłych, jak gdyby ich spętał i skazał na nieruchomość. Gdy Europejczycy natknęli się po raz pierwszy na czerwonoskórców Ameryki południowej, znaleźli ludy myśliwskie i rybackie, ale trudniące się uprawą roli, jako sprawą drugorzędną, wszędzie na wschód od Misissipi, jakoteż na południe, w ogóle w osiedleniu, choć osady leżały w znacznej od siebie odległości. W każdym razie przed najazdem ludy te w znacznej mierze zażywały bezpieczeństwa i spokoju. Przybycie białych rzuciło niebawem ich na siebie i stargało granice starodawne. Jednocześnie przedostały się koń i broń palna. W niezmiernie rychłym czasie Indyanin wzył się w nowy tryb życia, stepowy, a ustawiczne parcie przybyszów nadało mu piętno rozbójnicze, które w innych warunkach byłoby nieobecne. Podobny stan rzeczy, acz warunki i wyniki były inne, powtórzył się w pampach Ameryki południowej; Indyanie, mają konia, jak Patagończycy, który wygląda na pozór na wytwór gleby ojczyzny, gdy w istocie rzeczy jest on dziełem nowoczesnej kultury najezdniczej.

A teraz zwrócimy się do Azji południowej

z jej dwoma zbiornikami życia, Indyanami i Chinami, oraz leżącym pomiędzy niemi wyniosłym cyplem, wytykającym drogę ku Archipelagowi indonezyjskiemu, a ztamtąd jeszcze dalej ku szeroko rozsiadłej dzielnicy australskiej, ku tysiącnym wyspom, zmiennym w wielkości swojej od rozmiarów lądu do zwyczajnego atolu koralowego. Winniśmy tutaj znaleźć pielęgniarnię żeglarzy na większą skalę niż w Nadśródziemnomorzu. Albowiem należy o tem pamiętać, iż stąd, drogą morską, człowiek rozsiedlił się na przestrzeni od wyspy Wielkanocnej we wschodniej części Pacyfiku, aż do Madagaskaru. (Znajdujemy tutaj wychodźców jawańskich obok Murzynów, którzy są pochodzenia prawdopodobnie papuańskiego, mowa ras jest typu moleypolynezyjskiego). Indye i Chiny w mierze jednakowej zasługują na stanowisko samodzielnych dzielnic geograficznych. Każdy z tych krajów jest samoistnem ogniskiem osadnictwa, a gdziekolwiek mamy takie ognisko ludności, tam także istnieją wpływy natury kulturalnej, które współdziałają z otoczeniem, ażeby wyplenić kształty, które zabłąkały się były wraz z przybyszami; to samo oglądamy np. w Egipcie, w którym znamienny typ cielesny, a właściwie para takich typów, jeden ordynarniejszy, drugi zaś subtelniejszy, bodaj dotrwały od zarania jego historii dłużej na przekór ustawicznemu napływowi ras innych. Indye i Chiny tyle ucierpiały z winy najazdów, które poczynały się w północnej

dzielnicy euroazyatyckiej, ale jednocześnie są tak rozległe i zawierają tak różnorodne warunki materialne, iż zdołały w ciągu długich lat wysłać ludne rzesze, poszukujące szczęścia na południo-wschodzie.

Ale niepodobna nieuwzględnić możliwości wędrówek wcześniejszych w kierunku odwrotnym. Wiele powag naukowych umieszcza pra-kolebkę rodzaju ludzkiego w Indonezyi, w ojczyźnie orangutanga i gibbona, że już nie mówimy o pithecanthroposie; nie od rzeczy będzie dotknąć się nieco zagadnień, które wymagają rozważań z zakresu paleo-geografii, tej najbardziej różnorodnej i różnobarwnej ze wszystkich nauk. Gdy zatopione, które ta nauka wydobywa z głębin morza, kruszą się łącno według swego zwyczaju i pogrążają w toni, przeto powstrzymajmy się od zaopatrywania człowieka w mosty-łądy czy to pomiędzy wyspami indonaryjskimi czy pomiędzy N. Gwineą, Australią i Teomanją, czy pomiędzy Indonezyą i Afryką przez Ocean Indyjski. Niechaj fakty znamienne, dotyczące obecnego rozmieszczenia typów rasowych, mówią same za siebie (nie powinniśmy jednak zapominać o trudności utożsamienia typu rasowego).

Z pośród nich najbardziej rzucającym się w oczy jest rozprószenie szczepów murzyńskich, czarnoskórych a wełniastowłosych. Ich rozmieszczenie niezaprzeczenie sprzyja domniemaniu, iż ich kolebka leżała gdzieś w obrębie Indonezyi. Na zachodzie dalekim znajdują się murzyni afry-

kańscy, na wschodzie dalekim Papuazycyzy (Papuńczy i Melanezyjczy), ciągnący się od N. Gwinei poprzez wyspy aż do Fidzi. Murzyni karlikowaci tak zwani Negrycy, tworzą pasmo ogniw pośrednich. Nie wiemy, o ile są oni odrębnym i może wcześniejszym szczepem w powstawaniu szczepu murzyńskiego, czy też typ murzyński, ciągnący ku kształtom dziecięcym za sprawą wczesnego zrastania się szwów czaszkowych, może wydaje od czasu do czasu kształty karlikowate. Bądźcobądź istnieje kilka odłamów drobnoludów w porzeczu Kongo, a nadto Buszmeni i ich krewniacy w Afryce południowej. Nadto wyspiarze andamańscy, Semargowie z półwyspu Malakki, Aketowie z Sumatry wschodniej, wymarli obecnie Kalangowie na Jawie, pod wielu względami najbardziej z pośród rodzaju ludzkiego małpokształtni, Aetowie filipińscy, oraz drobnoludy, posiadające kulturę stosunkowo wysoką, o których świeżo otrzymano wiadomości w N. Gwinei holenderskiej, oto tyleż rozprószonych rozbitków jakiegoś szczepu. W końcu, zwróciwszy się na południe, znajdziemy ongi Negritów na Tasmanii, a krew negrycka czy murzyńska (papuńska), zabarwiła także sobą Australię.

Ale czy jesteśmy w tym razie na tropie pierwotnego rozprószenia się ludzi? Niepodobna nic o tem powiedzieć, iż człowiek powstał w jednym miejscu. Jeżeli tak było, naówczas był on dziedzicznie obdarzony, od samego początku

zdolnością osobliwą przystosowania się do różnych klimatów. Tygrys może wałęsać się od znojnych gąszczów w Indjach aż do chłodnej tundry syberyjskiej, ale człowiek jest w mierze większej, niż inne stworzenia zwierzęciem kosmopolitycznym. O ile hołdujemy teorii powstania jego w jednym miejscu, musimy wywnioskować, iż w ten lub inny sposób dotarł do każdego zakątka na ziemi, a kiedy znalazł się tam, to w końcu, chociaż potrzebował niejakiemu czasu, ażeby nabyć piętna miejscowego, zagospodarowywał się na dobre. Wygląda na to, iż zarówno czynnik rasowy jak i niejaki szczebel kultury były wymagane, ażeby zdołał on wyzyskać możliwości położenia geograficznego. W jaki sposób Australczycy i ich poprzednicy, Negrycy, wtargnęli do Australii w okresie, o którym jedynie wolno nam wnioskować, iż jest niezmiernie odległy? W każdym razie rzecz pewna, iż musieli przedostać się przez poważną przeszkodę. Tak zwana linia Wallacéa odpowiada głębokiej cieśninie, idącej pomiędzy wyspami Bali Lombok i ciągnącej się dalej ku północy na zachód od Celebesu. Po stronie wschodniej tej cieśniny świat zwierzęcy jest piętna nie-azyatyckiego. Ale jakimś sposobem człowiek przedostał się do Australii z jej osobliwymi zwierzętami jednochodowemi i worebkowatemi — człowiek w towarzystwie psa. Haeckel podsunął myśl, iż człowiek szedł za psem, jak szakał za człowiekiem. Ale to

twierdzenie zakrawa nieco na niedorzeczność. Raczej człowiek już pozyskał tyle umiejętności żeglowniczej, iż przepłynął samodzielnie przez tę cieśninę, oddzielającą dwa światy zwierzęce, i na tratwę, czy do wyżłobionej kłody, zabrał ze sobą swego psa wiernego. Jednak dopóki zbywa na faktach, na których oparlibyśmy się, jest rzeczą niewłaściwą kłaść nacisk na te sprawy i zapełniać luki domniemaniami.

Pozostaje zaokrąglić nasz przegląd paru słowami o dalekich krańcach, zachodnim, południowym i wschodnim, tego obszernego świata południowego, do którego Azja południowo-wschodnia jest przedsiönkiem przyrodzonym. Murzyni nie jedni tylko zajmują Afrykę, tj. tę jej część, która leży na południe od Sahary. W kniei równikowej na zachodzie, oraz w jej pobliżu przeważa typ czysty, przykładający się do zajęć rolnych, takich jak hodowla baranów, dalej zaś na północy uprawa prosa, które rasa ta pozyskała była, zanim została wyrugowana z dzielnic bardziej otwartych. Wszędzie istnieją pokrzyżowania najrozmaitsze z najezdniczymi ludami pasterskimi typu nadśródziemnomorskiego, ale krew murzyńska zachowała przewagę, aż dochodzimy do Fulahów i plemion pokrewnych na zachodzie, wzdłuż stepów graniczących z pustynią, do ludów nadnilskich wśród bagien Nilu Górnego, a w wschodniej i południowej części pół-stepowej, pół-leśnej, do dzielnych ludów szczepu Bantu, którzy wymietli byli Buszmenów



i pokrewnych im Hotentotów do pustyń krańca południowo-zachodniego. Warto dodać, iż Afryka posiada obfitą roślinność i liczny świat zwierzęcy, wiele bogactw mineralnych i budowę mocno urozmaiconą, w zakresie jej wnętrza, acz nie wybrzeży. Nasuwa się wątpliwość, czy tubylcy Afryki dosięgnęli tego poziomu kultury, na jaki zezwalają bogactwa i środki otoczenia, rozważane z osobna. Jeśli wynaleziono dobywanie żelaza w Afryce, jak niektórzy mniemają, naówczas rozporządzałibyśmy nowym dowodem, że możliwość na niewiele przydaje się bez zdolności z niej korzystania.

Mówiliśmy już o Australczykach. Odciągnąwszy pierwiastek murzyński czy negrycki, znajdujący się w ich krwi, powszechnie przyjmują, iż należą oni do szczepu pra-drawidyjskiego, posiadającego swoich przedstawicieli wśród puszczaków w Indyach południowych i wśród Weddów cejlońskich, ogniwami zaś pośrednimi są Sahajowie z półwyspu Malakki i Sumatry wschodniej, oraz Toalowie celebescy. Należy także zaznaczyć, iż czaszki przedhistoryczne typu neanderthaleńskiego znajdują najbliższe sobie odpowiedniki w Auinpac nowocześniejszej. Jesteśmy tam wobec dalszych rozbitków okresu zamierzchłego, ale nie można powiedzieć, z kąd pochodzących. To pewne, że wcześniej znaleźli oni w Australii dogodnie choć bardzo skąpo uposażone sadyby. Zwłaszcza był tam brak zwierząt drapieżnych, co bynajmniej nie napinało wszystkich sił człowieka,

jak w otoczeniu bardziej wymagającym. Odosobnienie, oraz nieobecność jakiegokolwiek ciśnienia ze strony wtrętów ludzkich — oto inny rys tutejszego stanu rzeczy. Jakiegokolwiek zresztą działały przyczyny, w ostatecznym wyniku, człowiek, pomimo otoczenia bardzo dogodnego (o ile usuniemy z pod rozważenia pustynie środkowe), nie ruszał z miejsca, pogrążony w zastoju. Co do wygod materyalnych surowość ich trybu życia jest przerażająca. Ale obecnie, gdyśmy dowiedzieli się nieco o życiu wewnętrznym i dziejach umysłowych Australczyków, cokolwiek inny pogląd pojawia się o poziomie ich kultury. Z bardzo poziomym trybem życia szły w parze objawy myśli wyższej. W tym przypadku, jak w wielu innych, winniśmy widzieć dowód rozwoju rozbieżnego, kiedy jedne pierwiastki kultury postępują naprzód, inne są w zastoju lub nawet cofają się wstecz.

To pojęcie rozwoju rozbieżnego da się z korzyścią zastosować do wręcz odmiennego ludu, a mianowicie do Polynezyjczyków. W chwili odkrycia znajdowali się w okresie kamienia i nie posiadali ani łuku, ani strzał. Drzewo kokosowe i chlebowe, oraz barany dostarczały im obfitych środków utrzymania, a w swoich łodziach wspianiałych czuli się jak w domu własnym. Ich wyspiarski tryb życia był hojnie uposażony we wczasy i rozmaitość i, chociaż nieokrzesani pod pewnemi względami, dosięgali niemal cywilizacji pod

innemi. Ich powinowactwa rasowe są nieco zakłócone. Rzecz udowodniona, iż dosięgnęli wschodnich dzielnic Pacyfiku w przybliżeniu w ciągu ostatnich 1500 lat. Prawdopodobnie wyszli z Indonezyi, krzyżując się po drodze nieco z Melanezyjczykami. Ale jest sprawą bardziej zawiłą pojawienie się pra-Polynezyjczyków w Indonezyi. Możliwa, iż są wytworem pokrzyżowania się wychodźców długogłowych z Indyi wschodnich a krótkogłowców mongolskich z Indochin i pozostałej Azji południowo-wschodniej, od których Malajowie współcześni pochodzą.

Skończyliśmy swój zwięzły przegląd świata według dzielnic. I cóżeśmy dostrzegli? Ujrzeliśmy, iż bynajmniej nie zdarza się, ażeby któraś dzielnica zawierała jeden tylko typ ludzki i jeden typ kultury. Możliwa, iż w otoczeniu jednodostajnym a statecznym i za sprawą odosobnienia całkowitego, tryb życia ludzkiego dostroiłby się w końcu do tych warunków, czyli innemi słowy, pograżyłby się w zastoju. Ale nikt nie może za to ręczyć, ani nikt nie ciekaw jest tego, gdyż nigdzie w świecie naszym nie oglądamy tak ukształtowanych warunków otoczenia. Dzieje człowieka to zdumiewające pasmo przenikania się wzajemnego szczepów. Ale jaka przyczyna wywoływała te wędrówki? Rzecznicy jednego poglądu kładą je na karb czynników geograficznych. Niewątpliwie, człowiek prze coraz dalej, ponieważ przyroda pcha go. Ale po pierwsze wśród zwierząt tylko niektóre typy

życia rozwijają się pod naciskiem przyrody, wówczas gdy inne podupadają i wymierają. Powtóre, człowiek ma zdolność do gromadzenia doświadczenia, wykazuje pamięć społeczną, dzięki której na podbój nowego otoczenia używa środków, które mu służyły w dawnym. Ale ta okoliczność przyczynia się do zatarcia różnic pomiędzy otoczeniem — sprawa która w ostateczności doprowadza do rozciągnięcia tego samego otoczenia na cały świat. Odbywające się pod kierownictwem umysłu kształtowanie nowych warunków, odpowiednio do potrzeb, środkami, przyniesionymi ze starego otoczenia, zmiata granice dzielnic, aż w końcu człowiek, zwierzę kosmopolityczne, za sprawą swojego przyrodzenia dziedzicznego, wyłania kulturę kosmopolityczną, początkowo bezwiednie niemal, w okresie późniejszym zaś coraz świadomiej, a to dlatego, że nie poprzestaje na prostym fakcie życia, ale napiera na to, ażeby żyć coraz lepiej.

Jako uzupełnienie tego związłego rozbioru wpływów geograficznych, rozważanych w wyodrębnieniu, byłoby rzeczą interesującą, gdyby miejsce pozwalało, rozbiór rozmieszczenia umiejętności i rzemiosł natury bardziej gospodarczej i użytkowej. Gdyby warunki fizyczne rozstrzygały o wszystkim, winnibyśmy znaleźć, iż te same warunki wywołują wszędzie te same umiejętności praktyczne bez współdziałania pomysłów innego pochodzenia. Jednak, acz-

kolwiek niewiele wiemy o okolicznościach, wśród których dokonano wynalazków, nadających rodzajowi ludzkiemu pobudkę wszechpotężną do dalszego rozwoju, takich, jak odkrycie ognia, oswojenie zwierząt, uprawa roślin, przecież takie twierdzenie byłoby wprost opaczem odczytaniem naszej mapy. Prawie nic nie wiemy o wędrówkach ludów, w których następnie jakaś umiejętność krzewiła się z jednej części świata do innych. Dlatego, ilekroć znajdujemy, iż umiejętność w jakiejś okolicy zagnieżdżyła się w sposób odpowiedni i użytkuje z materiału miejscowego, np. z bambusgu na południu i brzozy na północy, łatwo dajemy się uwieść przypuszczeniu, iż ten materiał miejscowy powołał do istnienia umiejętność rozpatrywaną. Podobne potrzeby, powiadamy, prowadzą do tego samego rodzaju sposobów ich zaspokojenia. Niewątpliwe, w takim twierdzeniu istnieje zdźbło prawdy, ale powątpiewam, czy wogóle historia wykazuje jakąkolwiek dążność do powtarzania dróg swoich w zakresie wielkich wynalazków praktycznych. Wszyscy jesteśmy urodzonymi naśladowcami, geniusz wynalazczy zaś zdarza się rzadko.

Weźmy chociażby narzędzia wczesnego okresu paleolitycznego, znajduwane w napływo-  
wych pokładach żwiru i kamieni. Otrzymujemy z Egiptu, z kraju Somalów i innych krajów odległych okazy, które według J. Évanga „tak dokładnie odtwarzają kształty i wygląd okazów

brytańskich, jak gdyby ta sama ręka je wyrobiła“. I w Europie podczas epoki paleolitycznej nieznaczna liczba kształtów oraz prawidłowe ich następstwo świadczą o wrodzonej ociężałości zachowawczej człowieka i o powolności postępu wynalazczego. A jednak, jak rozumują niektórzy z pisarzy amerykańskich, którzy wogóle nie znajdują, ażeby różnica pomiędzy narzędziami ciosanymi paleolitycznymi a gładzonymi z czasów późniejszego neolitu dała się utrzymać i w stosunku do Nowego Świata, było rzeczą jednakowo łatwą otrzymanie ostrej krawędzi tarciami i odłupywaniem. Przecież pozostaje faktem, iż w obrębie Starego Świata wynalazczość ludzka podążała chętniej jednym z tych łożysk niż drugim i w ciągu niezmiernych okresów czasu nikt nie szukał innych torów. Piasku i wody do gładzenia było siła, ale nikomu nie przyszło do głowy skorzystanie z nich.

Na zakończenie zatrzymam się nie nad rozmieszczeniem sprzętu, związanego bezpośrednio a wyraźnie z korzystaniem z wytworów przyrody, ale nad głupstwem, nad czemś, co raz jeden wynalezione, mogło być natychmiast porzucone. A jednak istnieje ono wszczędnie i wzdłuż całego świata, sięgając prawdopodobnie czasów bardzo zamierzchłych i pozwalając domyślać się oddziaływania wzajemnego pomiędzy wygasłymi ludami, wędrowek, z których nigdy nie zdejmujemy osłaniającej je tajemnicy. Jest to „ryczywół“, prosta deseczka drewniana, przy-

wiązana do końca sznura; ryczywół, obracany dokoła ręki, wydaje dźwięki, brzmiące osobliwie. Czy antropogeograf, zbadawszy rozmieszczenie na globie drzewa i materyałów włóknistych, ośmieli się twierdzić, iż gdyby człowiekowi wypadło powtórnie przeżyć na ziemi ubiegłe pół miliona lat, ryczywół byłby w życiu w tych samych miejscach co obecnie? Nie wdając się w szczegóły, wskażemy jedynie dwie czynności zasadnicze, które narzędzie to spełniało ongiś u ludów pierwotnych. W Szkocyi używają go w celu zwabienia bydła do domu: pastuszek obraca w rękę ryczywół własnego wyrobu, bydło zaś bie nie cwałem ku oborze. Z drugiej strony służył niekiedy do urzeczenia piorunu, t. j. jako ś odek czarodziejski przeciw piorunowi: przesąd wychodzi z założenia, że podobnem leczy się podobne i że rzecz, wydająca dźwięki jak grzmot, pozostaje, iż tak rzekniemy, w dobrych stosunkach z piorunem istotnym. Co zaś do jego zastosowania gdzieindziej, posługują się ryczywołem tu i ówdzie, n. p. w Galicyi w Europie, na półwyspie malajskim w Azji, wśród Buszmenów w Afryce, do popędzania i straszenia zwierząt, zarówno dzikich, jak oswojonych. Możemy przypuścić, że takim było jego zastosowanie najwcześniejsze, o ile wogóle pobudki natury użytecznej mogą rościć prawo do pierwszeństwa, co nie jest rzeczą udowodnioną. Dopóki podczas polowania człowiek posługiwał się orężem bardzo prostaczym, po-

wodzenie zależało w znacznej mierze od nagonki, która napędzała zwierzynę do zasadzki lub otaczała ją i umożliwiała gromadce ludzkiej uderzenie zwarte. Nie dziw, iż myśliwi używają ryczywołu, ażeby sobie w sposób czarodziejski zapewnić szczęście. Jednak dzisiaj ryczywół służy częściej do innych zadań natury czarodziejskiej; dźwięki jego, tak przypominające grzmot lub wiatr, wraz z nadmiernym urokiem wpływów tajemniczych, przyczyniły się do nadania mu stanowiska poczesnego w obrzędach, mających na celu sprowadzenie deszczów. Prawdopodobnie z tych zastosowań rozwinęły się inne, występujące podczas obrzędów, w celu wyjednania roślinności i urodzajów, oraz uroczystości uobywatelania młodzieży. Nie powinno nas dziwić, iż twarz ludzka bywa rzeźbiona na ryczywole w N. Gwinei oraz w Ameryce północnej: w Afryce zaś zachodniej sądzą, iż w nim ukrywa się głos istotnego boga. W Australji wszystkie poglądy wyższego szczebla, dotyczące istoty dobroczynnej i wogóle spraw religijnych, bodaj zogniskowały się w tym symbolu osobliwym: dla osób postronnych jest on najkruchszem z narzędzi, ale w oczach tego szczepu prostaczego jest rzetelną świętością nad świętościami. Pozostaje jeszcze zwięzłe wyszczególnienie jego rozkrzewienie (cenny przyczynek dra Haddona podaje bliższe wiadomości). Istnieje on w Anglii, Szkocyi, Irlandyi i Wali. Można go wyszperać w poprzek całej Eu-



ropy środkowej przez Szwajcaryę, Niemcy i Polskę aż poza Karpaty, a tam Grecya starodawna ze swojemi misterjami dionizyjskiemi powtarza tę samą gadkę. W Ameryce znajduje się u Eskimów i zdarza się tu i ówdzie w północnej części tego lądu aż do granicy meksykańskiej i ukazuje się znów w Brazylii środkowej. Od półwyspu Malakki i od Sumatry ciągnie się przez obszary ludów barwy ciemniejszej: od Afryki na zachodzie i południu aż do N. Gwinei, Melanezji i Australii, oraz do jedynej z pośród wysp polynezyjskich, N. Zelandyi — fakt, który może świadczyć o tem, iż ryczywół znajdował się w posiadaniu jakiejś wcześniejszej oazy osadników. A zatem ryczywół istnieje we wszystkich wielkich dzielnicach geograficznych i to, chociaż nie uwzględniliśmy sprzętów pokrewnych, (tak zwane buzz) rozkrzewionych jeszcze rozległej na wybrzeżu wschodniem Azyi. Czy mamy wyprowadzić ryczywół z wielu źródeł niezależnych lub przypisać rozkrzewienie jego daleko sięgającym wędrownikom ludów, n. p. Indjan i murzynów? Niepodobna na to odpowiedzieć. Ale ten przykład w sposób wystarczający uwydatnia, iż rozbiór rozmieszczenia geograficznego wynalazków zarówno w jednakej mierze nasuwa różne trudności jak je rozwiązuje.

A wniosek? Oto antropolog, acz wciąż ima się mapy fizycznej świata, nie powinien przecież mniemać, iż takie postępowanie oswo-

bodziło go od dalszych kłopotów. Fakty geograficzne tworzą warunek bierny, któremu życie, rzecz ze swojej natury czynna, podlega, ale podlegając zwycięża go. Nie możemy puścić w niepamięć tego faktu, iż warunki fizyczne kształtują nas. Ale wpływy w tym względzie, wywierane przez przedistniejące warunki fizyczne, przemogła przyroda ludzka i to w sposób, który nie ma żadnego równoznacznika w całym świecie zwierzęcym. Człowiek może uprawiać miłość w ciągu całego roku. Wprawdzie zmiany, towarzyszące porom roku, oddziałują nań, ale przestał on być ich niewolnikiem. I to samo dzieje się z innymi czynnikami, wchodzącymi w skład otoczenia fizycznego. „Droga“ n. p., — t. j. wszelki przyrodzony szlak wędrówki i obcowania, zarówno lądowy, idący przez mosty i przesmyki, jak i wodny. od portu do portu, i użytkujący z wiatrów, któreby nadymały żagiel — odgrywa rolę w sprawach życia, i to wieloraką. Ale do tego samego wyniku zmierza fakt, natury zgoła niegeograficznej, iż para nóg naszych może nam służyć jako machina podróżująca, lub koń, łódka, droga żelazna, latawiec w powietrzu. Bądźmy we wszystkim umiarkowani, nawet w naszym powoływaniu się na potęgę okoliczności. Te okoliczności mogą stanąć nam w poprzek, ale same ze siebie nigdy nie stworzyły człowieka, ani jakiegokolwiek innego kształtu życia.

## ROZDZIAŁ V.

### M O W A.

Cechą, wyróżniającą człowieka, a zarazem wyodrębniającą go z pośród świata zwierzęcego, jest niewątpliwie zdolność mowy członkowanej. Wskutek tego, i umysł jego, staje się członkowany. Mowa, powiadają, jest ostatecznie wytworem umysłu, ale prawdą niemniej zasadniczą jest i to, że umysł jest wytworem mowy. Jak mięso trzyma się kości, tak samo tkanka żyjąca naszego życia duchowego zależy od podtrzymującego ją zrębu ustalonych wyrazów. Gienjusz, ów wysokiego pochodzenia dobroczyńca ludzkości, jest osobistością, borykającą się z myślami zbyt głębokimi, ażeby dały wyrazić się w słowie, aż w końcu dostraja je do ustroju znaczeń, wcielonych w jego mowę macierzystą, i w ten sposób wynosi je ostatecznie ponad próg świadomości pospólnej, próg, który jest jednocześnie progiem kultury powszechnej.

Są słuszne powody umieszczenia krótkiego rozdziału o mowie przed opowieścią o tych czynnikach w życiu człowieka, które pospołu

rozstrzygają o zasadzie wolności, t. j. o rozsądnym wytknięciu sobie kierunku. Dziedziczność i otoczenie nie pozostają całkowicie poza zakresem naszego oddziaływania. Ale, rozpatrywane ze stanowiska historii ludzkości w jej całości, wykazują swojego rodzaju zdolność do połowicznego zaledwie liczenia się z potrzebami i dążnościami siły żyjącej. Jednak, rozważane w oderwaniu, muszą być poczytywane, jako okoliczności nawskroś bierne i powściągające. Mamy tutaj do czynienia z ustrojami nie naszego wyboru i ze światem, którego nie kształtujemy. Jakim sposobem w tem otoczeniu, z góry narzuconem, i z tą dziedzicznością wrodzoną, odwołując się do myśli swojej i nie zważając na niepowodzenia mamy osiągnąć stan najlepszy wśród istniejących warunków? Takim jest zagadnienie zasadnicze, przed którym staje każde pokolenie ludzkie.

Otoczenie jest jakby naszym wrogiem. Winniśmy go podbić i ujarzmić. Dziedziczność, z którą zjawiamy się na świat, jest z drugiej strony siłą nam wrodzoną, której jesteśmy posłuszni rozpoczynając tę walkę: płynie w krwi naszej i podnieca mięśnie ramienia naszego. Ale ta dziedziczność, rozważana w oderwaniu, jest potęgą ślepą. My przecież, jako istoty cielesne i jako osobniki, posługujemy się oczyma, które widzą. Ta nowa zdolność zużytkowywania doświadczeń zjawia się jako trzeci czynnik, który ze stanowiska dążności człowieka

do poznania samego siebie, zajmuje miejsce poczesne. Otoczenie, o ile w tem pojęciu zawrzemy wszystkie kształty życia prócz człowieka, może wystawić ze swej strony niejaką ilość umysłowości niższego rzędu. Ale przywilejem człowieka są rządy nad światem za pomocą inteligencji wyższego rzędu. Był on już stworzeniem rozumnym, *homo sapiens*, gdy zwalczał okres lodowcowy umiejętnością ognia, gdy trzebił niedźwiedzia jaskiniowego i mamuta. Myślał już w tych czasach zamierzchłych, i dlatego możemy przypuścić, dopóki świadectwa wyraźne nie wykażą, iż jesteśmy w błędzie, że posiadał jakąś mowę członkowaną. Możemy niemal powiedzieć, iż imał się mowy, od kiedy stanął wyprostowany na swoich tylnych kończynach.

Niestety, zbywa nam zupełnie na środkach wyświetlenia dziejów mowy ludzkiej od jej początków. W drugiej połowie poprzedniego stulecia, kiedy wpływy darwinizmu były świeże, wygłaszano najrozmaitsze przypuszczenia co do rodowodów mowy. Jeden z kierunków przypuszczał, iż źródło wyrazów najwcześniejszych tkwi w dźwiękach naśladowczych typu *bauwau*; inny odwoływał się do wykrzykników typu *tut-tut*. Albo, jak w Europie, w której prócz Basków w kącie zachodnim i kilku języków azjatyckich na Wschodzie, jak turecki, węgierski i fińskie, wszystkie języki używane posiadają rzucające się w oczy powinowactwo,

hołdujący zasadom porównaczym filolog imał się odbudowania kilku wielkich pniów mowy; spodziewano się, że, prędzej lub później, kiedy zdołamy osiągnąć jakiegoś pra-rozdroża lingwistycznego, rozwiążemy zagadnienie zasadnicze rozprószenia się ras ludzkich.

Te piękne bańki mydlane przysły! Badania szczegółowsze kształtów mowy, istniejących wśród ludów pierwotnych, bynajmniej nie wykazały nadmiernej obfitości ani dźwięków naśladowczych, ani wykrzykników. Z drugiej strony, badania porównawcze w obrębie rodziny języków europejskich, czyli, jak ją należy nazwać z powodu odnóg, idących przez Persyę do Indji, indo-europejskiej, cofa nas wstecz najwyżej o trzy lub cztery tysiąclecia. Istotna nicość w porównaniu z przeciągiem czasu wytkniętego przez antropologów. Co więcej, rozleglejsze poszukiwania wzdłuż i wszerz świata, który w dzielnicach mniej cywilizowanych nie rozporządza najmniejszymi świadectwami literackimi, mogącemi przelać światło na rozwój lingwistyczny, dowiodły nieskończonej różnorodności języków zamiast oczekiwanego ustroju kilku rodzin. W jednej Ameryce północnej należy bodaj odróżnić około pół setki typów niezależnych. Przytem okazywało się coraz widoczniej, iż rasa i język bynajmniej nie trzymają się razem. Albowiem, cóż odkryłyby n. p. filolog, gdyby nie miał do pomocy historyi, lecz musiał poprzestawać wyłącznie na badaniu

francuzczyzny współczesnej i czy doszedłby wtedy, iż rdzeń ludności francuskiej jest spojony węzłami krwi z Gallami starożytnymi, którzy mówili po celtycku, dopóki podbój rzymski nie zmusił ich do przyjęcia gminnej łaciny? Język zaś celtycki nie o wiele wcześniej pochłonął niewątpliwie jakieś narzecze wcześniejsze, może pokrewne z istniejącym językiem baskijskim; przypuszczenie bowiem, iż najeźdźcy celtyccy usunęli tubylców poprzednich kraju, bynajmniej nie jest koniecznością. Słowem, rasy mieszają się, języki zaś robią to tylko w warunkach szczególnych.

Doznawszy niepowodzeń w swojej ufności, iż będzie wodziło rej w sprawie odbudowy przeszłości zamierzchłej człowieka, językoznawstwo w ostatnich czasach wykazuje chęć wyrzeczenia się wogóle metody historycznej, t. j. antropologicznej. Wkracza na drogę wyłącznie formalnego traktowania przedmiotu. Chociaż słowniki pod względem swojej zawartości są w najwyższym stopniu rozbieżne, przecież ogólny ustrój posługiwania się wyrazami pozostaje wszędzie ten sam. Wszyscy ludzie porozumiewają się jednakowo za pomocą mowy, wówczas, gdy inne symbole i sposoby, służące do ujęcia myśli ludzkich, takie jak giesty, rozmaite rodzaje pisma, dźwięki bębna, wici ogniste, odgrywają rolę drugorzędną i pochodną. Są to fakty, których wielka powszechność sprzyja przeoczeniu ich głębokiego znaczenia. Nauka

o dźwiękowni utraciła dawne dobre przeświadczenie o sobie, które sprawiało, iż rozstrząsała rozlegle sprawę, czy umiejętność mowy powstała w jednym miejscu, czy też w wielu ogniskach, dzięki jednakowej budowie ciała i umysłu, i poprzestaje dzisiaj po większej części na badaniu model wyrażen dźwiękowych, jako współrzędnych z dostrzeganiami właściwościami ludzkich narządów mowy. A to co dzieje się w szczególności w zakresie dźwiękowni, powtarza się w całej filologii porównawczej, w badaniach nad wszystkimi językami świata. Postępowanie bowiem obecne filologii porównawczej jest nawskroś natury analitycznej, czyli formalnej. Osiągnęła swoje wyróżnienie zasadnicze pomiędzy językami odosobniającymi, zespalającymi i przemiennymi (fleksyjnymi) na drodze wyróżnienia rozmaitych sposobów, według jakich wyrazy podlegają zmianom, gdy łączymy je w zdanie. Zarzucono wysiłki wykazania, że jeden typ układu wyrazów wyprzedził inne co do czasu lub jest pierwotniejszy, t. j. mniej dostrojony do potrzeb porozumiewania się ludzi. Nie przypuszcza się nawet, iż zwłaszcza któryś język wcielił w siebie jeden tylko z tych trzech typów, acz postępowanie, znane pod nazwą analogji, t. j. ujednostajniania wyjątków przez upodobnianie ich do zwrotów powszednich, dąży zawsze do wzmocnienia jednego typu z uszczerbkiem dla innych.

Językoznawstwo, o ile ma odzyskać dawne



swoje stanowisko poczesne wśród nauk antropologicznych, musi bodaj wdrożyć swoje poszukiwania na nowe tory. Wiele dałoby się powiedzieć o zmianach, które mogą sprawić taki wynik. Bez współdziałania statecznego ze strony filologów antropologja jest skazana na wegetowanie. Doskonałe pojmowanie mowy badanego ludu jest obowiązkiem badacza źródłowego, i pierwszym pytaniem, które nasuwa się krytykowi podczas oceny jakiegoś przyczynku etnograficznego, jest pytanie, czy autor porozumiewał się płynnie z tubylcami we własnym ich języku. Ale czyż można uprawiać z powodzeniem poszukiwania nad językami oddzielnymi, jeżeli zbywa na podniecie i natchnieniu, których jedynie poszukiwanie zasad ogólnych dostarcza poszczególnej gałęzi wiedzy. Poczucie widnokręgów rozleglejszych musi wesprzeć pracę niepowiazaną układania słowników i gramatyk, i to widnokręgów, które mogą pociągnąć badacza, przykładającego się do języka w imię samego języka. Metody formalne badania języka bodaj nie dostarczają podniety pożądanej. Analiza jest dobra, gdy w ostatecznym celu swoim służy rodowodom, t. j. historii rozwoju. Ale, gdy poprzestaje tylko na sobie, zagraża jej niebezpieczeństwo zwyrodnienia i przekształcenia się w czczą gadaninę. Poza ramkami czasu i historii, w długim paśmie wieków, niema ona znaczenia ani nie przysparza pożytku. Filolog, jeżeli ma wesprzeć

antropologię, musi sam być antropologiem i doskonale pojmować doniosłość metody historycznej, musi podołać ułożeniu każdego języka lub grupy języków badanych we właściwe łożysko historyczne, winien starać się o wykazanie, jak język rozwijał się w stosunku do potrzeb określonego czasu. Słowem, musi rozpatrywać słowa współrzędnie z myślami i rozważać mowę, jako czynność życia społecznego.

W pracy niniejszej możemy jąć się jedynie najogólniejszej oceny mowy pierwotnej, o ile ta rzuca światło na działalność umysłowości pierwotnej. Po pierwsze bowiem, przedmiot wymaga wiadomości specjalnych: powtóre, nasza znajomość typów mowy dzikiej jest w najwyższym stopniu zacofana: w końcu po trzecie, a jest to powód najważniejszy, wiele ludów nie posługuje się mową właściwą ich uzdolnieniom i przyzwyczajeniom umysłowym, ale używa zwrotów, zaczerpniętych od innego szczepu, mocno różniącego się pod względem rozwoju duchowego. Dlatego jest rzeczą możliwą jedynie w sposób bardzo ogólny i niedokładny uwydatnić przeciwstawność pomiędzy sposobami najpierwotniejszymi i najbardziej pousuniętymi, któremi posługuje się ludzkość dla ujęcia doświadczenia swego w wyrazy. Na szczęście uwaga staranna, którą filologowie amerykańscy zwrócili na języki tubylcze swego ładu, doprowadziła do odkrycia pewnych zasad. Inne świadectwa, o ile istnieją, pozwalają bodaj

nadać tym zasadom zastosowanie wszechświatowe.

Gdyby zapytano pospolitego śmiertelnika, który nigdy nie zaprzął sobie głowy tą sprawą, jak wyobraża sobie ustrój języka dzikiego, odrzekłby stanowczo, że po pierwsze słownictwo jest niezmiernie szczupłe, a powtóre składa się z bardzo krótkich, zwięzłych zwrotów, źródłosłów, w rodzaju: człek, jeść, bić. A tymczasem nic podobnego nie spostrzegamy. Weźmy chociażby mieszkańców takiej dzielnicy jałowej, jak Ziemia Ognista, których kultura jest pierwotniejsza niż jakiegokolwiek innego ludu. Badacz, który usiłował ułożyć słownik ich języka, znalazł przeszło 30000 wyrazów i to po usunięciu znacznej ilości zwrotów mniejszej doniosłości. I nie dziw, że wieszadło trzeba było powiesić wysoko, albowiem Fuegieńczycy posiadają przeszło 20 wyrazów (niektóre z nich mają po cztery zgłoski) dla oddania naszego pojęcia on i ona; posiadają dwie nazwy dla słońca, tyleż dla księżyca, a nadto dwie dla pełni, a każda z tych ostatnich zawiera po cztery zgłoski i nie posiada najmniejszego pierwiastku wspólnego. Dźwięki obfitością swoją mogą iść o lepsze z ubóstwem myśli! Albowiem, niepodobna znaleźć kresu wrażeniom. Posługując się dźwiękami więcej lub mniej wyraźnego znaczenia, mowa fuegieńska ujmuje wrażenia, i to w sposób nieco niedoskonały, i lęka się wymiany idei, będącej monetą obiegową istotnej

myśli. N. p. zwrot „rozcynam-nogę-niedźwiedzia-w-stawie-posługując-się-krzemieniem“ prze-  
wybornie odtwarza całkowite wrażenie, przed-  
stawione przez czynność poszczególną. A prze-  
cież sprowadziłem obraz do kształtów, dających  
się dogodnie ująć, gdyż usunąłem moc szcze-  
gółów zbytecznych, takich, że byłem głodny,  
spieszyłem się, ćwiartowałem niedźwiedzia dla  
innych, że sam osobiście to robiłem, i. t. d.  
Albowiem języki amerykańskie natury bardziej  
prostaczej, zespalając w jedną wielką liczbę  
dźwięków i zgłosek, umieją w jednym wyrazie,  
techniczna nazwa tego wyrazu jest *holofraza*,  
wepchnąć tyle wskazówek, iż odtwarzają rzecz  
we wszystkich jej szczegółach, a więc wymie-  
niają ćwiartowanie, moje uczestnictwo w niem,  
przedmiot tej czynności narzędzia i czas ćwiar-  
towania, — któż to wszystko zliczy? Zabawne  
przykłady takich wszystko orgarniających wy-  
razów znajdziemy we wszystkich przyczynkach,  
zawierających teksty mowy pierwotnej. Że je-  
szcze powrócimy do mieszkańców Ziemi ogni-  
stej: wyrażenie *mamihlapinatapai* ma znaczyć:  
spoglądać na siebie nawzajem w ufności, że  
któryś zechce zrobić rzecz pewną, której obie  
strony pożądają, ale której żadna nie chce do-  
konać. A ponieważ ta sama sytuacja nigdy  
dokładnie nie powtarza się, a jest tylko czę-  
ściowo ta sama i częściowo odmienna, jest rze-  
czą widoczną, że jeżeli taki wyraz wszechstronny  
każdorazowo pragnie oddać całkowite wrażenie,

pozostawione przez sytuację, wtedy ten sam zespół dźwięków nie może zdarzyć się ponownie. Ilekroć ktoś otwiera usta, tyle razy stwarza nowy wyraz. Może to moje odezwanie się brzmi śmiesznie, ale wytyka najniższe szranki, od których najprostsze rodzaje mowy ludzkiej niezbyt odbiegły. Dążność tych języków do całkowitego przekształcania swego układu w ciągu lat dwudziestu, a nawet przez mniejsze przeciągi czasu, wynika z niestateczności wymowy pierwotnej: okazało się rzeczą trudną wyodrębnienie części, nadających się do użytku powtórnego w postaci niezmienionej, z tych zwrotów złożonych, w które ludy dzikie ujmują swoje doświadczenie, tak liczące się z każdym szczegółem rzeczywistości.

A więc, w dawnym języku hurońsko-irockim *eschoirhon* znaczy: byłem u wody, *setanha*: iść do wody, *ondequoha*: woda znajduje się w naczyniu drewnianem, *daustantewacharet*: woda znajduje się w garnku. Pono w tych przykładach powtarza się ten sam wyraz: *awen* t. j. woda, narzucający się uchu tubylczemu, jako pierwiastek, zawarty w każdym z tych przydługich zwrotów. Trudność wyodrębnienia znaczenia ogólnego i utrwalenia go w wyrazie przewyższyła wielokrotnie zdolności mowy pierwotnej. Możecie wypowiedzieć 20 odmiennych rodzajów ćwiertowania, ale nie zdołacie powiedzieć nic o samem ćwiertowaniu. I nie dziw, że potrzeba rozległego słownika. Wszak u Zu-

łów „mój ojciec“, „twój ojciec“, „jego (lub jej) ojciec“ są odrębnymi wyrazami wielozgłoskowymi bez żadnego pierwiastka wspólnego.

Rozwój języka, rozważany z tego stanowiska, jest ruchem, idącym od wyrazów wszystko ogarniających w kierunku ich rozkładu. Kiedy w waszej łamigłównicy słownej każda cegiełka da się ułożyć odrębnie, ponieważ nie jest wielorako połączona innemi, tylko naówczas możecie tworzyć nowe zwroty według własnego upodobania. Porządek i akcent, jak w angielszczyźnie, a jeszcze bardziej w języku chińskim, wystarczają do budowy zdania. Wyrazy powinny posiadać swoją indywidualność jak atomy. Wszelkie przekształcenia, wywołwane przez zmianę wewnętrzną dźwięków lub przez wcielanie dostawek i końcówek, pociągają uszczuplenie ich swobodnego użycia i uszczuplają wyrazistość. Wprawdzie ktoś może rozumować bezładnie, posługując się najbardziej wyrobionym rodzajem mowy. Ale z drugiej strony niepodobna osiągnąć wysokiego poziomu myśli dokładnej, kiedy jedyna droga, na którą pozwala mowa, zmierza ku bezsłowności, t. j. jest względnie ubogą pod względem wyrazów, zachowujących swoją tożsamość we wszystkich zestawieniach. Myślenie bez pomocy wyrazów nie jest rzeczą niemożliwą, jednak jego drogi acz nieco ograniczone leżą całkowicie w obrębie słownictwa wyraźnie wyrzeźbionego. Już ta jedna okoliczność, że wyrazy zakrzepli

w kształcie statecznym, obdarza je piętnem ciągłości nieprzerwanej, nadaje im pozory znaczenia niez użyt kowanego, które skłaniają umysł do igrania z przedzą treści, wiążącej się z pojęciem, które ujęto w wyrazy.

Nie skończyłbym nigdy, gdybym chciał uwydatnić w całej rozciągłości, że tak się wyrażę, lepką budowę pierwotnych sposobów mowy. Osoba, liczba, przypadek, czas, tryb i rodzaj, nawet na względnie analitycznej mowie ludów bardziej cywilizowanych, kładą piętno swoje na postaci wyrazów, których treść wyznaczają pod względem jakościowym. Ale szczupła liczba znaczeń, w ten sposób otrzymanych w posuniętych typach języków, zgoła nie daje pojęcia o ogromie form złożonych, służących do tego samego celu na niższym poziomie doświadczenia ludzkiego. Nadto, istnieją różne odcienie o znaczeniu podrzędnem lub przypadkowym, które języki posunięte oddają niezmiennie za pomocą wyrazów odrębnych. Te wyrazy, o ile są niepotrzebne, można usunąć. Tymczasem w mowie pierwotniejszej mogą one wplatać się w ustrój gramatyczny zdania i w ten sposób zespalać się szczelnie z pierwiastkami istotnymi w sądzie, który wygłaszamy. Np. w wielu językach amerykańskich rzeczy są albo żywotne albo nieżywotne i wymagają wyróżnienia odpowiedniego za pomocą stosownych cząsteczek. Albo wyróżnia się w ten sam sposób rzeczy, jako rozumne lub nierozumne (mimo chodem Chiqui-

towie oznaczają kobietę przez cząsteczkę nierozumną).

Cząsteczek czcigodnych używa się do wyróżnienia rzeczy, które plemię otacza wysokiem poważaniem lub uważa za nikczemne; w związku z tem dadzą się spostrzedz takie niedorzeczności, jak zwyczaj tamilski ograniczania prawa do liczby mnogiej tylko do imion wyższego rzędu, dotyczących bóstw, istot ludzkich, o ile odróżniamy je od zwierząt, które są rzeczami nijakiego rzędu. Albo moje przynależności, które dadzą się przenosić, jak moja włócznia, moja łódź, podlegają zmianom słownym, których odmawia się rzeczom, nie dającym się przekazywać, np. jak moja ręka (zaliczono „moje dziecko“ do drugiej kategorii).

Najciekawszymi jednak są wyróżnienia, dotyczące osoby. Wzerają się one głęboko w zwroty mowy, ponieważ nad umysłem pierwotnym panuje całkowicie osobisty pogląd na rzeczy. Z największą trudnością umysł ten przyśwaja sobie pojęcia bezosobistości. Nawet osoba trzecia, z natury swojej najbardziej bezbarwna, ponieważ bezpośrednio nie uczestniczy w rozmowie, podlega wielorakim zmianom, odpowiednio do warunków, które umysł pierwotny uważa za wysoce doniosłe, a które my usuwamy, jako przypadkowe. Abiponowie nadewszystko wyróżniają zaimki *eneha*, tj. „on, gdy jest obecny“ (względnie ona) od *anaha*, „on który jest nieobecny“. Ale obecność lub nieobecność



czyjaś uwydatniają bardzo niewiele z pośród wrażeń mowiącego. Jeżeli „on“ lub „ona“ siedzi, należy powiedzieć *hiniha* i *haneha*; jeżeli chodzi i my go widzimy, mówi się — *ehaha* i *ahaha*, ale jeśli chodzi i my go nie widzimy — *ekaha* i *akaha*; jeżeli leży — *hiriha* i *haraha* i t. d. Wszystko to są zwroty zbiorowe, nasuwające myśl, że uczestniczą tam jeszcze inne osoby. Ale jeżeli „on“ lub „ona“ są samotni, wtedy należy użyć zgoła innego pasma wyrazów: „on siedzący samotnie“ brzmi jako *unitara* itd. Najskromniejsze wymagania rozmowy u Fuegieńczyków powołały do życia przeszło 20 takich zaimków odrębnych. Nie będziemy rozpatrywali wysiłków mowy pierwotnej, zmierzających do uszczuplenia tego pierwiastka osobistego i prowadzących stopniowo do pozyskania zasobu wyrazów nieosobistych. Natomiast rzucimy okiem na drugą stronę tego przedmiotu uwydatniającą ów fakt zasadniczy, iż mowa jest wytworem społecznym, środkiem obcowania pomiędzy osobami, który począł się w społeczności, przekazującej nowym pokoleniom swoje doświadczenie co do wyrazów najudatniejszych. Payne przytacza dowody, iż zbiorowe „my“ w rozwoju mowy wyprzedziło „ja“. W Ameryce i gdzieindziej zaimek „my“ może być włączny i oznaczać wszystkich z pośród nas, albo wyłączający, wskazujący na niektórych z pośród nas. Dlatego misjonarz musi być bardzo uważny i podczas kazania używać „my“

włącznego w powiedzeniu: zgrzeszyliśmy, gdyż inaczej zebrani pomyślą, że tylko kapłan zgrzeszył: natomiast w modlitwie musi posługiwać się „my“ wyłączającym, gdyż wtedy i Bóg znajdzie się w liczbie grzeszników. Tak samo i zaimek „ja“ ma postać zbiorową w niektórych językach amerykańskich, i ta forma zazwyczaj zdarza się w mowie potocznej. Natomiast formy wyłączającej używa się tylko w szczególnych okolicznościach. Jeżeli ktoś będzie się pytał: kto mi pomoże? Apahijczyk odpowie: ja pomiędzy innymi, ja jeden z wielu; a jeżeli opowiada o swoich wyprawach osobistych powie wtedy *sheedah*, „ja sam przez siebie“, ażeby zaznaczyć, że to wyprawy były tylko jego dziełem. W tym razie poczucie zbiorowości rzuca wyzwanie świadomości osobniczej; umysł pierwotny uważa taki stosunek wogóle za właściwszy.

Możemy odnaleźć inny przykład uspołecznienia, wcielonego w zwroty mowy pierwotnej, w nazwach używanych dla oznaczenia pokrewieństwa: „moja matka“ w ustach dziecka przyrody oznacza cokolwiek więcej, niż zwyczajna „matka“ dla nas. Może istnieć osobliwa cząsteczka dodana do pokrewieństw, jako dóbr nie dających się przenosić i odstępować. Albo jeden z języków australskich posiada odrębne liczby mnogie dla oddania pojęcia „nas dwoje“; jednej z nich używa, gdy chodzi wogóle o krewniaków, drugiej jedynie w stosunku ojca do

dziecka. Jeden z języków amerykańskich ma odrębną końcówkę liczby mnogiej dla krewniaków, inną dla pozostałych osób. Te utwory lingwistyczne w dostatecznej mierze świadczą o tem, z jaką trudnością myśl pierwotna odłączała rzeczy, które występowały połączone w doświadczeniu codziennem.

Nie dziw, że podróżnik europejski, któremu zbywa na wykształceniu antropologicznem, nie może podać wyrostaniu od tubylców jakiegokolwiek rozsądnej odpowiedzi o właściwym im stroju pokrewieństw. Jego pytania brzmią: czy ktoś może zaślubić siostrę swojej zmarłej żony? Na takie uogólnienia niema wcale miejsca w zrębie konkretnym ujmowania zwyczajów plemiennych, narzuconym dzikiemu zarówno przez jego tryb życia, jak i przez zwroty jego mowy. Metoda rodowodowa, do której pobudkę dał Rivers i którą posługuje się dzisiaj każdy badacz naukowy, polega głównie na odwołaniu się do takiego zmysłowego sposobu postępowania, odpowiadającego przyzwyczajeniom umysłowym badanego, prostaczego ludu. Jeżeli zwracacie się do Jana, ten może dokładnie wam powiedzieć, czy wolno mu lub nie poślubić Maryą Annę, jakoteż wskazać matkę swoją i powiedzieć jej imię, oraz imiona swoich braci i sióstr.

W taki sposób badacie całą gromadę, która niekiedy zawiera nie więcej nad paręset członków, i pytacie się każdego z osobna i wszyst-

kich po kolei co do pokrewieństwa, w jakim znajdują się względem osoby wskazanej. Po niejakiem czasie rozporządzenie schematem, z którym możecie postępować według swego upodobania. Możecie zestawić właściwy wam ustrój wyróżniania pokrewieństw a tubylczy, który otrzymujecie pytając się każdą z osób, jakich nazw używa względem różnych członków swego drzewa rodowodowego, oraz jakimi nazwami ci posługują się względem niej.

Zanim zamknę ten zarys niewystarczający tak rozległego przedmiotu, winien jestem powiedzieć coś o sposobie ujmowania pojęć, dotyczących liczby. Byłoby nieporozumieniem przypuszczenie, iż dzicy nie mają poczucia liczb, ponieważ mało wykształcony podróżnik europejski, układający niewielki słowniczek, w sposób zwykły, nie znalazł równoznaczników dla naszych liczb, dajmy na to od pięciu do dziesięciu. A tymczasem rzecz tkwi w tem, że dzicy ujmują inaczej stosunki liczbowe, wiążąc je w zwrotach swojej mowy z obrazami bardziej zmysłowymi, do których ustrój naszego języka nie daje nam klucza.

Na wyspie Kiwai, przy ujściu rzeki Fli w N. Gwinei, wyprawa, wysłana przez wszechnicę w Cambridge, znalazła całe mnóstwo zwrotów, pozwalających odtworzyć liczbę osób (podmiotów) działających na określonej ilości przedmiotów w pewnej chwili, ażeby wskazać czynność dwóch osób nad kilku przedmiotami

w przeszłości używają wyrazu *rudo*, w teraźniejszości zaś — *durudo*: *rumo* wykazuje, że kilku działało na kilka przedmiotów w przeszłości, *durumo* zaś, gdy chodzi o chwilę obecną; jeżeli występowały dwie osoby w stosunku do dwóch przedmiotów kiedyś w przeszłości, posługują się wyrazem *amarudo*, a jeśli w chwili obecnej, to *amadurudo*; gdy mowa jest o kilku osobach w stosunku do dwóch przedmiotów w przeszłości, mówią *amarumo*, a jeśli chodzi o trzy przedmioty, naówczas *ibidurumo*; *ibidurudo* dotyczy kilku osób w teraźniejszości w stosunku do trzech przedmiotów; o trzech osobach w stosunku do dwóch w teraźniejszości mówią *amabidurumo*, w przeszłości zaś *amabirumo* itd. Zresztą wyrazy, służące do liczenia, są już dlatego uboższe, ile że ręce i nogi dostarczają przewybornego środka nietylko liczenia, ale i wskazania komuś liczby. Jest to jeden z przypadków, kiedy mowa pantominowa prowadzi byt niezależny współrzędnie z mową zwyczajną.

I umysł nie dlatego nie oddaje stosunków liczbowych, iż język nie podoła ujęciu ich oderwanemu. Pewnego wysokiego urzędnika, kierującego spisem ludności w Indyach, zawiadomił podwładny, iż niepodobna było wydobyć od plemienia, przebywającego w puszczy, wiadomości o liczbie chat, a to dla tej prostej przyczyny, iż nie umiało liczyć ponad trzy. Dyrektor, który był mężem śmiałego, antropolo-

gicznego polotu myśli, osobiście jął się sprawy. Zebrawszy starszyznę plemienną, położył kamień na ziemi, powiadając do jednego: oto twoja chata! później umieścił drugi kamień w niewielkiej odległości od pierwszego, rzekłszy do drugiego z plemieńców: tu jest twoja chata. A gdzie jest twoja chata? zapytał się trzeciego. Tubylcy odrazu pojęli rzecz i niebawem odtworzyli plan całej swojej osady, później zaś sprawdzono, że był zupełnie dokładny i szczegółowy. Ta opowieść wykazuje, iż przyroda obdarzyła człowieka zdolnością spostrzegawczą występującą w charakterze wybornego znawcy, i wystarczającą, gdy chodzi o sprawy prostszego trybu życia. Wiemy także, iż pasterz jednym wejrzeniem obejmuje liczbę głów w trzodzie. W zakresie wyższych wymagań doświadczenia, zwłaszcza gdy chodzi o rzeczy niewidziane i tylko możliwe, spostrzeżenia torują drogę pojęciom; świadomość, odtwarzająca gromadę, ustępuje miejsca myśleniu wyobrażeniami zespolonemi z pierwiastków, które wyodrębniłszy z tłumnego wrażenia przez uprzednie rozłączenie; słowem, obrazy konkretne znikają przed sposobem analitycznym ujmowania treści, zawartej w rzeczach. A ponieważ myślenie jest, jak Platon dowodził, niemal milczącą rozmową z samym sobą, to posiadanie języka analitycznego jest jak gdyby przebyciem pół drogi ku analitycznemu ustrojowi umysłowości, tj.

ku ustrojowi myślenia zapomocą wyraźnych pojęć.

W rozdziale niniejszym tkwi tylko ten moral, iż obowiązkiem cywilizowanych panów ludu pierwotnego jest pozostawienie jemu jego dawnych urządzeń, o ile te bezpośrednio nie przeciwstawiają się powolnemu postępowi kultury. Albowiem utracenie związku ze światem ojczystym pociąga dla dzikiego utratę serca i śmierć. Ale ta uwaga nie stosuje się bynajmniej do języków tubylczych. Wprowadzenie języka ludu bardziej posuniętego może tylko wyjść na korzyść ludom pierwotnym. Stało się modą obecnie pomiędzy antropologami twierdzenie stanowcze, że pospolity dziki i pospolity włościanin znajdują się na tym samym poziomie co do uzdolnień swoich umysłowych. Wprawdzie, jeżeli przez uzdolnienia będziemy rozumieli możliwości, to nie widzę żadnego wystarczającego dowodu, uprawniającego nas do twierdzenia, iż wśród warunków doskonałych średni poziom uzdolnień umysłowych będzie jednaki lub różny. Ale jestem pewny, że zwyczajny włościanin europejski, którego społeczność zaopatruje, w postaci języka analitycznego, w narzędzie odpowiednie do celów jasnego myślenia, posiada niezmierną wyższość w porównaniu z dzikiem, którego mowa odwieczna posługuje się zdaniem wszystko obejmującym. Jakkolwiek jest potęga umysłu dzikiego, przecież włościanin ma więcej widoków skorzysta-

nia ze swoich uzdolnień w tych samych warunkach. Dajcie ludziom wyrazy, a idee same nadejdą, oto zasada, która pchnie nas daleko zarówno w wychowaniu dzieci, jak i ludów kulkury niższej, nad którymi objęliśmy pieczę.



## ROZDZIAŁ VI.

# USTRÓJ SPOŁECZNY.

Każdy antropolog oświadczy, iż zaznajomienie się dokładne z ustrojem społecznym we wszystkich jego kształtach jest pierwszym obowiązkiem badacza, który udał się do jakiegoś plemienia dzikiego, ażeby wyłuskać treść jego życia. Powód jest bardzo prosty: jedynie przez badanie stron zewnętrznych życia jakiegoś ludu możemy osiągnąć znajomość tego, co tkwi w jego wnętrzu. Termin „urządzenia“ ujmuje należycie wszystkie te objawy zewnętrzne życia ludzi w społeczności, o tkwią są w nich pierwiastki świadomości i celowości. Natomiast stany wewnętrzne, czyli podmiotowe, dadzą się ogarnąć zbiorowo, jako „wierzenia“. Możemy wypowiedzieć hasło zasadnicze każdego badacza źródłowego w sposób następujący: wyłuskanie wierzeń za pośrednictwem urządzeń!

Możemy badać pasmo urządzeń w sposób dwojaki, a z nich jeden, o ile jest to rzecz

możliwa, winien wyprzedzić drugi. Po pierwsze, możemy rozważać urządzenia, jako tyleż kół w mechanizmie społecznym, znajdujących się jakgdyby w spoczynku. Uchwytujemy cechy znamienne każdego z urządzeń, oraz stosunek jego do innych. Rozpatrywane z takiego stanowiska, urządzenia występują jako „ustroje więzi społecznej“. Przypuśćmy następnie, iż mechanizm ów jest w ruchu, i badajmy części poruszające się. Z takiego stanowiska dynamicznego rozważane, urządzenia występują jako „zwyczaje“.

W tym rozdziale będę mówił pobieżnie o ustrojach więzi społecznej u ludów kultury niższej. Nasz rozbiór ograniczy się do morfologii społecznej. W rozdziałach następujących przejdziemy do tego, co, na mocy przeciwstawności, nazwałbym fizyologią życia społecznego. Rozpatrzmy naówczas zwięźle zwyczaje prawne i religijne, oraz pozostające z nimi w związku wierzenia.

W jaki sposób poczynają się ustroje więzi społecznej? Czy może są czymś wynalazkiem? Czy pojęcie organizacyi pociąga za sobą nieodzownie istnienie i organizatora? A może ustroje zwolna a samorzutnie urastają i są objawem naturalnym krystalizacyi odbywającej się, ilekroć ludzie znaleźli się w gromadzie? Co do mnie, mniemam, iż dopóki zajmujemy stanowisko antropologiczne, nie zaś filozoficzne (innemi słowy, zestawiamy zdarzenia w sposób

historyczny, w kolejności ich ukazywania się, i nie roztrząsamy sprawy ostatecznej o stosunku wzajemnym umysłu a materji, oraz tego, który z tych pierwiastków przywodzi drugiemu), póty musimy uważać zarówno konieczność zewnętrzną, jak i wolność duchową za czynniki, nawzajem przeplatające się w życiu ludzkim. A w ciągu całego rozważania ustroju społecznego dobrze będzie, jeżeli wciąż będziemy zadawali sobie pytanie, o ile potęga okoliczności, oraz w jakim stopniu moc wytkniętego celu zdają sprawę z oglądanego wyniku. Gdyby zażądano odedmnie wskazania, w jednym paśmie przyczyn i skutków, czynników zasadniczych, rozstrzygających o życiu ludzkim, wywiązałbym się z tego w sposób następujący (muszę zaznaczyć, że takie uproszczenie zagadnienia historycznego wysuwam jedynie, jako warunkowe ujęcie przedmiotu, jako ułatwienie, wytykające nam główne łożysko). Zwracając się coraz dalejku przeszłości, rzekłbym, że kultura zależy od więzi społecznej, więź społeczna od liczby głów, ludność od pożywienia, pożywienie od wynalazczości. Na obu krańcach pasma istnieją zatem czynniki kalibru duchowego, na jednym kultura, na drugim wynalazek. Ogniwa pośrednie, a mianowicie pożywienie i liczba osób, mogą uchodzić jako czynniki materialne. Zresztą więź społeczna ciąży w obu kierunkach i znajduje się jakgdyby na pół drogi pomiędzy objawami natury duchowej a materialnej.

Umieszczając wynalazek u dołu tej drabiny, zrywam stanowczo z poglądem, że rozwój ludzkości jest wyłącznie sprawą przyrodzoną. Wprawdzie moglibyśmy użyć terminu „przyrodzony“ w takim rozległym a mętłym znaczeniu, iż w nim dałoby się zawrzeć wszystko, co jest, było i będzie. Ale jeżeli ów termin ma służyć jako przeciwstawność pojęciu sztuczności, wtedy ośmielałem się powiedzieć, iż życie ludzkie jest przeważnie utworem sztucznym. Innemi słowy, jest ono dziełem sztuki; wyróżniającą cechą człowieka jest przedewszystkiem to, że ze wszystkich zwierząt jedynie dorósł do sztuki.

Wiadomo powszechnie, iż wynalazek maszyn w połowie w. XVIII. wywołał ów przewrót w przemyśle, którego skutki społeczne i polityczne kielkują jeszcze obecnie. Ośmielałem się rozciągnąć ten fakt na cały rozwój ludzkości, jak dalece sięgają nasze świadectwa, i twierdzić, iż dzieje są historią wielkich wynalazków. Wprawdzie, klimat i warunki geograficzne współuczestniczą przy określeniu jakości i ilości pożywienia, i nawet najlepszy znawca rolnictwa nie zdoła otrzymać plonów zboża na wybrzeżu mórz podbiegunowych. Ale rozporządzając potrzebnymi wynalazkami, n. p. lepszymi narzędziami, nigdy nie pozwolicie, ażeby was zepchnięto do dzielnicy tak niegościnniej, albowiem nikt nie chroni się do niej dobrowolnie, chyba iż poziom waszych umiejętności, a więc zrę-

czność myśliwska i sprawność w oswajaniu renifera uzdalniają was do przekształcenia tundry na raj. Przypuśćmy, iż umiejętności i wynalazki natury bezpośrednio wytwórczej zapewniają ludowi określoną ilość średnią pożywienia. Naówczas, jak Malthus i Darwin nam o tem przypomnieliby, płodność człowieka przysporzy głów powyżej właściwej granicy, t. j. takiej, która pozostaje w mniej lub więcej statecznym stosunku do środków utrzymania.

Stanęliśmy w obliczu naszego bardziej bezpośredniego przedmiotu, a mianowicie więzi społecznej. W jakim, i czy wogóle w jakimkolwiek stopniu, więź społeczna zależy od liczby głów? Jest to pytanie zbyt rozległe, ażebyśmy je tutaj rozstrzygali. Odsyłam czytelnika do umiejętnego ustosunkowania ludów na zasadzie napięcia ich więzi społecznej i szczebla kultury, przedsiębranego przez Sutherlanda\*). Autor ten usiłuje wykazać, że każdemu szczeblowi w pasmie rozwoju ludzkiego odpowiadają właściwe rozmiary ludności, aż dopóki nie osiągniemy poziomu całkowitej cywilizacji. Wprawdzie takie fakty, jak ludność Aten za czasów Peryklesa lub Florencji w okresie Medyceuszów, powinny go wprawić w niejakie zakłopotanie... Wykłada on, iż dzicy szczebla najniższego, Weddowie i Pigmejczycy, tworzą zbiorowiska liczące 10—40 osób; ci, którzy o je-

---

\*) Origin a. Growth of the moral Instinct.

den szczebel stoją wyżej, tacy n. p. tubylcy Australji, osiągnęli dla swoich społeczności liczbę głów 50—200; większość plemion północnoamerykańskich, tworzących następne ogniwo w postępie powszechnym, zawierają 100—500 osób. Na tym szczeblu rozstaje się on z ludami, które ochrzcił nazwą dzikich: ich cechą znamioną, ze stanowiska gospodarczego, jest tryb życia mniej lub więcej tułacki, myśliwców lub zbieraczy. Poczem ima się ludów barbarzyńskich, które rozmieszcza pomiędzy trzy działy, według skali postępującej. Pod względem gospodarczym prowadzą one tryb życia osiadły, oparty na mniej lub więcej rozwiniętem rolnictwie, lub w razie, kiedy są koczownikami, utrzymują się z pasterstwa. Na najniższym szczeblu tej kategorii znajdują się Irokwie, Maorzy i inni, liczący 1000—5000 głów; po nich idą luźnie zbudowane państwa w rodzaju Dahomeju i Aszanti, w których ludność osiąga 100000 głów, a kiedy zwraca się do najwyższego szczebla okresu barbarzyńskiego, a więc do trwalej zbudowanych społeczności, takich jak Abisynja lub Madagaskar, ocenia ich ludność w przybliżeniu na pół miliona.

Z wielką nieufnością zapatruję się na wywody statystyczne Sutherlanda. Spoglądam na jego śmiały zamiar wyznaczenia w obecnym stanie wiedzy każdemu z ludów ziemi właściwego miejsca w drabinie kultury powszechnej, jako na zręczną hypotezę. Jakiś gorliwy antro-

polog może w przyszłości znajdzie, iż warto poświęcić swoje wczasy na wyszukanie po temu świadectw. Ale, w charakterze domysłu, gotów jestem godzić się na jego zasadę, a mianowicie, że w całości swojej i w długim paśmie wieków, na wcześniejszych szczeblach rozwoju ludzkiego, złożoność i zwartość społeczna idą w parze z rozmiarami ludności. Rozmiary te zaś ze swojej strony pozostają w związku ze sposobami gospodarowania. Taka grupa może być poczytywaną za grupę, spojną przez warunki pożywienia.

Prócz pożywienia istnieje jeszcze drugi pierwiastek zasadniczy, który wplata się w żywot rasy ludzkiej. Jest to płeć. W ten sposób więź społeczna posiada oblicze dwojakie. Z jednej strony, a może pierwotnie, była organizacją poszukiwania pokarmu. Z drugiej strony i w mierze niemniej zasadniczej była ustrojem małżeństwa. Ztąd wynika, iż należy pospołu rozpatrywać obie te strony, pokrywające się wzajemnie w rozległym stopniu. Ludzie pierwotni, jak i inne zwierzęta społeczne, trzymają się pospołu gromadami myśliwskimi, a także rodzinami, i na bardzo pierwotnym szczeblu rozwoju prawdopodobnie niewielka istnieje różnica pomiędzy temi ustrojami. Ale kiedy z powodów, które antropologowie winni dopiero wykryć, człowiek odwołał się do eksogamji (tj. do zasady zewnątrzrodzicznej, żądającej, ażeby wstępowali w związki małżeńskie mężczyźni

i kobiety odmiennych gromad, stworzonych przez warunki pożywienia), naówczas sprawy związku małżeńskiego spychają w więzi społecznej na miejsce podrzędniejsze wszystkie sprawy polityczno-gospodarcze, chociażby dlatego, iż ustrój gospodarczy zdoła sam troszczyć się o swój dobrobyt, natomiast poślubienie obcej osoby jest rzeczą kłopotliwą, wymagająca wielu zachodów po obu stronach.

Zobrazowanie społeczności ludzkiej przed ukazaniem się eksogamii nie jest tak prostą sprawą, jakby się zdawało. A chociaż możemy wyszukać pomiędzy Andamańczykami lub Buzmenami, wogóle Negrytami, wzory ludów szczebla najniższego, które przebywają bardzo drobnymi gromadkami, nie znającemi bodaj ani eksogamji, ani towarzyszącego jej zazwyczaj totemizmu, przecież nigdy nie nabędziemy pewności, czy w takim przypadku mamy istotnie do czynienia z ustrojem rdzennie pierwotnym lub jedynie uwstecznionym. Np. rozdział, poświęcony kształtom więzi społecznej w pracy Hobhouse'a, rozpoczyna się opowieścią o ustroju, istniejącym wśród Weddów kniei cejlońskiej. Opis jego opiera się na świetnych spostrzeżeniach braci Sarasinów. W rzeczy samej, niektórzy z pośród Weddów dostarczają doskonałego wzoru rodziny przyrodzonej. W obrębie dzielnicy, mającej parę mil kwadr. powierzchni, niewielka liczba rodzin, 4—5 najwyżej, koczuje pojedynczo lub parami, polując, łowiąc ryby,



podbierając miód i wygrzebując yam dziki; wszystkie zaś szukają pospołu schronienia w płytkich jaskiniach. Pokrycie nad głową, skóra do położenia się (choć to nie jest rzeczą konieczną) i — największy zbytek — ognisko, tworzą prócz pokarmu cały ich dorobek w zakresie udogodnień życia.

Nie powinno nas wprawić w zdumienie, iż w takich warunkach gromada cała jest powiązana węzłami pokrewieństwa. Związek małżeński między dziećmi brata i siostry jest dozwolony, ale nigdy pomiędzy dziećmi dwóch braci lub dwóch sióstr. A jednak najmniejszych objawów bezładu małżeńskiego! Przeciwnie, panuje jednożeństwo bardzo surowe, przeniewierstwo zdarza się rzadko i pociąga za sobą zemstę nieubłaganą. Istnieje coś w rodzaju klanów, o których wiedział Hobhouse i przytaczane przezeń powagi, ale ich nie uwzględnił, ile że mają bardzo luźną budowę i niewiele czynności. Nowe poszukiwania Seligmanów rzuciły zresztą całkowicie nowe światło na treść tego ustroju klanowego. Wychodzi na to, iż niektórzy z pośród Weddów hołdują eksogamji, tj. zwyczaj obowiązuje ich do zawierania związku małżeńskiego poza obrębem własnego klanu, natomiast inni nie czynią tego. Nastęrcza się pytanie w stosunku do Weddów, który ustrój jest dawniejszy: zawierania małżeństwa poza obrębem swojej grupy lub w jej łonie. Zwążywszy, iż Weddowie są nędznymi rozbitkami,

muszę dopuścić, iż jesteśmy w obliczu ludu, który ongi hołdował eksogamji, ale gromadki jego zostały zmuszone do zawierania małżeństw wewnątrz klanu, gdyż w innym razie nie zdołałyby wogóle wejść w związki małżeńskie. Możliwa, że, postępując w taki sposób, powrócili jedynie do tego stanu, który początkowo był właściwy ludzkości. Ale w tym względzie wiedza historyczna przekształca się jedynie w pasmo domysłów.

Natomiast stajemy na mocnym gruncie, gdy imamy się rozważania takich ludów eksogamicznych i totemicznych, jak tubylcy Australji. Cała trudność polega w uporaniu się z przedmiotem zbyt rozległym i złożonym, który urąga traktowaniu związłemu a prostemu. Będzie rzeczą najwłaściwszą, gdy podamy czytelnikowi parę wyróżnień zasadniczych, stosujących się nietylko do Australczyków, ale do ustroju totemicznego wogóle. W takim rysunku może on jąć się na własną rękę uporania się z mnogością niezmiernie ciekawych, ale wprawiających w zakłopotanie szczegółów, które znajdzie w przyczynkach źródłowych. \*)

Nadewszystko należy to zapamiętać, iż wśród ludów owego typu więź społeczna zlewa się w jedno z więzią rodową. Zobaczmy, na

---

\*) Tutaj autor poleca nadewszystko prace B. Spencera i Gillena, oraz Howitta o Australczykach, wydawnictwa zaś waszyngtońskiego Biura etnologicznego co do Ameryki północnej.

czem polega zasada rodowa. Należy odróżnić spójnię rodową od pokrewieństwa. Pokrewieństwo jest faktem natury fizycznej, wypływa z urodzenia i ogarnia wszystkich istotnych krewniaków jakiejs osoby, mniejsza czy społeczeństwo ich uznaje lub nie. Rodowość zaś jest objawem natury społecznej i tkwi w przyjętym sposobie wyprowadzania rodowodów. Wyklucza zatem niekiedy istotnych krewniaków, natomiast uwzględnia takie związki fikcyjne, jak dzieci przybrane. I w naszej cywilizacji istnieje zwyczaj przysposabiania kogoś za syna, a z drugiej strony są dzieci nieprawe, które mogą wygłaszać roszczenia do pokrewieństwa, lecz nigdy, przynajmniej w prawie angielskiem, nie będą zaliczone do rodu. Pomimo tego za ledwie możemy uświadomić sobie należycie różnicę pomiędzy węzłami krwi istotnymi, a owem urządzeniem społecznem wzorującym się w mierze mniej lub więcej dokładnej na tych węzłach. W społeczności pierwotnej zakres pokrewieństwa jest dwa razy obszerniejszy niż ród, gdyż w sprawie wyznaczenia rodu cała jedna linia rodziny zostaje nieuwzględnioną. Ród któregoś mężczyzny ogarnia albo krewniaków matki, albo krewniaków ojca, lecz nigdy jednych i drugich pospołu. Warto o tem pamiętać, że na zasadzie prawa eksogamji ojciec i matka są względem siebie osobami obcemi. W ten sposób społeczność pierwotna feruje wyrok w rodzaju wyroku Salomona: ponieważ rodzice nie

mogą rozpołować dziecka swego, musi ono ciałem swoim i duszą swoją należeć do jednej strony lub drugiej.

Obecnie możemy poddać rozbiorowi szczegółowszemu ów ustrój rodowy, uwzględniający jedynie pokrewieństwo po jednej stronie. Składają się nań w sprzężeniu wzajemnem trzy pierwiastki zasadnicze, a mianowicie eksogamja, sposób wyprowadzania rodowodów i totemizm. Winniśmy powiedzieć nieco o każdym z nich kolejno.

Eksogamja nie nastęrcza żadnych trudności, dopóki nie dociekamy jej początków. Polega na zawieraniu związków małżeńskich poza obrębem swojej grupy, w przeciwieństwie do endogamji, tj. poślubianiu kogoś wewnątrz własnej swej grupy. Przypuśćmy, iż istnieje wioska, w której przybywają jedynie McIntyrowie i McIntoshowie, oraz że zwyczaj wymaga, ażeby McIntosh poślubiał McIntyrzanę, McIntyrzanin zaś McIntoszanę, natomiast poślubienie dziewczyny z innej wioski, jakiejś McBeananki uchodzi za rzecz zdrożną zarówno dla McIntyrzanina, jak i McIntyszana. Oba te klany w stosunku do siebie będą zewnątrznożenne, ale wioska będzie hołdowała zasadom endogamji, t. j. wewnątrznożenstwa.

Liczenie rodowodów odbywa się w jednej z dwóch linii, a więc według ojca albo matki. Zdarza się, choć nie zawsze, w razie liczenia pochodzenia według matki, iż kobieta pozostaje

wśród swego ludu, mąż zaś przebywa u niej w charakterze gościa lub cudzoziemca (lud polski nazywa takiego małżonka nadomnikiem, albo wstępniem, i powiada iż się przyzenił). A tam, gdzie przebywanie u żony przeważa, albo nawet i w odwrotnym przypadku, raczej żona i jej krewniacy mają władzę najwyższą nad dzieckiem. Kiedy wywodzenie rodu według matki, nadomnictwo i wykonywanie przez matkę władzy nad dzieckiem idą pospołu, naówczas prawo macierzyste występuje w najzupełniejszej pełni swojej. Jednak wielu badaczy mówi o prawie macierzystem nawet wtedy, gdy istnieją jedynie dwa lub jeden, a mianowicie pierwszy, z pierwiastków powyżej wyłuszczonych. W tym wypadku moglibyśmy zadać pytanie, czy godzi się bez dalszych zastrzeżeń, posługiwać się terminem „prawo macierzyste“ lub wychodzącym obecnie z użycia terminem „matryarchat“, który każe domyślać się pewnego prawa i pewnej władzy, w takich warunkach istniejących jedynie z nazwy.

Totemizm, w swej odmianie osobliwej, zespolonej z zasadą rodową, polega na tem, iż jakiś odłam społeczny, w celu wyodrębnienia siebie i utożsamienia, wysuwa powinowactwo bliskie a wyłączone z jakimś gatunkiem zwierzęcym lub roślinnym lub, co zdarza się rzadko, z jakąś gromadą przedmiotów martwych, lub w końcu — wypadek bardzo rzadki — z czemś, co posiada byt indywidualny i zgoła nie jest

ani rodzajem, ani kategorią. Taki totem nade wszystko nadaje odłamowi społecznemu jego nazwę. Powtóre, ta nazwa staje się znakiem zewnętrznym a widzialnym łaski wewnętrznej a duchowej, która spływa od totemu na totemowców i uświęca ich obcowanie. Wszyscy oni są nawzajem „tego samego mięsa“, jak brzmi zwrot australski, albowiem są „jednego“ mięsa z totemem. To znowu mężczyzna, którego totemem jest ng a ui, słońce, powiada że jego nazwa jest ng a ui i on sam również jest ng a ui; niekiedy wypowiada to w inny sposób, oświadczając, że ng a ui przywłaszczyło go sobie. Gdybyśmy pragnęli wypowiedzieć tę rzecz w sposób zrozumiały, unikając jednocześnie zwrotów, podsuwających zapatrywania mistyczne bardziej opracowane, moglibyśmy rozważać totem, jako „szczęście“, „dołę“ totemowca.

Istnieją znaczne odchylenia w obrzędach i wierzeniach mających piętno mniej lub więcej religijne, a związanych z tego kalibru totemizmem. Ale zawsze jakieś obrzędy i wierzenia istnieją. Niekiedy totem uchodzi za przodka lub za wspólny zasób życia, z którego totemowcy poczęli się i do którego wracają po zgonie. To znowu totem bywa poczytywany za bardzo skutecznego pomocnika w ciężkim położeniu: kangur, skacząc osobliwym sposobem, ostrzega kangurowców o zagrażającym im niebezpieczeństwie. Niekiedy kangurowiec

spogląda na siebie jako na osobę, co winna wesprzeć kangura przez dokonywanie obrzędów, któreby zapewniły tym zwierzętom plenność i dobrą tuszę. Prawie zawsze totemowiec wykazuje poważanie względem swego totemu, np. powściąga się od zabijania go i jedzenia, pozwalając sobie na to w drodze niezmiernie uroczystej, jako na sakrament.

W wyniku ostatecznym tych rozważań, jeśli totem jest nazwą, naówczas dziki, na pytanie: co tkwi w takiej nazwie, udziela odpowiedzi, odnajdując w imieniu, splatającem go w jednię z jego współbraćmi, całą moc treści tajemniczej, takiej, która pogłębia poczucie solidarności społecznej, tak dalece, iż zaledwie ze znacznym wysiłkiem podołamy należytemu zrozumieniu tego.

Rozpatrzywszy z osobna trzy zasady: eksogamię, rodowody i totemizm, winniśmy przyrzec się ich działaniu współrzędnemu. Wszelkie uogólnienia w stosunku do tych zagadnień są nad wyraz zdradliwe, a nawet przedwczesne, i dlatego wygłoszone poniżej a zbyt rozległe twierdzenia zdołają przydać się czytelnikowi jedynie w charakterze hipotez pomocniczych, których może doświadczyć na własną rękę przez odwołanie się do faktów. Po pierwsze, eksogamia i totemizm, wszystko jedno, czy pierwotnie trzymały się pospołu, albo odrębnie od siebie, w rzeczywistości godzą się przewybornie ze sobą. Powtóre, rodowody, tj. wywód

pochodzenia tylko w jednej linii, pozostaje w mniejszej lub większej niezależności od obu tych zasad.\*)

Jeśli zamiast zwrócenia się do świadectw, które czerpać dadzą się ze świata dzikiego, obecnie istniejącego, będziecie odczytywali dzieła, rojące się od teorii o pierwocinach społecznych, naówczas wyniesiecie wrażenie, iż społeczność totemiczna zlewa się całkowicie z ustrojem klanowym. W umyśle waszym utkwіło nieco pojęć jak następuje. Wyobrażacie sobie dwie niewielkie gromadki, spojone troską o pożywienie. Przypuśćmy, iż dzielnice ich leżą każdorazowo na innym brzegu rzeki. Z przyczyn nam nieznaných są one totemicznymi, jedna z nich nosi nazwę Kakadu, druga zowie siebie Krukiem, a każda z nich w następstwie tego poczuwa się do tego, iż jej członkowie są „tego samego mięsa“ w znaczeniu jakimś tajemniczym a wpływowym. Każda z nich, tak samo z powodów nieznaných, hołduje zasadom zewnętrżnożeństwa, i dlatego związki małżeńskie są zawierane z osobami z tamtej strony rzeki.

---

\*) Prawo macierzyste albo ojcowskie, w jakiejkolwiek ze swoich postaci, może współistnieć z zasadą zewnętrżnożeństwa i totemizmem. Bynajmniej nie odnajdujemy nieodzownie prawa macierzystego w sprzężeniu z totemizmem doskonale rozwiniętym. Co najwyżej, na korzyść pierwszeństwa prawa macierzystego, możemy przytoczyć tę okoliczność, iż ilekroć mamy do czynienia z zmianą jakąkolwiek, ta zawsze prowadzi od prawa macierzystego ku ojcowskiemu, ale nigdy w kierunku odwrotnym.



W końcu każda z nich rządzi się prawem macierzystym w całej jego mocy. Dziewczęta z póród Kakadów i Kruków przebywają na odpowiednim brzegu rzeki: kawalerowie odwiedzają je przepływając rzekę, a czy wykazują zamiary pozostania na stałe i współdziałania w czynnościach codziennych, czy też konkury ich są dorywcze, przecież zawsze są przybłędami obcego pochodzenia, traktowani w sposób odpowiedni. Dzieci chowają się w dzielnicach matek swoich jako małe Kakadu i małe Kruki. A jeśli okoliczności wymagają ich skarcenia, ręka nie koniecznie matki, ale może jej brata, jeno nie ojcowska, wymierza karę. A wyrósłszy dzielą z gromadą matki powodzenia i klęski, a więc walczą, gdy ta uwikłała się w walkę i to nawet przeciw ludowi ojca; uczestniczą w łupach myśliwskich, biorą w spadku oręż i inną własność, która przechodzi dziedzicznie z pokolenia do pokolenia, a w końcu, co jest rzeczą nie najmniejszej wagi, należą do uroczystości totemicznych, które uczestnikowi winny wyjaśnić całą treść wewnętrzną tego faktu iż jest Krukiem albo Kakadu.

Obraz powyższy klanu pierwotnego i pierwotnej więzi międzyklanowej wygląda bardzo pięknie i jest łatwy do ujęcia. W ogóle, gdy ktoś docieka początku rzeczy, należy zawsze, w charakterze punktu wyjścia, wysunąć pojęcie wielce oderwane a zarazem proste, które zwolna ulega przekształceniu za sprawą dodatków za-

równy ilościowych jak jakościowych, aż w końcu dojrzały pogląd niemal może podołać całej złożoności faktów. Takie domysły i przypuszczenia są zgoła dozwolone i nawet niezbędne. Zresztą, jeśli mamy zachować bezstronność względem faktów, dotyczących społeczności totemicznej a wydobytych przez badanie rzeczywistości, godzi się zaznaczyć, iż klan bynajmniej nie jest jedynym ustrojem więzi społecznej, istniejącym naówczas.

Klan, wszystko jedno, czy wywodzący pochodzenie swoje w linii macierzystej lub też ojcowskiej, w okresie totemicznym społeczności wykazuje dążność do przyćmienia sobą rodziny. Wprawdzie rodzina przyrodzona, t.j. mniej lub więcej trwała spójnia pomiędzy ojcem, matką a dziećmi, zawsze istnieje w jakiejś rozciągłości. Ale dopóki przeważa zwyczaj wyprowadzania pochodzenia tylko w jednej linii, rodzina nie osiąga godności urzędnika przyznawanego. Z drugiej strony, klan totemiczny ze wszystkich dostrzeżonych ugrupowań społecznych, do których osobnik wchodzi na zasadzie swego urodzenia i pochodzenia, jest urządzeniem, że tak rzekniemy, najbardziej swoistem. Australczycy oświadczają, iż klan robi ich tem czem są. Ta okoliczność, iż ktoś jest Krukiem albo Kakadu, stanowi o jego treści społecznej. A zatem pierwszy z obowiązków dotyczy klanu i jego członków, zarówno mających postać ludzką, jak i tych, którzy jej nie posiadają. Takim jest

prawo powszechne, gdziekolwiek istnieją klany i dopóki tkwi w nich jakikolwiek totemizm zasługujący swej nazwy.

W społeczności totemicznej typu złożonego, którą właśnie odnajdujemy w świecie obecnym, prócz tej jedności swoistej, dostarczanej przez klan, istnieją jeszcze inne jednie, rozleglejsze i ogólniejsze, do których człowiek wchodzi na mocy urodzenia.

Po pierwsze, należy on do fratrii (bractwa). Plemię — termin, który należy obecnie określić — rozpada się w Australii prawie zawsze na dwa odłamy zewnętrznożeńne, nazywane pospolicie fratriami. W niektórych plemionach australskich fratria dzieli się na dwie, a niekiedy na cztery części, które pozostając zewnętrznożeńnymi, zawierają między sobą związki małżeńskie, według ciekawego schematu, krzyżowaną drogą. Te podziały zewnętrznożeńne, właściwe Australii, słyną pod nazwą klas małżeńskich. Frazer uważa je za dzieło świadomego postępowania ze strony tuziennych mężów stanu, a niewątpliwie ma słuszność, oświadczając, iż noszą na sobie piętno sztuki i celowości. Natomiast ustrój fratrijny, czy rozpoławia plemię na dwie, czy, jak niekiedy w Ameryce północnej, więcej niż na dwie części, pomiędzy którymi rozmieszczają się klany w sposób mniej lub więcej uporządkowany, ma wszystkie pozory tworu, który wywiązał się w sposób przyrodzony z ustroju klanowego. Wróćmy do urojonego

przykładu Kruków i Kakadów, uprawiających zewnętrzoństwo poprzez rzekę: łatwa rzecz do zrozumienia, iż obie strony mogą urosnąć w liczbę, aż w końcu, pozostając Krukami i Kakadu dla celów pociągających za sobą przepływanie przez rzekę, znajdą za nieodzowne stworzenie wśród siebie poddziałów uporządkowanych, które będą wzorowały się na dawnej zasadzie odrębnych nazw totemicznych, właściwej Krukom i Kakadu. Ale niepotrzebujemy dociekać ich początku. Dla naszych zadań obecnych wystarczy podkreślenie tego faktu, iż w łonie plemienia istnieją prócz klanu inne jeszcze więzi ugrupowania społecznego, do których człowiek wchodzi na mocy urodzenia.

Przechodzimy teraz do plemienia. Możemy określić je jako jednię polityczną. Jego budowa bywa luźną, czynności zaś nieokreślone. Uważanie plemienia na jednię społeczną, wewnątrz której zawierane są związki małżeńskie egzogamiczne, oto jedynie właściwy sposób ujęcia jego przyrody. Pobierając się pomiędzy sobą odłamy z natury rzeczy ciężą ku sobie, w swoim połączeniu tworzą całość endogamiczną, w tem znaczeniu, że zwyczaj potępia zawieranie związków małżeńskich z obcoplemieńcami. Łącząc się w ten sposób, dochodzą do stworzenia gwary wspólnej i osiągają wspólną nazwę, odzywają się więc o sobie, jako o „ludziach”, a pozostałą ludzkość obdarzają w czambuł ryczałtową nazwą cudzoziemców. Ale współdzia-

łanie, np. w potrzebie wojennej w celu odparcia napaści ze strony cudzoziemców, nie jest do urzeczywistnienia bez jakiejś więzi statecznej. W Australii, gdzie wojny zdarzają się rzadko, więź taka w większości wypadków jest nieobecna. Natomiast w Ameryce Północnej, wśród plemion bardziej posuniętych i wojowniczych, oglądamy dostojników plemiennych i niejaki zarodki więzi politycznej. W Australii istnieje przynajmniej jedna okazyja, dająca pobudkę do zborów plemiennych, a mianowicie, kiedy odbywają się tak opracowane drobiazgowo uroczystości wtajemniczenia młodzieży.

Te uroczystości bywają bodaj w jednakiej mierze plemiennymi, jak i międzyplemiennymi. Zwyczaje i wierzenia są tak podobne nawzajem na znacznej przestrzeni, że gromady, niewiele mające wspólnego lub nawet nic zgoła, zbierają się pospołu i uczestniczą w sprawach, przypominających nieco kongres wszech-angielski, a jednocześnie wystawę wszechświatową. Nadają niekiedy nazwę „narodu“ temu chwytliwemu rodzajowi zrzeszenia międzyplemiennego. Tylko wtedy moglibyśmy go traktować jako właściwą „federację“, gdyby istniała więź natury statecznej. Tego nigdy nie bywa w Australii i zdarza się tylko przypadkowo w Ameryce północnej.

Niewątpliwie, głowa czytelnika doznaje już zawrotu, chociaż dopuściłem się bez liku opuszczeń, jak również dodatków na swoją rękę,

w celu uproszczenia wspaniałego zamętu dostrzeganego w zakresie więzi społecznej, który jest właściwy owemu sztucznemu zlepкови, nazwanemu społecznością totemiczną. A więc nie wspominałem o tem, iż niekiedy totemy bodaj nie mają nic do czynienia wogóle z więzią społeczną, jak n. p. pomiędzy sławnymi Aruntami Australii środkowej, tak drobiazgowo opisanymi przez B. Spencera i Gillena. Nie uwydatniłem także tego, iż istnieją niekiedy podziały zewnętrznożeńne (niektórzy nazywają je połowami w odróżnieniu od fratryi), zgoła niemające w łonie swoim klanów, same zaś wykazują niewielkie podobieństwo, a nawet nie wykazują żadnego, do klanów totemicznych. Pomińmy milczeniem te i inne liczne wyjątki.

Ale poważniejszem opuszczeniem jest następujące: utożsamiałem wciąż więź społeczną z więzią rodową, t. j. z tą, w której człowiek przyszedł na świat na mocy praw małżeńskich i ustroju wyprowadzania rodowodów. Ale istnieją rysy podrzędne, które możemy rozważać jako stanowiące o więzi społecznej, a jednak nie mające nic do czynienia z rodowością. N. p. różnice płci wywierają wpływ bezpośredni na budowę społeczną. Mężczyźni i kobiety tworzą często grupy wyraźnie wyodrębnione na wzór owych zlotów odrębnych, jakeimi trzymają się samice i samce po okresie parzenia. I odrębność zajęć może zaważyła nieco na tej sprawie. Ale w pojmowaniu umysłu pierwotnego

odrębność ta sięga pono o wiele dalej. W niektórych okolicach Australii płcie obie mają własne totemy, co służyć może za dowód, iż każda płeć jest tego samego mięsa, tworzy jedną mistyczną. A w całym świecie dzikim istnieje uprzedzenie, iż kobieta jest istotą nieczystą, rzeczą odrębną, a to uprzedzenie bodaj dało początek większości tych upośledzeń a zarazem i przywilejów, które są losem kobiet i obecnie.

I wiek wywiera wpływ znaczny na czyjeś położenie w społeczeństwie. Chodzi tutaj nie tylko o uważanie kogoś za młodzieńca, póki ów ktoś nie dojdzie „pełnoletności“ i nie zostanie zaliczony pomiędzy mężczyzn. Ustosunkowanie wieku jest sprawą drobiazgowo opracowaną, wyrostek posuwa się w gradacji społecznej szczebel po szczeblu. Opinia publiczna na wszechnicach rozposażyla pomiędzy lata pobytu rzeczy, które każdemu z nich przysługują, a które nie; później zaś bakałarz, magister i doktor zajmują każdy pozycję wyższą w hierarchii akademickiej. Tak samo w Australii, od dzieciństwa aż do wieku dojrzałego, mężczyzna w zasadzie przebywa coraz dalsze wtajemniczania w sprawy życia, a w parze z tem zakres praw jego i obowiązków społecznych ulega rozszerzeniu.

W końcu, miejscowość działa także, i to w stopniu coraz wpływowszym, w miarę tego jak życie tułackie ustępuje przed zajęciami stacycznymi. W gronie paruset osób, które nigdy

nie tracą siebie z oczu, ustroje łączności, oparte na urodzeniu, stawiają skutecznie czoło wszystkim urządzeniom, które zżesznie, oparte na wpływach miejscowości, chciałoby je zastąpić. Według ustroju, wynikającego z urodzenia w rozległym znaczeniu, a więc ogarniającego zarówno rody, jak płeć i wiek, plemięcy obozują, walczą, dokonywują obrzędów czarodziejskich, bawią się, podlegają obrzędowi wtajemniczenia, wstępują w związki małżeńskie i są chowani po śmierci. Ale przypuśćmy, iż plemię urasta w ludność i obejmuje w posiadanie przestrzenie rozległe, środki zaś porozumiewania się są trudne i stosunkowo nieliczne. Naówczas gromada, przymocowana do pewnego miejsca, wysuwa się na przód. Powaga i pobudka muszą przysługiwać osobom, które przebywają w obrębie dzielnicy. Spójnie starodawne wynikające z urodzenia, a z konieczności nadwątlone przez odległość i wynikającą ztąd nieobecność osób, przestają tworzyć istotny zrąb ustroju społecznego. Jednak trwają długo, jako urządzenia podrzędne. N. p. grupy totemiczne przestają zlewać się w sposób bezpośredni z ustrojem małżeńskim i za sprawą obrzędów, które są od nich nieodłączne, i przekształcają się w tak zwane towarzystwa tajemne. Klan zwołna ustępuje przed rodziną, ród zaś ze swemi prawami i obowiązkami zostaje ograniczony do najbliższych krewniaków. W imię celów praktycznych ci krewniacy uchodzą za rodowców,



choć należą do tej linii rodzinnej, której rodowody urzędowe nie przyznają. W ten sposób ustroje zrzeszenia, opartego na urodzeniu, przestają tworzyć ostów ciała politycznego. Ich doniosłość publiczna minęła. Jedni społeczność tworzy gromada, przebywająca w określonej dzielnicy. Pierwiastki natury terytorialnej coraz bardziej rozstrzygają o czynnościach i nawet powinowactwie. Zasada rodowa swoim powodzeniem zadała cios samej sobie. Dzięki organizującej potędze zasady rodowej społeczeństwo pierwotne spotężniało, a przez wzrost swój naprężyło węzły urodzenia tak dalece, iż prysnęły. Niektóre pokrewieństwa stały się zbyt dalekimi pod względem przestrzeni i przestały być uwzględniane. Moje obowiązki względem mego rodowca przekształciły się w obowiązki względem mego sąsiada.

Warunki miejsca uniemożliwiają mi rozbiór dalszego rozwoju więzi społecznej w splocie wpływów terytorialnych. Zresztą jest rzeczą mało istotną napieranie na tę sprawę: odsłaniający z jak największą trudnością istotę społeczeństwa totemicznego, natomiast możemy bezpośrednio wglądać w treść powiązania terytorialnego. A od czasów dziedziny pospólnej wioskowej aż do doby nowoczesnej panuje wszędzie ten sam ustrój zasadniczy budowy społecznej.

Prócz ciągłości terytorialnej istnieje jeszcze inny czynnik, przyczyniający się znakomicie

do kształtowania społeczności, odkiedy życie zbiorowe dokonało wystarczających postępów w umiejętnościach i rzemiosłach, i dlatego mogło, że tak rzekniemy, zapuścić mocno korzenie w glebę. Jest to zasada własności prywatnej, a zwłaszcza własności prywatnej ziemskiej. Różnice pomiędzy bogatym a nędzarzem są najważniejsze z pośród odróżnień klasowych. Różnice pomiędzy wolnym a niewolnikiem w społeczeństwach niewolniczych nie są dokładnie im równoznaczne, ponieważ może istnieć warstwa ubogich obywateli, wypełniająca miejsce pomiędzy szlachtą a niewolnikami. Widoczna jednak, że i w tym przypadku własność prywatna kształtuje rodzaje ustosunkowania. Niekiedy stanowisko w społeczeństwie opiera się w zasadzie swojej na zajęciu rzemieślniczym, a ustrój kastowy hinduski może służyć za przykład. Ale ponieważ zajęcia najbardziej poważane zlewają się w długim pasmie wieków z zajęciami najbardziej popłatnemi, przeto znowu stajemy w obliczu własności prywatnej, jako ostatecznej sprawczyni ustosunkowania społecznego, o ile mamy do czynienia z ustrojem gospodarczym bardziej rozwiniętym.

W tym zwięzłym szkicu zdołaliśmy zaledwie wykazać, iż ustrój społeczny zależy od liczby głów, ta zaś liczba od sprawności zaopatrywania się w środki utrzymania. Ale jeżeli poniekąd jest prawda, że ustrój społeczności zależy w sposób mniej lub więcej rzeczowy

od jego zawartości liczebnej, to przecież należy pamiętać i o drugiej stronie kwestyi, na którą pokrótce wskazaliśmy, a mianowicie, iż poważny zasób umysłowości wspierał powstawanie ładu w społeczeństwie. Więż społeczna jest częściowo wytworem naturalnym wzrostu ludności, częściowo zaś, i to w najlepszym znaczeniu tego wyrazu, tworem sztucznym umysłu ludzkiego, który ćwiczył się w wyszukiwaniu sposobów zrzeszenia, uzdolniających człowieka do współdziałania na coraz szerszą skalę.

Rozważana ze stanowiska wyłącznie zewnętrznego, na które naprowadza rozbiór budowy społecznej, społeczność ma pozory maszyny, t. j. dzieła naszej umysłowości, ale nigdy instynktu, posługującego się umysłowością. W rozdziale następnym będziemy badali tę maszynę w ruchu. Naówczas będziemy mieli o wiele dogodniejszą okazję wejrzenia w istotę sił sprawczych. Zrozumiemy, że winniśmy rozstać się z poglądem, iż społeczność jest maszyną. Jest nawet czemś więcej niż organizmem. Jest współobcowaniem dusz. Te dusze, jak i wiele niby niezależnych, jednak współłącznych objawów ducha-siły, prą naprzód, spragnione indywidualności i wolności.

## ROZDZIAŁ VII.

### P R A W O.

Plan ogólny mojej książeczki sprawił, że wyszedłszy od wpływów, które kształtują losy człowieka w sposób mechaniczny, zewnętrzny a konieczny, zwolna przechodziłem do czynników duchowych, wewnętrznych, świadczących o obecności woli, w przyrodzeniu ludzkim, w tem dziwnem połączeniu gliny i płomienia. Dlatego właściwem będzie rozważanie prawa przed religią, religii zaś przed moralnością, zarówno w stosowaniu zbiorowem jak i osobistem. Prawo posługuje się jawniej przymusem niż religia, religia zaś, rozważana ze stanowiska historycznego, a więc utożsamiana z czią ustawioną, w swoich sposobach miarkowania życia zbiorowego wykazuje więcej przymusu, niż moralność odwołująca się do przekonywania.

Obywatelowi, przebywającemu wśród otoczenia cywilizowanego, zwrot mowy: „surowe ramię prawa“ nasuwa myśl o policyancie. Napozór prawo nie istnieje w oderwaniu od policyi, sądu i żołnierzy, którzy w ostatecznej instancyi są powoływani do zapewnienia posłuchu dekretom społeczności. Dla wielu trudnem jest

pogodzenie się z myślą, iż prawo dyktowane przez tłum jest jakimkolwiek prawem wogóle. Ale w imię celów historycznych powinniśmy być przygotowani na posługiwanie się terminem „prawo“ w znaczeniu bardzo rozciąglę. Musimy rzec, iż wszędzie istnieje prawo, gdziekolwiek społeczność wymierza karę, występując bądź to w gromadzie, bądź w osobie pełnomocników swoich, kara zaś to zadawanie umartwień temu, kogo posądza się o przekroczenie jakiejś modły pożycia społecznego. I naodwrot, prawo jest wszelaką modłą społeczną, za której nadwyreżenie, na mocy zwyczaju, czeka kara. A dopóki hołdujemy zasadzie, iż przekraczający modłę społeczną naraża się na skutki opłakane i że, bądź to każdy, bądź niektóre osoby, obdarowane powagą społeczną, mają przekształcać zapowiedź tej kary w rzeczywistości, póty antropologia będzie dostrzegała tam prawo we właściwem jego znaczeniu.

Kara, z samej natury swojej, jest środkiem wyjątkowym. Prawo i kara są możliwe tylko dlatego, że większość daje posłuch zasadom pożycia społecznego. Ale jeżeli każdy ulega obyczajom społecznym, prawo przestaje istnieć, ponieważ jest zbyteczne. Jedną z przyczyn sprawiających, iż trudno odszukać w społeczności pierwotnej jakiekolwiek prawo, tkwi w tem, że nikomu nie przychodzi do głowy nadwyreżanie obyczaju społecznego. Zwyczaj jest władcą, nawet tyranem w społeczności pierwotnej. Kiedy

kapitan Cook zagadnął wodzów tahityjskich: Czemu jedzą osobno w samotności, ci odrzekli: tak być powinno. I tak zawsze bywa u ludów pierwotnych. „To jest zwyczaj, i... koniec na tem“ — argument, wystarczającej mocy zarówno w polityce, jak i w moralności. Droga ta prowadzi do zachowawczości uporczywej. W rozdziale o moralności postaramy się wykryć źródła wewnętrzne tego postępowania. Obecnie zadowolimy się rozważaniem zwyczaju ze strony zewnętrznej, jako społecznego trybu pielęgnowania wszystkich praktyk tradycyjnych w imię ich samych i bez względu na wyniki. Wprawdzie zmiany się odbywają i odbywać się muszą. Przypuszcza się jednak, iż nie zdarzają się. W teorii, zasady społeczne ustroju pierwotnego są „jako prawo Medów i Persów, które nie podlega żadnej zmianie“.

Takie bezwzględne poważanie prawa zawiera w sobie pierwiastki zarówno dodatnie, jak i ujemne. Z jednej strony, dostarcza ono pierwiastków karności, bez której każde społeczeństwo uległoby rozprzężeniu. Wyobrażamy sobie dzikiego, jako istotę kapryśną, jako wcielenie zmiennych usposobień: w chwili obecnej jest druhem, w następnej wrogiem. Byłby takim, gdyby nie tresura społeczna, uskuteczniiana przez zwyczaj. Takim będzie, gdy zniszczycie jego zwyczaje, a pomimo tego oczekiwać będziecie, ażeby zachowywał się jako osoba rozsądna i dobrze wychowana. Ale póki społec-

czeństwo pierwotne cieszy się zdrowiem i pozostaje wolne od zmyzy, poty członkowie jego, ze stanowiska swego własnego prawa, poważają je bardziej, niż dzieje się to w jakimkolwiek państwie cywilizowanem.

Przechodzimy obecnie do ujemnych stron zwyczaju. Jego wpływy zachowawcze rozciągają się na wszystkie postępy, przekazane przez tradycję, nawet na nierozsądne i przewrotne. Wszelakiego kalibru muszka może być uwięzioną w tym bursztynie! W tem tkwi źródło niedorzeczności obyczaju dzikiego. Tylor w swojej „Cywilizacji pierwotnej“ podaje opowieść wyśmienitą o Dajakach. Sposób ścinania drzew przez białych przez robienie nacięć w kształcie litery V przeczył zwyczajowi dajackiemu. Dlatego Dajak, naśladowający Europejczyków, płacił grzywnę. A jednak tubylcy byli przekonani o wyższości postępowania europejskiego i kiedy byli pewni, iż nikt się nie wygada, posługiwali się tajemnie tym sposobem. Warto nadmienić, iż według A. R. Wallace'a najlepszego spostrzegacza, ci sami Dajacy „należą do rzędu dzikich niezmiernie żywych“, łagodnego usposobienia, usłudni, zgoła nie krwiożerczy w codziennym toku życia. A przecież wiadomo, iż oddają się wstrętnemu polowaniu na głowy ludzkie. „Takim był zwyczaj — oświadcza Wallace — i dlatego przestrzegano go skwapliwie, ale istnienie jego nie świadczy jeszcze o jakimś barbarzyństwie wygórowanem lub zbrodniczości moralnej“.

Nasze oskarżenie przeciw rządowi wyłącznym zwyczajowi brzmi jak następuje: wszędzie mnóstwo wtrętów bezmyślnych, gdyż wartość postępowania nakazanego przez tradycję nie uwzględnia osiągniętych wyników, ale tkwi jedynie w tym fakcie, iż to postępowanie jest wymaganem postępowaniem; ten pierwiastek niedorzeczności sprawia zamęt w umysłach zdolnych do wzniesienia się ponad rutynę i odzwierciedlenia w sobie istotnych łaknień i celów życia zbiorowego. Jedną z lekcyi najtrudniejszych, która kiedykolwiek oczekiwała człowieka, była sprawa przełamania tego „ciasta zwyczajowego“, jak Bagehot się odezwał. Zetknięcie się gwałtowne społeczeństw odmiennych często nadwyreżało zwyczaje, które naówczas przybierały inny kształt. Ale podważenie zwyczajów jedynie przez myśl krytyczną i umożliwienie w ten sposób postępu należytego było dorobkiem umysłowym jednego tylko ludu: Greków starodawnych. Jest rzeczą w najwyższym stopniu wątpliwą, czy bez tego przywództwa istniałaby współczesna cywilizacja, hołdująca zasadom postępu.

Warto dodać mimochodem, iż zwyczaje mogą trwać po wieki, straciwszy z tej lub innej przyczyny miejsce swoje wśród żywotnych spraw społeczności. Są wtedy, przynajmniej pozornie, nieszkodliwymi, gdyż ich czynności zostały wyczerpane. Chociaż gmin spogląda na nie w sposób mniej lub więcej



poważny, przecież kierownicy społeczności bez przeszkody je tłumią. Ale nie zawsze jest to rzecz łatwa. Częstka niejaka człowieka pierwotnego tkwi w nas, i te przeżytki, jak mówi antropolog, odpowiadają często wierze rozległej, pobudkom, które bynajmniej nie obumarły u nas, ale raczej drzemią, i dlatego zwyczaje te mogą ocknąć się, gdy otoczenie dostarczy przypadkowo podniety stosownej. Zaświadczyć może o tem ta okoliczność, iż przeżytki, zwłaszcza, kiedy w odmęcie zmian społecznych niewykształcone warstwy wysuną się czasowo na przód, przebywają okres ocknięcia i rozkwitu. Rozbiór przeżytków tworzy dlatego doniosłą gałąź antropologii, której niestety w naszym szkicu pobieżnym nie możemy należycie uwzględnić. Rozbiór taki zlewa się bodaj w jedno z zadaniami zasadniczymi folkloru. Folklor zaś urasta wciąż i coraz trudniej daje się odróżnić od antropologii ogólnej. Istnieją po temu przynajmniej dwie przyczyny. Po pierwsze, przeżytki zwyczajów, spotykane wśród ludów bardziej posuniętych, takich Greków starożytnych lub Anglików nowoczesnych, dają się przeważnie wyjaśnić przez zestawienie z pokrewnego rodzaju urządzeniami, w całej swojej mocy istniejącymi u ludów pierwotniejszych. Powtóre, wszystkie te ludy pierwotniejsze posiadają także swoje własne przeżytki. Przeżytki te tworzą jak gdyby dwie warstwy. U góry bucha ogień. Na dole tlą się węgle,

które chociaż gasną, przecież tu i ówdzie wydają płomień.

Tyle o zwyczaju, jako czemś odmiennem od prawa, ile że ten nie odwoływa się do kar. Warto zaznaczyć, iż siła brutalna, przybierająca kształty „dążności prześladowczej“, jak wyraża się Bagehot, przyczaiła się w zwyczaju. Kolekcy umieją obrzydzić pobyt w szkole malcowi, który zgrzeszył przeciw niepisanemu kodeksowi. Tak samo w społeczności pierwotnej obawa, ażeby nie narazić się na brutalność, sprawia iż zanim ktoś powie: „nie wolno mi tego czynić“, wprzód powiada: „nie ośmielałem się postępować w ten sposób“. Ktokolwiek czytał pouczającą opowieść A. Langa o losach kmotra Czemu, pierwszego radykalisty, ten uświadamia sobie, iż wśród dzikich — a czyż inaczej się dzieje pomiędzy nami? — bardziej popłaca być człkiem przyzwoitym, niż występować w roli zwiastuna wyższej moralności.

Przejdźmy jednak do początków prawa pierwotnego. Przestępstwa zdarzają się niekiedy nawet za rządów zwyczaju. Czyjeś namiętności są zbyt potężne, rzecz dochodzi do zajścia. Jak zachowuje się naówczas społeczność pierwotna. Rozpatrzmy najpierw którąś ze spółnot takich nieurządzonych u samego dołu drabiny rozwojowej, np. drobnoludy negryckie na Andamanach. Man w swoim ładnym opisie tego ludu wykazuje, iż wymiaru sprawiedliwości do-

konywują w sposób prosty, bo pozwalają pokrzywdzonemu poszukiwać go na własną rękę. Pokrzywdzony pospolicie rzuca płonąca głów-  
nię na krzywdziciela albo puszcza weń strzałę,  
a częściej jeszcze około niego. Inni zaś z po-  
śród obecnych usiłują co prędzej czmychnąć,  
zabierając z sobą w pośpiechu ile się da rze-  
czy swoich i pozostają w kniei, póki kłótnia  
nie będzie załagodzona. Niekiedy wdają się  
przyjaciele i starają się odebrać oręż walczą-  
cym. W razie jeśli jeden zabije drugiego, inni  
ani słowem ani czynem nie dokuczają mu. Ale  
sumienie nasze robi nas tchórzliwymi : mor-  
derca, z pobudek ostrożności, często usuwa się,  
aż póki nie nabędzie przeświadczenia, iż gniew  
przyjaciół zamordowanego ułagodził się.

A zatem nieobecność więzi społecznej i nie-  
obecność prawa idą pospołu. „Przyjaciele“,  
o których słyszeliśmy, winni tworzyć siłę dzia-  
łającą, jak nasza policya. Zgoła inaczej dzieje  
się w społeczeństwie totemicznym, posiadają-  
cem stateczny ustrój klanów. Pomsta krwi  
przelanej wysuwa się na miejsce poczesne  
wśród obowiązków społecznych rodowca. Wszerz  
i wzdłuż całego świata pomsta ta może służyć  
jako wzór tego, czem jest prawo dla dzikiego.  
Zasada: krew za krew nie obowiązuje w łonie  
klanu; wprawdzie, istnieje tam innego rodzaju  
prawo karne, stosowane przez totemowców  
w stosunku do towarzysza-przestępcy, np. mor-  
dują tych, którzy lekceważyli zasadę eksogamii

i obcowali z kobietami tego samego mięsa. Ale pomiędzy klanami tego samego plemienia ustrój pomsty krwawej ujawnia się w całej swej mocy, zgodnie z zasadą, iż ktoś po drugiej stronie, acz nie koniecznie zabójca istotny, winien śmierć ponieść. Jest to zasada odpowiedzialności zbiorowej. Jednym z zagadnień najciekawszych, dotyczących rozwoju prawa wczesnego, jest dochodzenie, jakim sposobem odpowiedzialność osobista wyłania się z wolna z pośród zbiorowej, aż w końcu każdy pokutuje w takiej mierze, w jakiej zawinił.

Taki sposób zbiorowy naprawiania krzywd jest zgoła zrozumiały, dopóki ludzie przebywają gromadami, spojenemi przez najsilniejszy z węzłów uczuciowych i dopóki jest nieobecna powaga zwierzchnicza a bezstronna, któraby podjęła się pośrednictwa pomiędzy zwaśnionemi stronami. Ktoś z waszego okrętu zamordował kogoś z naszego. Bójka wszczyna się natychmiast. Chcielibyśmy osiągnąć winowajcę istotnego; w razie nieudania się, poprzestajemy na zabiciu kogokolwiek innego, ażeby udzielić nauki waszej załodze. Ale już bardzo wczesnie umysłowi pierwotnemu nasuwa się myśl, iż istnieją stopnie odpowiedzialności. Ktoś zwołuje oddział, mający dokonać pomsty i mu przywodzi. Będzie to bodaj istotny krewniak zamordowanego, a więc syn, brat lub ojciec. Występuje więc w charakterze rzecznika, inni zaś są jedynie jego pomocnikami. I druga strona

będzie dążyła do wysunięcia na przód, w charakterze przeciwnika odpowiadającego, osobę, która zawiniła. Istnieją dowody bezpośrednie, iż pomiędzy Australczykami, Eskimami i t. d. całe gromady na razie imają się za barki, ale później zamiast nich występują oddzielne osoby, a mianowicie główni sprawcy zająścia. Stajemy więc w obliczu pojedynku. Zwyczaj tubylców z okolic Port Lincoln'u powiadają nas o tem przejściu. Brat zamordowanego winien wyzwać mordercę, ale każdy po tej lub drugiej stronie, pragnący uczestniczyć w spotkaniu, może się przyłączyć. Ztąd jeden tylko krok do właściwego pojedynku, takiego, jak wśród Apachów Ameryki północnej.

Pojedynek, przez prawo wymagany, ma tę wyższość nad bójką zbiorową, iż uprzedza sprawcę zbrodni, jako będzie pociągnięty do odpowiedzialności za swój czyn. Cranz, wielka powaga w sprawach Eskimów grenlandzkich, w prostocie ducha oświadcza, iż Grenlandczyk nie popełni zabójstwa ani skrzywdzi nikogo, gdyż jest świadom tego, iż opłaci czyn swój może śmiercią najlepszego swego przyjaciela. Gdyby Grenlandczyk obawiał się, iż odda za to życie własne, mniemamy, iż właściwe mu poczucie odpowiedzialności działałoby jeszcze mocniej. Z drugiej strony, pojedynek bynajmniej nie jest drogą właściwą do wyrównania rachunku, gdyż krzepkiemu zawalidrodze dostarcza okazji dodania nowego wawrzynu do

dawnych. Dlatego sąd boży jest nowym krokiem w rozwoju prawa. Wiele ludów australskich dosięgało tego poziomu i wymagało, ażeby zabójca stanął pod gradem pocisków lub bumerangów, które miota gromada pokrzywdzona, obie zaś strony umawiają się, iż sprawa skończy się na tem.

Na szczęście dla mordercy, to wszystko wymaga czasu, a tymczasem namiętności tracą swoją zapalczliwość. Dziki szczebla niższego bynajmniej nie jest istotą krwiożerczą. Wojna kiełkowała jak każda rzecz inna, a wraz z nią doskonali się junak, który umiłował wojaczkę dla niej samej. Zamiast zasady: życie za życie, pojednanie (jak brzmi termin) zaczyna uchodzić za właściwy sposób zadośćuczynienia wzajemnego. Otóż zawsze odnajdujemy każdy zwyczaj w połowicznym ukształtowaniu. Zabójca, ujęty na gorącym uczynku, bywa mordowany; ale jeśli zdoła odwlec dzień wymiaru sprawiedliwości, może uniknąć skutków, płacąc grzywnę. U Iroków zabójca wykupywał się od śmierci, dając aż 69 upominków rodowi pokrzywdzonemu: jeden za wyjęcie siekiery z rany; drugi za obmycie krwi, trzeci, ażeby przywrócić spokój w kraju i t. d. W zgodzie z zasadą zbiorowości, krewniacy jednej strony pobierają okup, drugiej zaś okładają siebie, ażeby go zgromadzić. Część przypadająca na kogoś jest ustosunkowana według stopnia pokrewieństwa. Odwołują się nawet do bardziej żmudnych obli-

czeń, ażeby dostosować rozmiary okupu do stopnia winy. Dlatego nie powinna wprawiać nas w zdumienie ta okoliczność, iż gdy ludy mniej lub więcej barbarzyńskie, jak Anglosasi, zaczynają odczuwać potrzebę pisanego prawa, prawo to zaprzęta się całkowicie wyznaczeniem grzywien za krew przelaną, które przybrały brzmienie zbyt złożone, ażeby dały się przechować jedynie w pamięci.

Dotychczas rozpatrywaliśmy prawo pomsty krwawej, jako sprawę odbywającą się jedynie pomiędzy klanami. Ogół plemienny trzyma się zdala na wzór widzów andamańskich, usuwających się do kniei w obliczu bójk. Ale w miarę rozwoju powagi zwierzchniczej, mniejsza czy występującej jako zasada, narzucana przez jednego lub wielu, wola ogółu zaczyna rościć prawo do miarkowania waśni o krew przelaną, ile że takie pomsty nieskończone są potęgą rozprzęgającą, której stateczniejsze ustroje społeczności nie mogą otaczać opieką swoją, nie narażając się na rozprzężenie. Oto nieco przykładów, uprzytomniających przejście od samowymiaru sprawiedliwości do wymiaru jej w drodze publicznej. W Ameryce północnej, w Afryce i wszędzie indziej, wódz lub wodzowie ferują wyrok, ale klan lub rodzina dba, o ile da się, o dopełnienie jego. Albo powierza się rodowi obowiązek kary, lecz ten może tego dopełnić jedynie w sposób, wskazany przez władze, np. w Abisynii, najbliższy krewny wymierza karę

śmierci w obecności króla, posługując się dokładnie tym samym orężem, jakim uskuteczniło zabójstwo. Albo prawo rodu do wymiaru kary przekształca się w czczą formalność. W Afganistanie np. starszyzna wydaje przestępcę niby w ręce oskarżycieli, ale ci muszą stosować się dokładnie do życzeń całego zebrania; na w. Samoa zaś zbrodniarza więżą i kładą przed rodziną, „jak gdyby na dowód, iż ten jest całkowicie oddany na ich łaskę i niełaskę“, do wodza zaś należy dalsze postępowanie. W końcu, w państwie, przedstawiciele władzy wykonawczej wydają wyrok i go wykonują.

Kiedy jedna osoba uosabia w sobie państwo, naówczas wszelka zbrodnia staje się obrazą „pokoju królewskiego“ lub, w mowie prawa rzymskiego, obrazą majestatu. Dogodny ustrój wykpiwania się od kary przez złożenie grzywny dobiega swego kresu, mordercę zaś czeka kara surowa. W takim państwie, jak Dahomej, w okresie jego niezależności, może sporo barbarzyństwa tkwiło w wymiarze sprawiedliwości, jednak życie ludzkie było otoczone nie mniej skuteczną opieką przez prawo, niż, dajmy na to, w Europie średniowiecznej.

Powyższy rozwój kary w stosunku do zabójstwa dostarcza przewybornego przykładu, jak wśród społeczności pierwotnej kiełkuje i doskonali się sankcya prawna. Inne kształty tłu-



mienia czynków krzywdzących zasługują jedynie na wzmiankę mniej lub więcej pobieżną.

Wśród ludów pierwotnych cudzołóztwo jest występkiem, nieco zaledwie mniej ciężkiem niż zabójstwo, ile że zabójstwo jest ostatecznem jego następstwem. Klótnie o kobiety tworzą bowiem główne źródło niepokojów wśród dzikich. Prócz jednego ciekawego wyjątku, kolejne szczeble w rozwoju prawa o cudzołóztwie są te same, co w przypadku powyżej rozpatrzonym.

Całe rody imają się oręza. Później pojedynki zastępuje te walki, jeszcze później sąd boży. Po okresie, kiedy kara wahała się pomiędzy śmiercią a grzywną, grzywny stają się zasadą, dopóty mianowicie, póki pozostawia się rodom zażegnanie sprawy. A kiedy społeczność zaczyna dostrzegać obrazę siebie w dokonanej zbrodni, poczyną się stosowanie środków surowszych. Jednak pomiędzy obu wątkami rozwoju warto wytknąć jedną różnicę. Zabójstwo jest występkiem przeciw „majestatowi“ wodza i dlatego bywa traktowane jako przestępstwo kryminalne, natomiast cudzołóztwo, tak samo jak kradzież, w prawie pierwotnem są rozpatrywane jako zamach na czyjąś własność i dlatego są sprawą natury wyłącznie cywilnej. Np. prawo kafryjskie według MacLean'a uwzględnia tę różnicę bardzo stanowczo. Pozostaje jeszcze nadmienić w stosunku do cudzołóztwa, iż rozważaliśmy jedynie karę dosię-

gającą winowajcę płci męskiej, winowajczyni zaś podlega zgoła innemu wydziałowi prawa pierwotnego. Wymiar sprawiedliwości rodzinny, występujący w społeczności posuniętej, takiej, jak Rzym starożytny, polega na prawie ojca rodziny — *pater familias* — do nakładania na swoją rodzinę, tj. gospodarstwo, a więc na żonę, dzieci (do określonego wieku) i niewolników, takiej kary, jaką uzna za stosowne. Ten wymiar sprawiedliwości rodzinny był całkowicie niezależny od wymiaru, dokonywanego przez państwo, i dotrwał w tym charakterze swoim w Europie stosunkowo do czasów nowożytnych.

Jakie światło przelewają badania nad społecznością pierwotną na początki prawa rodzinnego, ferowanego przez ojca? Ażeby udzielić na to odpowiedzi wystarczającej, należałoby poświęcić wiele stronic rozwojowi rodziny. Ze stanowiska naszych celów jądro sprawy tkwi w różnicy pomiędzy rodziną, opartą na powadze matki, a rodziną ojcowską. Gdyby pozostawiono tę sprawę zapasom pomiędzy mężem a żoną, ta druga, pomimo żądła, które ma w języku swoim, musiałaby nieodzownie upokorzyć się przed zasadą, iż siła rozstrzyga o prawie. Ale dopóki rodzina hołduje zasadom nadomnictwa, tj. żona pozostaje w ojczyźnie swojej wśród mężczyzn własnego rodu, póty rządzi w stosunku do męża swego. Cudzołóstwo z jej strony jest wtedy zbyt bezczelne, gdyż zdoła zawsze otrzymać rozwód, mówiąc do

męża: wynoś się. Stosunki przybierają piętno większej złożoności, kiedy żona przebywa wśród ludu mężowskiego, a jednak ustrój wywodzenia rodu wspiera jej prawa i jej rodziny, nie zaś rodziny męża. Ale czy w istocie rzeczy ta okoliczność, iż pochodzenie liczy się po kądzieli, wpływa na to, iż rodowcy matki wykazują zainteresowanie się bardziej gorące jej sprawami i skuteczniej ochraniają ją od zniewagi, wszystko jedno czy na nią zasłużyła lub nie? Rozstrzygnięcie tego zagadnienia zgoła nie jest sprawą łatwą. Jednak Steinmetz stara się dowieść, iż za czasów prawa macierzystego, we wszystkich jego odmianach rozważanych pospołu, cudzołożczynię dosięga kara łagodniejsza, albo nawet żadna, niż w okresie prawa ojcowskiego. Jakąkolwiek jest wartość metody statystycznej, którą się ten badacz posługuje, przecież kara śmierci w okresie macierzystym bywa stosowana tylko w jednej trzeciej wypadków, za prawa zaś ojcowskiego w całej połowie.

Musimy poprzestać jedynie na prostym rzucie oka na inne przekroczenia. Chodzi tutaj o czyny, które mniejsza kiedy przez społeczność wciągnięte do rejestru prawnego, krzywdzą jej członków w ich sprawności osobistej. Mamy na myśli kradzież i oszczerstwo.

Wśród ludów dzikich kradzież zdarza się rzadko, ponieważ niema nic jeszcze do ukradzenia. Jednak gromady kłócą się o obszary myśliwskie i miejsca rybne, podział łupu my-

śliwskiego dostarcza okazji do zatargów i do pośrednictwa przywódców. U Australczyków odnajdziemy nawet rzetelne pojedynki, wywołane przez nadwyrężenie czyichś praw własności. Ale dopiero wtedy, kiedy umiejętności dokonały postępu i nagromadzenie bogactw storzyło warstwy posiadające oraz inne, pozbawione mienia, kradzież staje się doniosłością piewszorzędnej występkiem, karanym z surowością odpowiednią.

Oszczyństwo możnaby poczytywać za rzecz znaczenia podrzędnego, ale pamiętajmy, iż dziki nie poddała ani na chwilę stawianiu czoła opinii publicznej: pozbawienie osoby dobrego imienia, to zabranie jej wszystkiego, co życiu jej nadaje wartość. Nawymyślanie komuś u Andamańczyków od „długich nosów“, od „kości i skóry“ doprowadza do bójki. I u Australczyków bynajmniej nie sprzyja utrzymaniu zgody żartowanie w piosence nad zdolnością trzymania się na własnych nogach rodaka, zmożonego chwilowo przez trunek pochodzenia europejskiego: „duszyczka jak emu — jak podmuch kołujący się wiatru — ściga kogoś — robi kroki gwałtowne — wujaszek mój (zwrot zwłaszcza drwiący) — upada od znużenia — pada na ziemię bezwładny“. Wśród ludów bardziej posuniętych oszczerstwo i wymyślanie doznają poważnego uwzględnienia. Są wystarczającą pobudką do akcji cywilnej w prawie kafryjskiem. A plemię afrykańskie, Ba-Nkindowie, stworzyło

nawet osobliwą godność rozjemcy, na którym spoczywa obowiązek zażegnania nieporozumień, wynikających z tego złośliwego źródła.

Zwróćmy się obecnie do innej kategorii postępów złoczynnych, które od początku samego uchodziły za szkodliwe dla interesów społeczności, i dlatego cała społeczność z konieczności tłumiała je siłą.

Tutaj należą postęпки, które dotyczą karności wojskowej. Nawet wtedy, gdy czynności dowódcy pozostają w stanie niedorozwiniętym, a wojna jest rozprawą jedynie pomiędzy gromadami uzbrojonymi, ucieczka — czyn zdarzający się, ku honorowi społeczności pierwotnej, rzadko — bywa karana niezwłocznie a skutecznie przez oddział. Plemiona australskie odcinają tchórzowi ramię, jada on odtąd z psami, albo musi biedz wystawiony na dziryty weń miotane. Zdrajcę zaś mordują bez litości najmniejszej: przywiązują do drzewa i miotają weń oszczepy albo nawet rąbią dosłownie na kawałki. Rzecz naturalna, że w miarę rozwoju zwyczaju wojennego te wybuchy żywiołowe pogardy i gniewu ustępują miejsca ustrojowi bardziej wyrobionemu kar. Lecz zaciekanie się wyczerpujące nad tym przedmiotem uwikłałoby nas w przewlekłe poszukiwania nad wzrostem władzy królewskiej w zakresie jednej z jej czynności najważniejszych. W miarę tego, jak wojna daje początek w plemienu czemuś co przypomina wojsko stateczne, godność przywódcy

wojennego jak u Zulów, staje się powagą, tak samo coraz stateczniejszą i obejmującą możliwie wszystkie sprawy. Ale w dziejach władzy królewskiej istnieje jeszcze inna stronica, którą wyłożą rozważania dalsze.

Bezpieczeństwo publiczne, o które chodzi człowiekowi kultury niższej, opiera się nie tyle na założeniach, zapewniających mu całość w obliczu niebezpieczeństw natury fizycznej (aczkolwiek takie niebezpieczeństwa, chociażby wyprawa plemienia innego, istnieją), ile na założeniach, uwzględniających niebezpieczeństwa kalibru duchowego, mistycznego. Obawa uroku, jak zmora, ściga go dniem i nocą. Życie jego, jak wykazuje Frazer, jest omotane siecią zakazów, tak zwanych *tabu*. Tabu zaś jest to wszystko, czego dopuściwszy się, człowiek naraża się na niepowodzenie, traci szczęście. A ta niedola czepia się jak choroba zaraźliwa. Jeśli mój sąsiad najbliższy przekroczy takie tabu i ściągnie na siebie skutki opłakane, nieco z tych wyników ujemnych udziela się i mnie i mojej rodzinie. Dlatego kiedy ktoś dopuścił się czynu, który jest nie tylko występkiem, ale i grzechem, sprawą każdego jest zmazanie tego grzechu, a tego dosięga się pospolicie przez zgładzenie grzesznika. Uczucia, właściwe gromadzie, wyróżniają się zawsze swoją gwałtownością. W gromadzie, jak oświadcza jeden z psychologów francuzkich, ideje zobojętniają się wzajemnie, ale emocje wspierają się. I uczucia, towarzy-

szące potrzebie wojennej, wyrosły z doświadczenia gromady, i ośmielam się mniemać, iż wielu z moich czytelników zakosztowało tego, a oglądaliśmy już, jak to oddziaływa na luźne ruszenie plemienia dzikiego i sprzyja rozprawie niezwłocznej z zdrajcami i tchórzami. Lecz gorączka, która owładnęła gromadą orężną, jest łagodną odmianą doświadczeń, w tłumie poczynających się, w porównaniu z jakimkolwiek popłochem, a nadewszystko popłochem natury przesądnej. Uderzenie na kogoś w mroku sprawia, iż najodważniejszy nawet traci głowę.

A zatem zrozumienie tego, czemu ten, co zgwałcił był tabu, staje się wśród społeczności pierwotnej przedmiotem pościgu powszechnego, bynajmniej nie jest rzeczą trudną. Mężczyzna lub kobieta nieuwzględniający zakazów żeniaćki, tj. gwałcący prawo eksogamii, to przykład najjaskrawszy takiego przekroczenia tabu. Dopuszczenie się takiego kazirodztwa zdejmuje całą społeczność lękiem, przechodzącym, jak Bagehot się wyraża, „w dzikie spazmy dzikiego wymiaru sprawiedliwości“ i pociągającym śmierć niechybną dla sprawcy. Stykanie się z przedmiotami, będącymi w grobie, wdzieranie się do misteryi zakazanych, spożywanie pokarmów niedozwolonych, oto parę innych jeszcze przykładów przekroczeń, pociągających za sobą karę.

Rzucanie czarów oto inny występek, należący tak samo do rzędu uczynków złochnych

nych, acz różny od złamania tabu. Przestępstwo to polega na obcowaniu, a przynajmniej na podejrzewaniu kogoś o obcowanie z potęgami złoczynnymi w celach złośliwych i zwróconych przeciw społeczności. Starczy nam wskrzesić w pamięci, do jakiego roznamiętnienia doszła Anglia w w. XVII. za sprawą tej pobudki, a zrozumiemy, iż w społeczeństwach afrykańskich, nawet najlepszych, wytępienie i uśmiercenie wiedzy może uchodzić za powszechną rękomię uspokojenia nerwów ogółu.

Zbrodnie i grzechy, sprawy państwowe i sprawy kościelne pokrywają się i zahaczają nawzajem w społeczeństwie pierwotnem. Nie dziw, że i obowiązki tych, w których rękę znajduje się wymiar prawa, wykazują taki sam zamęt. Wódz lub król dzierży w swem rękę „prawo boskie“ i sam jest poniekąd, w tem lub w innem znaczeniu, wcieleniem boskości, nawet gdy kieruje sprawami, które z samego początku swego są natury świeckiej. Najwcześniejsze z pośród pisanych kodeksów, takie, jak prawo Mojżesza, ze swoją gmatwaniną przepisów, dotyczących rzeczy świeckich i świętych, przewybornie odtwarzają ów charakter zarazem polityczny i religijny wszelkiej powagi pierwotnej.

Zaprawdę, jedynie dzięki wypuszczeniu wielu wątków rzeczywistości zdołaliśmy rozdział niniejszy ograniczyć do rozważania prawa, jako rzeczy odmiennej od przedmiotu, o którym tra-



ktuje rozdział następny, a mianowicie od religii. Każda zbrodnia, a więc morderstwo, a niekiedy kradzież, mogą u ludów pierwotnych uchodzić za zgwałcenie tabu albo za czyny, spowinowacone poniekąd z grzechem. Ale wewnątrz klanu kara, o ile prawo ją wymierza, jest, w teorii swojej, niemal niemożliwa: świętość związków krwi sprawia, iż wszelkie ukaranie błędzącego rodowca przybiera kształty ofiary, wyklęcia, pokuty publicznej. W ten sposób poszukiwanie sankcyi prawnej doprowadza nas niedostrzegalnie do rozważań nad religią. I sam termin sankcya, zapożyczony z prawa rzymskiego, wytyka ten sam kierunek, gdyż pierwotnie stosowano go do wyklęć, któremi się posługiwano, ażeby osiągnąć dla czynu prawnego nietykalność.

## ROZDZIAŁ VIII.

### RELIGIA.

„Jakim sposobem istnieć może historia religii, z takim zarzutem wystąpił raz jednego pewien senator francuski. Albo ktoś wierzy w religię, i wtedy rzecz jest dla niego naturalną; albo nie wierzy, a wtedy wszystko jest niedorzecznością“.

Wygłoszono to zdanie przed laty trzydziestu, kiedy wypłynęła sprawa założenia obecnie sławnej katedry powszechnej historii religii w kolegium francuskiem. W owych czasach nie słyszano o takich katedrach; dzisiaj najgłośniejsze wszechnice świata, że zatrzymamy się tylko nad niemi, posiadają ich około 30.

Co mówi taka zmiana? Oto, że poglądy dawne na religię nie odpowiadają duchowi czasu. Człowiek wierzący powinien być człowiekiem ogarniającym świat cały, człowiekiem poglądu rozleglejszego, antropologiem. Winien przyznać, iż „duch prawdy“ istnieje i w innych religiach prócz jego własnej.

Na to ktoś może odpowiedzieć, a przyznaję całą moc tego argumentu, iż historia, a więc i antropologia nie mają nic do czynienia z prawdą lub fałszem, t. j. z oceną wartości. Rzecz słuszna z teoretycznego punktu widzenia! Zadanie historyi polega na opisie i uogólnieniu faktów. Ale religia w całej swojej rozciągłości może być iluzją, a jednak przez to nie przestaje być faktem.

A zarazem jesteśmy ludźmi, i dlatego trudną, jeśli zgoła niemożliwą jest rzeczą, ażebyśmy mogli zaciekać się nad rodzajem ludzkim w sposób całkowicie bezstronny. Oświadczając, iż bierzemy na siebie rolę historyka, czyli antropologa i tem samem odsuwamy na czas niejaki wszystkie rozważania o stronie moralnej dziejów, które odsłaniamy, jedynie wywiązujemy się ze swego zadania według sił swoich. Chcąc niechcąc zabarwiamy swoje dzieje w pewnej mierze, a mianowicie uwzględniamy świetne, a rokujące piękne nadzieje przeszłe czyny człowieka, jako zapowiedź jego stanu obecnego i jego widoków przyszłych.

Tak samo bynajmniej nie podzielam tego zdania, ażebyśmy znaleźli jakiegokolwiek poparcie podczas dociekań nad historią religii świata, przypuszczając, że „nic zgoła“ nie tkwi lub że „coś“ istnieje w niej, mniejsza, w jakich kształtach to coś występuje i czy rości sobie pretensje do objawienia (jak bywa w większości wypadków) lub nie. Na zasadzie tylko co wy-

głoszonej oceny religii jest jeszcze możliwy sąd, iż jednego kształtu religia jest nieskończenie wyższa i lepsza niż drugiego. Ale, z punktu historycznego, religia podlega rozwojowi. Najdoskonalsze kształty religii, które możemy osiągnąć, są z konieczności dla nas najlepszymi. Winniśmy przystać na to i nawet pożądać tego, iż jak gorsze kształty wyprzedziły dzisiaj istniejące, tak samo lepsze mogą ukazać się w przyszłości. Mówiąc szczerze, należę do liczby tych, którzy uwzględniają dodatniejsze strony rozwoju religii, a mówię to na przypadek, gdyby to pochope twierdzenie zabarwiło swoją obecnością moje tłumaczenie ujawnionych faktów.

Co więcej, mniemam, iż łatwo uledz pokusie wygórowania różnic co do kultury, a zwłaszcza co do ducha i odczucia religii, istniejących pomiędzy nami a ludami niższymi. W obliczu naszych wspólnych nadziei i naszego wspólnego braku wiedzy, jestem gotów utożsamiać religię raczej z powszechnym polem ludzkości, niż z wyłącznymi roszczeniami jakiegoś ludu lub sekty. Kto bowiem posiada prawdę ostateczną co do tego, jakie losy czekają duszę po śmierci? Chętnie przystaję na to, że wielu z pośród nas mogą zapuścić wzrok nieco głębiej w mur niedostępny, niż n. p. Neander-taleńczyk. Kiedy odnajduję fakty, iż Neander-taleńczyk grzebał swoich zmarłych uroczyście i zaopatrywał ich według swoich środków jak naj-sowiciej na życie przyszłe, przyznaję się, iż

wyciągnąłbym rękę swoją ponad wiekami i podałbym ją mu raczej jako swemu bratu i towarzyszowi, niż połączyłbym swoje losy z samolubami, wyobrażającymi sobie, iż światy doczesny i przyszły zostały stworzone na ich pożytek wyłączny.

Cała przeprawa z antropologami polega na znalezieniu właściwego określenia religii, na które wszyscy zgodziliby się. Chrześcijaństwo jest religią. Wszyscy przystaną na to. Jednak mahometanizm jest także religią. Ale kiedy nagi dziki płąsa na cześć Boga swego, kiedy wszystkie zwroty obrzędów polegają jedynie, jak u tubylców Australii południowo-wschodniej, na wykrzykiwaniu: Daramulun! Daramulun! (nazwa boga), tak, iż nie jesteśmy pewni, czy tancerze są zagłębeni w modlitwie, czy w zakłęciach, czy i to wszystko jest religią? Albo, co gorsza, przypuścmy, iż niepodobna odkryć, w głębi ich postępowania, najmniejszych śladów boga osobistego i całe to postępowanie, jak u tubylców Australii środkowej, polega na uroczystem pocieraniu kadłuba rycywołem, ażeby jego wpływy mistyczne zrobiły człowieka dobrym, dały mu radosne usposobienie i siłę fizyczną (w taki sposób pozwalam sobie uwydatnić skutki duchowe tego czynu), czyż jest to religia, którąby godziło się zestawiać, ze stanowiska historycznego, z typem chrześcijańskim religii?

Niektórzy powiadają, iż to niższego rzędu

obcowanie z dziedziną niepoznawalnego jest magią, nie zaś religią. Rozpatrywane ludy dzikie skierowały się na drogę niewłaściwą, poszukując zetknięcia z dziedziną niewidzialnego. Usiłują one wyrzucić nacisk na nią, rozciągnąć nad nią swoją kontrolę, a tymczasem powinny zjednać ją, pochylając się przed jej wolą. Ich sposoby działania są pełne powagi, ale nie pojednawcze. W tem wszystkim tkwi wiele chęci, ażeby działało się według mojej woli: „niechaj dzieje się wola moja!“

Niestety, dwa obozy mogą igrać tem określeniem częściowym. Mniej sympatyczny rodzaj historyków, posługujący się nieustannie kluczem dostarczonym przez różnicę pomiędzy kontrolą a pojednaniem, obwieszcza, iż odkrył obfitość magii w wyższych ustrojach religijnych. Obrzędy, jak np. uczęszczanie do kościoła, uchodzą dla wielu wierzących za czynność pociągającą niejakie skutki istotne. Bardzo dobrze, na to odpowiada owa szkoła: a więc znaczna część chrześcijaństwa pospolitego to magia.

To wyróżnienie sprawia jedynie zamęt mojem zdaniem. Wzmaga ten zamęt i ta okoliczność, nawet gdyby w przyszłości jej nieuwzględniano, jak wielu to robi, iż powyższy sposób obcowania z potęgami niewidzialnymi, według naszych pojęć i zgodnie z istotą swoją zakrawający raczej na oddziaływanie mechaniczne (zmierza bowiem do pozyskania władzy nad jakimiś siłami ukrytymi), jest tak daleki od po-

winowactwa jakiegokolwiek z religią, że właściwie wykazuje pokrewieństwo z wiedzą przyrodniczą. Zgadzam się na to, iż nowoczesna nauka przyrodnicza wyłoniła się z doświadczania potęg ukrytych, tajemniczych, jak to zrobiły także prawo, sztuka i wogóle każda rzecz, wywołująca w nas wyższego rodzaju zainteresowanie. Ale dopóki wiedza ta była okultystyczną, dopóki mojem zdaniem nie była zgoła wiedzą przyrodniczą, a tylko wiedzą o potęgach nadprzyrodzonych. Nadto wiedza nasza w znacznej mierze wyrosła z wysiłków bezpośrednich skierowania naszej działalności mechanicznej w łożysko wytwórcze, np. ku doprowadzeniu żelaza do stanu ciekłego. Ale wtedy, jak i obecnie, istniały liczne tajemnice zawodowe, całun tajemniczości osłaniał przedsiębiorstwo i nadawał mu pozorów stosunku z siłami nieczystemi. A chociaż wiedza podówczas, jak i dzisiaj, uchodziła dla umysłów ciemnych za rzecz, zbliżoną kumającą ze wszelkimi potęgami złemi, bynajmniej ztąd nie wypływa, ażeby istotnie była spowinowacona z dyabłem.

Magia i religia według poglądu, który podzielam, należą do tego samego działu doświadczenia ludzkiego, jednego z dwóch wielkich działów, rzekłbym nawet: dwóch światów, pomiędzy które, w ciągu całych dziejów swoich, doświadczenie ludzkie zostało rozposażone. Magia i religia pospołu należą do świata nadprzyrodzonego, do nieznanej dziedziny doświadczenia, do krainy świtu umysłowego.

Do magii zaliczam wszystkie złoczynne, do religii zaś wszystkie dobroczynne sposoby obcowania z potęgami nadprzyrodzonymi, złoczynne i dobroczynne nie według tego, jak my na nie spoglądamy, ale jak ocenia je społeczeństwo odpowiednie. Niekiedy lud za ledwie przeprowadza pomiędzy nimi granicę i antropolog w takim wypadku nie zdoła wyręczyć go w rozplątaniu tej gmatwaniny. Ale każde społeczeństwo pierwotne spogląda na czynności wiedzy jako na rzecz niegodną. Wiedźmostwo polega na sprzymierzaniu się z nadprzyrodzonymi potęgami złemi w imię celów samolubnych lub szkodliwych dla społeczeństwa. Jest ono istotną magią pokroju dyabelskiego, magią czarną. Z drugiej strony, każde społeczeństwo pierwotne wyróżnia także zbawienne sposoby oddziaływania na potęgi nadprzyrodzone. Wszystkie te sposoby razem wzięte tworzą religię. Zresztą zawsze istnieje moc poglądów mniej lub więcej zleniałych, a w parze z nimi idą praktyki, które w stopniu mniejszym lub większym utraciły panowanie nad społeczeństwem. Należą one do dziedziny folkloru, która istnieje u każdego ludu. Do tej dziedziny, lub innej mocno pokrewnej, należy zaliczyć owo mnóstwo bajek cudownych, będących płodem wyobraźni i nie pozostających w stosunku bezpośrednim do poważnych zadań życia.

Światem zaś, do którego nie należy ani



magia, ani religia, ale jedynie wiedza o przyrodzie, wiadomość o tem, jak w sposób mechaniczny oddziaływać na rzeczy istotne, materialne, jest świat nasz codzienny, świat przebiegów powszednich, zdarzeń, które dadzą się przewidzieć. Posługując się teleskopem i mikroskopem, możemy dalej i głębiej sięgnąć w istotę rzeczy niż dziki. Ale dziki posiada przewyborne oczy. Widzi on dobrze to, co widzi. Dlatego winniśmy w całej rozciągłości uwzględnić ten fakt, iż dla niego, jak i dla nas, istnieje świat przyrodzony, t. j. codzienny i pospolity, acz posiada rozmiary szcuplejsze, niż nasz. Dzik nie wszędzie i nie zawsze obawia się duchów pokutujących; przeciwnie, kiedy zaprzęta się zajęciami codziennymi i wszystko idzie według jego życzeń, jest bez troski, szczęśliwy jak dziecko.

Lecz życie w okresie dzikości rozporządza niewielu rękojmiami jutra. Zdarzenia, zawierające w sobie pierwiastek zwrotu przełomowego, są częstym a prawidłowo powracającym pierwiastkiem podówczas. Głody, choroby i wojna oto przykłady takich zwrotów. Przyjście na świat i śmierć są także zdarzeniami przełomowymi. I na małżeństwo spogląda się zazwyczaj, jako na przełom, a także na wtajemniczenie, ów zwrotny punkt w czyjemś życiu, kiedy młodzieniec wchodzi do świata mężczyzn. Ale przełom — to rozstanie się z zwyczajnym rozsądkiem, to zastąpienie pospolitego i oczekiwanego przez coś nadzwyczajnego i niespodziewanego, to

przerzucenie kogoś do świata potęg nieznanych. A w tym świecie nieznanym my po omacku czułgamy się w nędzy swojej, póki nie ocknie się w nas ufność.

Z punktu psychologicznego zadania religii polegają na obudzeniu w człowieku ufności, którą ów przełom zniszczył. Ludzie nie pożądadają chwil niepewności i przełomu i chętnie uniknęliby ich, gdyby mogli. Przełom ściga ich, a kiedy słabsi ulegają, śmielsze umysły mają odwagę przeciwstawiania się. Religia jest takim przeciwstawianiem się nieznanemu. Dodaje ona otuchy, która pociąga za sobą wyższy poziom udogodnień w życiu.

Winniśmy przecież rozważyć religię ze stanowiska socyologicznego. Religia jest wysiłkiem uporania się z klęską, o ile społeczeństwo podejmuje ów wysiłek w jakikolwiek sposób. Jest ona zjawiskiem natury społecznej, t. j. czyni zadość celom, wysuniętym jednocześnie przez pewną liczbę osób. Opiera się na tradycji, t. j. służy kolejno idącym po sobie pokoleniom ludzkim. Dlatego nieodzownie hołduje sposobom statecznym, pociąga za sobą rutynę, obrządki, a także obecność jakiejś doktryny utartej, stanowiącej stronę wewnętrzną obrzędu i wytykającej mu kierunek.

W dalszym rozbiorze będę kładł nacisk nadewszystko na tę stronę socyologiczną religii. Ze stanowiska antropologicznego jest to postępowanie najwłaściwsze. Winniśmy rozstać się

z metodą odwoływania się do Robinsona Cru-soe, polegającą na odtwarzaniu wierzeń dzikiego samotnika, mającego tworzyć swoją religię na zasadzie świadomości wewnętrznej: góra posepnie wygląda, a więc w niej tkwi życie; poruszam się podczas snów swoich, choć ciało moje leży bezwładnie, a zatem mam duszę. Niewątpliwie takie rzeczy snują się w czyjejs głowie, ponieważ są myślami. Ale nie jedna osoba ma takie myśli, a przynajmniej, nie jedna ona doprowadza je do wyrazistości. Ludzie popólnie doszli do nich, całe wieki popólnego życia i myślenia zrobiły je tem, czem są. Stanowisko społeczne jest nieodzowne do ich wytłómaczenia.

Religia dzikiego jest częstką jego zwyczajów, a właściwie wyczerpuje całkowicie zwyczaj, o ile te uchodzą za święte, t. j. o ile wyobraźnia przynagla człowieka do ich przestrzegania. Jedyne zwyczaj stanął pomiędzy nim a dziedziną nieznanego: jest on dla człowieka wszystkim, jego oparciem, wiarą i nadzieją. Będąc w ten sposób jedynem źródłem jego ufności, zwyczaj ów, o ile wyobraźnia igra z nim, rozstrzyga o jego „szczęściu“. Możemy nawet powiedzieć, iż każdy zwyczaj, jakimkolwiek byłby, o ile uchodzi za rokujący powodzenie, jest obrzędem świętym.

Ztąd pochodzi i zachowawczość, nieodłączna od religii. „Zadna rzecz nie odwoływa się tak silnie do instynktów zachowawczych,

jak religia“, powiada Robertson Smith. „Dzieje religii — oświadcza razu jednego Frazer — to przewlekły wysiłek pojednania starego zwyczaju z nowemi wymaganiami, to znalezienie krzepkiej teoryi na poparcie praktyk niedorzecznych“. Na pierwszy rzut oka, ktoś dojrzy jedynie niedorzeczności w religii dzikich i w ich zwyczajach. Przynajmniej te rzucają się nam przede wszystkim w oczy, gdyż wszyscy uganiamy się za ciekawostkami. Ale należy rozpatrywać ową religię i ów zwyczaj w całości, zarówno więc strony ujemne, jak dodatnie. W zasadzie mamy dzisiaj do czynienia ze społeczeństwem pierwotnem, podupadającym i wyrodnijącym (a niewiele dzikich, którzy otrzymali „cywilizację“ z rąk białych, nie znalazło się w takim stanie upadku); jego zwyczaj, rozprzężony i splugawiony, nie zdolny jest do wypełniania jakiegokolwiek czynności żywotnej. Ale społeczność, ciesząca się zdrowiem, winna wogóle posiadać zdrowe zwyczaje. Chociaż może załatwiać sprawy swoje w sposób kłopotliwy i okolny, przecież musi uwzględnić ogólne wymagania sytuacji. Dlatego nie będę tracił czasu, jak to mógłbym robić, na piętrzenie dowodów „przesądu“ cudzoziemskiego, wszystko jedno, czy z naszego bardziej posuniętego stanowiska, wstrętnych i okropnych, czy tylko prostaczych i omylnych. Zgoła naodwrot! Raczej będę kierował się zasadą, iż wraz ze swemi roszczeniami religia społeczności ludzkiej, o ile sama społeczność jest ca-

łością sprawną, jest rzeczą, która zasługuje na poważanie.

Rozważając stosunek religii do zwyczaju, stajemy w obliczu pozornej trudności, albowiem kiedy zwyczaj powiada: czyń, natomiast zasadniczym hasłem religii pierwotnej jest bodaj wyrzeczenie: nie czyń. Ale ta okoliczność bynajmniej nie stwarza pomiędzy nimi rozdźwięku. Przysłowie starodawne greckie powiada: „istnieje jedna tylko droga cnoty, bez liku zaś sposobów złego postępowania“. Dlatego skrupulatne przestrzeganie zwyczaju pociąga za sobą moc niezliczoną zakazów, tabu. Ponieważ jedna z modeł postępowania zapewnia powodzenie, przeto inne sposoby prowadzą do nieszczęścia. W tem tkwi różnica pomiędzy zwyczajami i obrzędami natury twierdzącej, polecającymi, iż należy dokonać czegoś, a zwyczajami i obrzędami natury przeczącej, które ostrzegają, ażeby czegoś nie robić. Te drugie, w sposób bardziej wyłączny odwołują się o sankcję swoją do wyobraźni i dlatego bezpośrednio i wyraźniej stanowią dział religii. Na pytanie, dlaczego mam tak postępować, wystarczająca całkowicie odpowiedź brzmi: ponieważ takim jest zwyczaj, ponieważ takie postępowanie jest słusznem. Zbyteczna dodawać: ponieważ to zapewnia mi powodzenie. Ale zapytanie: dlaczego w zamian tego czynu nie mam dopuścić się innego, napotyka w społeczności pierwotnej niezmienną odpowiedź: oto dlatego,

iż o ile będziesz postępować w taki sposób, coś wywołującego zgrozę zdarzy się nam wszystkim. Okoliczność zaś, jakiego rodzaju będzie ta klęska, nie wymaga wyszczególniania. Podanie zaś to raczej wygrywa niż traci na tej nieokreśloności odwoływania się do wyobraźni.

Ażeby dokładniej zrozumieć różnicę pomiędzy nakazami a zakazami zwyczajowymi w ich skojarzeniu z religią, zbadamy szczegółowiej po jednym przykładzie z każdej kate-ryi. Należy zaś wybrać nasze przykłady z po-śród takich wzorów, które wykazują, iż zwy-czaj i religia są nawzajem nieodłączne, t. j. są jedynie dwiema stronami tego samego faktu. Chyba niema bardziej świeckiego i pospolit-szego zwyczaju nad przyrządzenie strawy. Je-dnak w społeczeństwie pierwotnem i ten zwy-czaj ciąży ku staniu się obrzędem, już natury przeczącej i zapobiegawczej, już twierdzącej i zlewającej się z istotnem postępowaniem, jak to ujrzymy.

Todowie, tak wyśmienicie odtworzeni przez Riversa, są społecznością niewielką, liczącą niespełna tysiąc głów, która przed gwałtami świata szukała schronienia w niedostępnych górach Nilgeryjskich (Indye południowe). Tam pędzą żywot swój bezpieczny, ale całkowicie pozbawiony podniet. Znaleźli się jak gdyby w wodzie stojącej i prawdopodobnie pozostaną w niej. Religia ich jest tego rodzaju, iż bynaj-mniej nie przyczynia się do zrobienia ich bar-

dziej przedsiębiorczymi. Moznaby rzec, iż nie mają bogów. Dochowały się gołe nazwy bóstw wierzchołków górskich. Może są to bogowie, niegdyś czczeni przez Todów, albo, jak niektórzy przypuszczają, przez poprzedzającą Todów rasę tubylczą. Jedno nie ulega wątpliwości, iż ci bogowie są raczej tylko cieniami, niż rzeczywistością w chwili obecnej. Istotna religia tego ludu zogniskowała się w obrzędach, dotyczących czynności w oborze. Czynności te zaś polegają na dobywaniu masła i serwatki z mleka, tych zasadniczych przedmiotów ich spożycia. Tak rzeczy się mają, rozważane ze stanowiska praktycznego i gospodarczego. Ale ze stanowiska religijnego, czynności te zasadzają się na przekształcaniu czegoś, czego Todowie nie ośmielają się spożywać, w coś co im wolno spożywać.

Wiele okazów ich bydła, choć nie wszystkie, uchodzą za stworzenia święte. Nie wolno spożywać ich mleka. Antropologowie nie mogą nie poszukiwać powodów, dlaczego nie wolno używać mleka, ale Todowie sami nie są ich świadomi. Wiedzą tylko i tyle wiedzieć potrzebują, iż rzeczy przybiorą obrót złowrogi, jeśli ktoś będzie o tyle szalonym i dopuści się takiego grzechu. Kapłan, który jest doicielem, w świątyni, będącej oborą, zdejmuje urok ze świętych wytworów. Obora rozpada się na dwa działy, jeden święty, drugi pozbawiony świętości. W pierwszym znajdują się święte naczynia,

do których zlewają udój i w których przybiera on kształty masła i serwatki, w następstwie dodania nieco kwaszeniny z udoju dawnego, którą trzymają w osobnem a zwłaszcza świętem naczyniu. W drugim stoją naczynia pospolite, do których przekłada się masło i serwatkę, gdy je troskliwie przeniesiono ze świętych naczyń do naczynia charakteru pośredniego. To naczynie znajduje się zawsze akurat na linii pomiędzy obu oddziałami. Przenosiny, którym towarzyszą wszelkiego rodzaju gesty i zwroty bogobojne, pozbawiają mleko świętości w takiej mierze, iż zatracą wpływy złoczynne, które w innym przypadku nieodzownie ujawniłyby się. Obrządek ma charakter wyłącznie zapobiegawczy. Tabu to rdzeń całej sprawy!

Dążności religii takiego typu przeczącego, zakazującego, idą w kierunku piętrzenia ostrzeżeń na ostrzeżenia. Doiciel, który chce być na poziomie swojego świętego obowiązku, musi uwzględniać tabu liczne. Winien pozostawać w bezżeństwie, a także unikać dotykania się trupa. Jest ograniczony do pewnych pokarmów, które są przyrządzane w określony sposób i w miejscu określonym. Za napój służy mu mleko odrębne, a nalewać je powinien według modeli nakazanych. Pospolici śmiertelnicy nie mają do niego dostępu prócz pewnych dni i wzdłuż pewnych ścieżek. Sposób, w jaki podchodzą ku niemu i go witają, opracowano z niezmierną drobiazgowością. Nosi on ubiór odrębny. Nie wolno mu



strzydz włosów. Powinien pogodzić się z długimi paznokciami. I tak dalej bez końca. Ale takie niedogodności są nieodłączne od żywota wszystkich świętych osób i dadzą się przytoczyć z każdej części świata. Najwłaściwsza byłoby pomówić o nich obecnie, gdyż pozwoliłyby na uzupełnienie obrazu tego typu obrzędku religijnego, który nazwałem zapobiegawczym czyli przeczącym.

Nadto daje się dostrzedz niejaki rozprzężenie religii Todów. Riversa zastanowiły zarówno opieszałość doicieli w wypełnianiu swoich czynności, jako też chwiejność i niedokładność ich opowieści o ciężących na nich obowiązkach. Niepodobna znaleźć osób, które chętnie podjęłyby się tej godności. Obrzędy, pociągające za sobą tabu kłopotliwe, usiłowano powierzać młodzieży. Ale młodzież, dlatego że jest młodzieżą, bodaj przekracza istniejące tabu, a jednak obowiązek ten jakoś spoczął na niej. A od wymawiania się krok tylko jeden do zachowywania jedynie pozorów. Dlatego, gdy osoba nieczysta podchodzi do doiciela, ten udaje, iż jej nie dostrzega. Zasadę, iż nie wolno mu przestąpić progów chaty, w której znajdują się kobiety, Todowie obchodzą w ten sposób, iż po prostu usuwają z niej trzy godła kobiecości, a mianowicie tłuczek, sito i miotłę, a naówczas „twarz jest zachowana“. I oto następuje pytanie, skąd pochodzi takie lekceważenie powagi. Rivers mniema, iż przyczyna tkwi w obfitości

obrzędów. Zgadzam się na to, ale dodaję: w nadmiernej obfitości obrządków natury zakazującej. Religia, będąca jednym pasmem kołowacizny, stwarza wykrętnych czcicieli!

A teraz zwróćmy się ku innemu typowi religii pierwotnej, utożsamiającej siebie tak samo ze zdobywaniem pożywienia, ale zespolonej z czynnościami natury czynnej, wspierającej, a więc spieszącej z pomocą. Spencer i Gillen dostarczyli szczegółowego opisu niektórych obchodów, właściwych Aruntom, ludowi australskiemu. Ochrzcili te obchody nazwą *Intichiuma*. Nazwa ta bodaj pozostanie w nauce, chociaż istnieją powody, pozwalające mniemać, iż termin tubylczy brzmi nieco inaczej. Obchody te mają zapewnić mnożenie się i stan pomyślny zwierząt i roślin, używanych na pokarm. Troskę o każde zwierzę i każdą roślinę bierze na się gromada, która uważa to zwierzę lub tę roślinę za swego totema (totemizm u tego ciekawego ludu nie ma nic wspólnego ze sprawą wyvodu pochodzenia i eksogamią — przedmiot, w który niepodobna mi się zapuszczać). Obrzędy różnią się mocno w stosunku do każdego totemu: powołam się tylko na jeden lub dwa wzory znamienne,

Mężczyźni, należący do totemu pewnej poczwardki, biorą na siebie sprawę jej rozplenięcia, a to w tym celu, ażeby ich rodacy mieli obfitość tego pokarmu. Poruszają się skrętami wzdłuż pewnej ścieżki, o której dochowało się podanie, iż przed wiekami ciągnął tędy wielki

przywódca tych poczwarek (te poczwarki przekształciły się w ludzi, przodków obecnych totemowców). Ścieżka doprowadza ich do miejsca wśród pagórków, gdzie wśród wielu małych sterczy wielki kamień. Wielki kamień odtwarza dorosłą poczwarkę, małe — jej jaja. Dotykając się wielkiego kamienia, zaklinają go w śpiewie, ażeby zniósł jaja. Kierownik obrzędu następnie pociera kadłub każdego z totemowców małymi kamieniami, powiadając: jadłeś dużo!

Kangurowcy udają się do miejsca, noszącego nazwę Undiara. Jest to urocze ustronie. Tuż nad krynicą, ocienioną przez wysokie drzewo gumowe, wznosi swoje wyżarte i porysowane przez wody oblicze opoka kamienna. Krawędź górna sterczy na stóp dwadzieścia od podnóża. Totemowcy podczas obchodu swego udają się tutaj. Albowiem w czasach zamierzonych ich przodkowie, wcieleni w nich obecnie, tutaj przyrządzali i jedli mięso kangurze, a nadto kangury tutaj pozostawiły swoje części duchowe. Część przednią skały poniżej krawędzi przyozdabiają długimi pasami, do których używają ochry czerwonej i białego gipsu, a mającymi odtwarzać futro czerwone i białe kości kangura. Zaprawdę, jedno z tych malowideł ściennych jest takie samo, jakie pozostawili Europejczycy paleolityczni w swoich jaskiniach. Kilku mężczyzn, siedmiu lub ośmiu, włazi na krawędź i kiedy inni śpiewają pieśni uroczyste o pomyślnem rozplenianiu się kangurów, ci

otwierają żyły ramienia swego, krew zaś spływa po powierzchni kamienia obrzędowego. Taką jest pierwsza część obrzędu. Ale i druga jest niemniej ciekawa. Po upuście krwi polują, póki nie zabiją kangura. Naówczas starzy totemowcy spożywają nieco mięsiwa i tłuszczem smarują ciało wszystkich, a w końcu dzielą mięso pomiędzy siebie. Poczem totemowcy malują ciała swoje w pasy, naśladując wzory na skale. Powtórne polowanie, po którym idzie powtórna uczta święta, zamyka całą uroczystość. Ze uczta jest świętą, czemś w rodzaju komunii, o tem świadczy ta okoliczność, że kangurowcy w życiu codziennem pozwalają sobie na spożycie mięsa kangurzego w ilości bardzo nieznacznej, niektórych zaś kawałków mięsa wcale nie biorą do ust.

Możemy przytoczyć jeszcze jeden obrządek tego rodzaju, ażeby uwydatnić ów nastrój poważny religii tego typu, wytykającej nakazy wyraźne postępowania zamiast poprzestawania jedynie na zakazach. Ani śladu opieszałości, dostrzeganej u Todów. A mianowicie, starczy spojrzeć na początkowe ceremonie właściwe totemowcom mrówki miodowej. Kierownik uroczystości trzyma rękę, jak gdyby zasłaniał nią oczy, i cały wpatruje się w kierunku miejsca świętego, do którego mają się udać. Inni tymczasem klęczą poza nim w jednym rzędzie i pozostają czas niejaki w takim położeniu, dopóki kierownik wyśpiewuje głosem przytłumio-

nym. Wtedy wszyscy wstają i ruszają w drogę, kierownik, który znalazł się w tyle po to, ażeby utrzymać oddział w prostej linii, daje znak. Ruszają gęsiego, idąc wprost do miejsca świętego, w milczeniu zupełnem, a krokiem miarowym, jak gdyby miało coś zająć doniosłości jak najgłębszej.

Nie tłumaczę się, iż przydługo opisywałem te obrzędy. Trzeba mi było wywołać wrażenie, iż zasadnicze pierwiastki religii tkwią w tych z pozoru mało bogobojnych obchodach ludów dzikich. Wyłoniły się one bezpośrednio ze zwyczaju myśliwskiego, celem zaś ich bezpośrednim jest zaopatrzenie ludu w jego chleb powszedni. A jednak odwołują się do wyobraźni, która zarówno w religii, jak w nauce, sztuce i filozofii, jest pobudką przewodnią postępu i wogóle wszelkiego rozwoju twórczego. A odwołanie się to jest tego rodzaju, że poszukiwanie pokarmu nabiera treści nowej a głębszej. Te zawiłe i niejasne uroczystości nasuwają myśl nie tylko o jednym chlebie, ale o czymś więcej niezbędnem do życia ludzkiego, a przepojone są w zmiennej kolejności ofiarami, modłami i komunią. W imię potrzeb chwili obecnej, wskrzeszają one wszystkie obietnice przeszłości cudownej, która nie tylko wypiaستowała rasę, ale jeszcze zaopatruje ją zasobem wcielającej się wciąż w nowe pokolenia siły duchowej, co uzdalnia ją do życia. Jeżeli te obrzędy mają być odmianą jedynie magii, naówczas większa część lub nawet wszystko to, co świat uznaje

za religię, musiałyby być również magią. Ale dogodniejsza rzecz dla antropologii nadawać rzeczom nazwy, które są znane w świecie rozleglejszym, niż te, które istnieją tylko w jakimś zakątku jego.

Ażeby w pełni całej uwydatnić drugą sprawę, o którą mi chodzi, a mianowicie, ścisłą współzależność pomiędzy religią a zwyczajem w społeczności pierwotnej, niechaj mi wolno będzie przytoczyć jeszcze, jako przykład, jeden z obrządków ludu pierwotnego. I znowu udam się do Australii tubylczej, ale tym razem do kąta jej południowo-wschodniego. Wogóle, w Australii mamy do czynienia z bardzo niskim poziomem rozwoju, który jakgdyby został powstrzymany dzięki odosobnieniu, ale ów poziom da się poniekąd pogodzić z wysoką religią w trakcie jej kiełkowania.

Wtajemniczenie w Australii tubylczej odpowiada temu, co u siebie nazywamy wyższem wykształceniem. Jedyne różnica, że u nich każdy, kogo nie uważają za zupełnie niezdatnego, podlega wtajemniczeniu całkowitemu, natomiast u nas do wyższego wykształcenia ma dostęp wielu niezdolnych, niekiedy zaś zdolni nie otrzymują go wcale. Zwyczaj wtajemniczenia ma na celu ułatwienie wyrostkom przebycia ciężkiego okresu dojrzwania i przekształcenia ich w mężów dojrzałych. Ogół mężczyzn dorosłych jest obecny podczas obrzędu. Mianuje się wybranych mężczyzn jako piastunów młodzieży: sprawa kłopotliwa, gdyż pociąga za sobą ukrywanie się

w kniei wraz z wychowañcami, niekiedy w ci³gu p³ roku. M³odzie¿y tam ucz¹ podañ plemiennych i wog³le ukr³caj¹ ich, niekiedy si³¹, w imi³ ich w³asnego dobra. M³odzie¿ jak gdyby usuwa si³ do klasztoru, gdy¿ surowe tabu ci¹gn¹ si³ przez ten czas ca³y, lub, innemi s³owami, pogr¹¿a si³ w stanie bogobojnym, wymagaj¹cym przecia¿y³ych post³w i umartwiania cia³a. Wkoñcu nadchodzi uroczysto³, kiedy m³odzie¿ ostatecznie przesadza pr³g, który oddziela j¹ od m³e¿ko³ci. Mo¿emy uj¹c obrz³dy zwi³zle, a mianowicie, ¿e s¹ obliczone na wywarcie silnego wra¿enia. Spo³eczeñstwo pragnie wycisn¹c pi³tno swoje na charakterze m³odzie¿y i uwa¿a, ¿e to pi³tno powinno byc twarde. Malcy czuj¹ pot³g³ spo³eczno³ci pod wzg³dem fizycznym: wybijaj¹ im z¹b, podrzucaj¹ w g³r³, a¿eby ro³li i t. d. — obrz³dy, kt³re, maj¹c odr³bne cele tajemnicze na widoku, pospo³u s¹ w najwy¿szym stopniu niepowabne.

Órodki duchowe stosowane przez wychowanie, o ile zarz¹dzone i u¿yte rozs¹dnie, s¹ zawsze skuteczniejsze, ni¿ fizyczne. Ryczyw³³, o kt³rym nieco m³owili³my, otacza uroczysto³ odblaskiem czci. Rozlega si³ w kniei, otaczaj¹cej ustronie, w kt³orem odbywa si³ obrz¹dek: jego d¿wi³ki czarodziejskie rozbrzmiewaj¹ to ciszej to g³³sniej i przypominaj¹ niby silny powiew wiatru i polot duch³w w powietrzu. Dop³ki wyrostki nie dosi³gli szczebla m³e¿czyzn, p³ty nie wiedz¹, sk¹d pochodz¹ te

dźwięki, a kiedy dowiedzą się o tem, tajemniczość głosu, wydobywanego z kawałka drzewa, pobudza ich wyobraźnię do lotu śmielszego. Kimkolwiek jest Bóg tych tajemnic, Daramulun, w pojęciach tego ludu (a niewątpliwie wszelkiego rodzaju pomysły mętne ogniskują się w nim), zawsze jest on bogiem ryczywołu i uwięził głos swój w świętem narzędziu. Ale Daramulun jest również obdarzony postacią ludzką; rzeźbią niekształtnie postać jego w drzewie; tańczą dokoła niej i wykrzykują imię jego. Daramulun nakazał te obrzędy, jak wiele innych zamierzchłych zwyczajów zgromadzonego plemienia lub plemion. Kiedy ponad głowami wyrostków, rozciągniętych na ziemi, są uroczyście wygłaszane, jak powiada Lang, „dziesięciorgo przykazań“, które im nakazują czcić starców, poważać prawa małżeńskie, i t. d., w ich umysłach zarysowuje się postać tego prawodawcy: jego głos nieziemski staje się dla nich głosem prawa. Zwyczaj zostaje opromieniony czcią, a moc jego rozszerzona dzięki podsunięciu myśli o potędze, i to potędze stanowczo osobowej, która ma oko na cnotę i acz dobroczynna, nieci postrach w grzesznikach.

Czas wielki, ażebyśmy rozstali się ze stroną zewnętrzną a socyologiczną religii pierwotnej, dotychczas jedynie uwzględnianą przez nas, i zwrócili się ku psychologicznej, tej, która odsłoni ukryte pobudki i źródła duchowe wierzeń, będące podłożem i osnową praktyk, zalecanych



przez zwyczaj. Ale właśnie w tym względzie sposób rozważania religii, właściwy antropologom, okazuje się niewystarczającym. Historia z większą pewnością nawiązuje czyny, niż to, że takie to a takie stany umysłowe towarzyszą im i dostarczają natchnienia. Nadto dziki zgoła nie jest powagą, gdy chodzi o pobudki jego postępowania. „Czy istota rozumna będzie rozmyślała o swoim postępowaniu“, taki argument mu wystarcza. Wprawdzie wyższe umysły wśród dzikich zagłębiają się w sposób sobie właściwy nad znaczeniem swoich zwyczajów i obrzędów. Ale to zagłębianie się jest tylko opracowaniem „uzasadnianiem rzeczy dokonanej“. Umysł wyszukuje opowieść, ażeby usprawiedliwić to, co już istnieje. Jak rzecz mogła powstać, nie zaś jak powstała, oto wszystko, co podawane wyjaśnienie wyklada. Ale gdy dochodzi do roztrząsania możliwości, antropolog, zamiast zasięgania rady u dzikiego, z całą słusnością może tego dokonać samodzielnie.

Teorie antropologów, dotyczące początków religii, grzeszą mojem zdaniem dlatego, iż usiłują zanadto upraszczać sprawę. Wyszperawszy to, co dałoby się nazwać ideą jakąś zasadniczą, ogłaszają ją za jedyną ideę tego rodzaju. Natomiast przypuszczam, iż religia poczęła się z tyłuż pierwiastków, co życie ludzkie i ludzka umysłowość.

Teorią, dotyczącą początków religii a obecnie panującą, ponieważ wygłosił ją największy

z żyjących antropologów, jest teoria Tylora animizmu. Termin ten został zaczerpnięty z wyrazu łacińskiego *anima*, który tak samo, jak pokrewny mu wyraz *spiritus*, oznacza dech, a ztąd i duszę, utożsamianą przez ludy pierwotne z oddechem. Teoria animistyczna Tylora, wyłożona w wielkiej pracy jego: „Pierwotna cywilizacya“, polega na twierdzeniu, iż „wiara w istoty duchowe“ wystarcza do ujęcia religii w jej rozciągłości najmniejszej, t. j. w jej okresie najwcześniejszym. Ale czym są owe „istoty duchowe?“ Prawie doświadczenie każde wskazuje na nie. Rozważania Tylora tego przedmiotu w zarysie najogólniejszym kładą nacisk największy na widziadła. Podczas snu i w halucynacjach ktoś ogląda postacie mniej lub bardziej mgliste, obdarzone ciałem przejrzystym. A więc cień jest czemś bezcielesnem, dla każdego dostrzegalnem; oddech prócz dni mroźnych wykazuje swoją przyrodę nieuchwytną, przecież odczuwaną dzięki temu raczej, że go czujemy niż widzimy. Niewątpliwie, iż widziadła odgrywają rolę poważną w religii pierwotnej (jak i w urojeniach umysłu pierwotnego, które nie weszły do religii, a przynajmniej do religii utożsamianej ze czcią stateczną). Dzicy widują duchy, acz nie częściej niż my, mają sny jaskrawe i to co przeżyli podczas snów, wywiera na nich silne wrażenie. A oprócz tego widziadła tworzą bardzo dogodny posterunek w połowie drogi pomiędzy światem widzialnym

a niewidzialnym, i rzecz niewąpliwa, iż dziki powiada: dech, cień i t. d., kiedy ma na myśli coś wogóle niematerialnego i pragnie to wskazać.

Ale Tylor posługuje się niekiedy animizmem w znaczeniu rozleglejszem, a mianowicie jako nauką o wszystko — przenikającym pierwiastku życia. Rozważając mity ludów pierwotnych o słońcu, księżycu i gwiazdach, wykazuje, jak tkwi w nich pogląd, iż cała przyroda jest ożywiona. Umysł pierwotny wczytuje się w te rzeczy, które naszym zdaniem nie mają życia ani osobowości. Mniema on, iż są uposażone w ciało odmiennego rodzaju, ale w te same uczucia i pobudki. Ale bynajmniej nie jest koniecznością pogląd, iż te przedmioty mogą wyłaniać z siebie własne widziadło, jak to zdarza się u człowieka, kiedy dusza jego opuszcza chwilowo ciało lub kiedy po śmierci staje się duchem. Żaden pierwiastek duchokształtny nie potrzebuje być przyczepionym do słońca, wszystko jedno czy wyobrażamy je sobie jako krąg błyszczący, czy jako świecącą istotę kształtów ludzkich, co włada tym kręgiem. Przynajmniej nie ma ani krzty czegoś, przypominającego widziadło, w Apollinie greckim. Mniemam, iż należałoby wyróżnić ów animizm w znaczeniu rozleglejszem jako animatyzm, termin, który może posłużyć zarówno do wyodrębnienia jak i do powiązania obu pojęć.

Żgoła nie jestem świadom, jak dalece win-

niśmy kłaść nacisk na tę teorię życia, przenikającego wszystkie rzeczy. Ażali dziki, pracując nad kawałkiem krzemienia, bardziej niż my myśli o nim, jako nie o rzeczy? Wątpię bardzo. Może rzeknie: bądź przeklęty, gdy ten kawałek rozpadnie się na dwa, jak i my uczynilibyśmy. Ale chociaż mowa jego posługuje się terminem „ty“, jednak, sędzę, będzie przypisywał krzemieniowi w takiej samej mierze osobowość, jak i my, używając tego samego zwrotu. Innemi słowy, jestem zdania, że w obrębie swego doświadczenia codziennego wyróżnia on osoby od rzeczy. A w każdym z tych przypadków nie zaprzęta się ukrytymi zasadami, które sprawiają, że te przedmioty są tem czem, są, i zachowują się w sposób sobie właściwy.

Ale, jeżeli rzecz lub osoba pozostają w obrębie doświadczenia niecodziennego, kiedy więc działają na wyobraźnię, jako pełne cudowności i wywierające skutek nadzwyczajny, natówczas istnieje więcej pobudek, ażeby człowiek zapragnął zdać sobie sprawę z tajemniczości, która tkwi w osobliwym tem zjawisku, lub ukrywa się w głębi jego. Howitt, ów znawca wyśmienity tubylców australskich, przytacza przykład następujący, jako przewyborny obrazek tego, w jaki sposób umysł tubylczy działa. Maczuga i dziuryt są dla czarnego tubylca sprzętami nieodłącznemi jego życia codziennego. W nich nie tkwią żadne czary, ani siła nieczysta. Jeżeli mają otrzymać moc nadprzyrodzoną, należy je

urzec w sposób odpowiedni. Natomiast rzeczy stoją inaczej z przyrządem do miotania pocisków i z ryczywółem. Pierwsze z tych narzędzi uzdalnia go do miotania pocisków na znaczną odległość i to bez powodów widocznych. (Widziałem osobiście dziryt australski, który rzucony za pomocą takiego narzędzia przeleciał 150 jardów u kresu swego biegu uderzył trafnie a silnie). Ryczywół zaś wydaje dźwięki grzmotu, choć jest zwykłym kawałkiem drzewa umocowanym na końcu sznurka. Te narzędzia zawierają w sobie czary. Istnieje w nich lub poza nimi jakaś „moc“.

Ale czy przypisywanie „mocy“ jakiejś rzeczy jest nieodzownie przypisaniem jej życia? Czy naprawdę spogląda się na narzędzie do miotania dzirytów i na ryczywół, jako na rzeczy żyjące, i co za tem idzie, czy są one obdarzone duszą lub duchem? Lub może tkwi tam nieosobowy rodzaj „mocy“, „czarów“, mniejsza zresztą jak nazwiemy sprawność cudowną rzeczy, sprawiającej skutki cudowne. Są dowody, że dziki, mówiąc o tych sprawach, powiada niekiedy: potęga, niekiedy życie, niekiedy duch. Ale najprostszy sposób uporania się z temi zagadnieniami, to przypomnienie, iż wszystkie te wyróżnienia subtelne, które teoretycy wyczuwają, zgoła nie dotyczą dzikiego. Zaprzęta go jedynie ta okoliczność, iż niektóre rzeczy w świecie są przyrody pospolitej i że może

liczyć napewne na nie, inne zaś wymykają się z pod jego woli i wywołują skutki cudowne.

Pomiędzy temi cudownemi rzeczami jedne są dobroczynne, inne złoczyńne. Religia może uczynić dla dzikiego to jedno, iż pozyskuje na jego korzyść wszystkie rodzaje dobroczynnych cudowności i powściąga skutki potęg kalibru złoczyńnego. „Niechaj będzie ze mną błogosławieństwo“, „niechaj klęska pierzchnie“, oto rdzeń jego wysiłków religijnych, wszystko jedno, czy antropologowie uważają te wyrzeczenia za zaklęcia czy za modlitwę.

Jakeśmy zaznaczyli, zadanie religii polega na dodaniu otuchy, gdy człowiek znalazł się w opałach, zdjęty lękiem w obliczu tajemnic, które stają wpoprzek jego żywota, a jednak zmuszony, nawet łaknący podołania im i wydobycia z nich tego, co może być dlań pomocą. Religia spełnia tę powinność swoją, odwołując się do tego, co możemy ująć w jednym wyrazie: „sugestia“. Jak sugestia ta działa pod względem psychologicznym, jakim np. sposobem skojarzenia ideowe, znane pod nazwą magii sympatycznej, przywodzą na niższych szczeblach doświadczenia religijnego, rzecz ta jest trudnem zagadnieniem, którego nie będziemy tutaj roztrząsali. Religia wspiera człowieka, kiedy trzeba czegoś dokonać, i napawa go otuchą, że zdoła on wywiązać się z tego dobrze a skutecznie. A kiedy religia jest takiego sprawczego rodzaju, wyznawcy ulegają

sugestyi i uskuteczniają rzecz. Poeta łaciński rzekł przecież: „Mogą, ponieważ mniemają iż mogą“.

Ale, z antropologicznego punktu widzenia, jakie religie są takiej sprawczej i skutecznej natury, tj. zapewniają sobie trwałość dlatego, iż ci, których one wspierają, wyżyli? Niebezpieczna to rzecz wszelkie uogólnienia przedwczesne, ale w tym przypadku istnieje dobra okazyja do powiedzenia słów paru o wyróżnianiu wśród religii świata jednych jako mechaniczne i bezskuteczne, drugich jako duchowe i skuteczne. Odmiana mechaniczna religii podaje swoje pocieszenie, podsuwając moc różnych sprzętów i rzeczy. „Moc“ tkwi w określonych obrzędach i rotach. Takie religie, o ile są typu przeznaczonego a zapobiegawczego, zwłaszcza podatliwe są na zeszywnienie w mechanizmie bezmyślnym. Natomiast duchowa odmiana religii, kojarząca się zwłaszcza z zadaniami czynnymi a zasadniczymi życia, usiłuje wlać życie i wolę w potęgę cudowne i zmusić je do udzielania pomocy człowiekowi. Wola i osobowość czciocieli nie tyle potrzebują sprzętów, ile właśnie woli i osobowości. Otrzymują je od duchowej odmiany religii, która w ten lub inny sposób napawa otuchą społeczeństwo, podsuwa myśl o obcowaniu, jako też dostarcza środków i celów udoskonalenia warunków życia.

Ale powiedzenie, iż religia działa za pomocą sugestyi, sprowadza się do tego, iż działa,

odwołując się do wyobraźni. Istnieją źródła dobrej wiary i złej, człowiek zaś, o ile ma chcieć czegoś, musi nieodzownie posługiwać się wyobraźnią i wiarą. Ale potęgi w mniejszym lub większym stopniu nieczłonkowane i intuicyjne umysłu musi wesprzeć umiejętność rozumowania członkowanego, jeżeli wola ma wywiązać się należycie ze swego charakteru dwójakiego, a więc ze swojej zdolności wytykania celów, będącej jednocześnie i zdolnością wyszukiwania środków, które prowadzą do tych celów. Słowem, myśl krytyczna musi przetrwać sugestyę, zanim ta wystąpi w roli kierowniczkowej wyższego życia. Uwydatnienie tej sprawy będzie przedmiotem rozdziału następnego.



## ROZDZIAŁ IX.

# MORALNOŚĆ.

Ubywa nam miejsca, a tymczasem wprost niepodobna zgarnąć do kupy jako tako szczegółów, dotyczących przedmiotu tak rozległego, jak moralność pierwotna. Westermarck w swojej pracy pomnikowej o początku i rozwoju pojęć moralnych zgromadził ilość niezmierną faktów. Czytelnik w niej znajdzie, iż chociaż zwyczaj różni się mocno, przecież emocye, ktoś powiedziałby: uczucia, tworzące materiał surowy moralności, są wszędzie te same.

Najpożyteczniej będzie, gdy uwydatnimy podstawę psychologiczną moralności pierwotnej w przeciwieństwie do moralności typu bardziej posuniętego. Hołdując planowi, któregośmy dotychczas się trzymali, zrobimy jeszcze krok nowy od stanowiska, rozważającego jedynie zewnętrzną stronę życia ludzkiego, ku wytkniętemu kresowi. Polega on na ocenie istotnej a wewnętrznej zawartości życia ludzkiego, o ile jest to

sprawa antropologii, której nie wolno sięgać dalej, niż pozwala na to metoda historyczna.

Pytanie wielkie, czy moralność pierwotna lub posunięta są każda wyciosana z jednej sztuki w takiej mierze, iż umożliwiają ujęcie siebie każdorazowo w jednym obrazie, jak fotografii zbiorowe. Przecież dla celów naszych to doświadczenie może oddać takie usługi, iż warto ważyć się na nie. Przypuśćmy, że, ze stanowiska psychologii postępowania, istnieją dwa główne okresy w rozwoju dziejowym społeczności: jeden z nich nazywam synomicznym, drugi syntelicznym. Synomiczność (z greckiego *nomos*, zwyczaj) powiada, że chodzi tam o wpływ zwyczaju; synteliczność (z greckiego *telos*, cel) wskazuje, iż znaczenie poczesne należy się celom.

Ze stanowiska psychologicznego, okres synomiczny jest panowaniem zwyczaju, synteliczny zaś rozważa. W pierwszym rządzi dobór bezwiedny, dokonywany pomiędzy właściwymi tej dobie normami dobrego i złego, w drugim na przód występuje dobór całkowicie świadomy. Chodzi o wykazanie związku, na jakiej drodze ta różnica się wyłoniła.

Rysem znamienym okresu synomicznego wśród ludów pierwotnych jest niemal całkowita nieobecność skupionego życia osobistego. Wprawdzie należy wziąć pod rachubę wiele innych okoliczności: niema rozległych środków porozumiewawczych, ani mowy analitycznej,

pisma i książek itd., ale ze wszystkich zarzutów może najgorszym jest pozostawanie ciągle w gromadzie. Disraeli powiada w „Sybilli“, iż gromada nie jest jeszcze zreszeniem. Ciągłe przebywanie i poprzestawanie pospólne staje na przeszkodzie rozwojowi osobowości. Owa niezależność charakteru, warunek pierwszorzędnego społeczeństwa syntelicznego, nie może dojrzeć, acz zarodki jej istnieją. Nikt nie ma widoków na zajrzenie do własnej duszy, osoba nie znajduje tej rozmowy milczącej z samą sobą, jaką jest zastanawianie się. Zamiast zwracania się włąb siebie zwraca się ona na zewnątrz. Słowem, poddaje się naśladownictwu.

Ale ktoś może zagadnąć, jakim sposobem począł się rozwój, jeżeli wszyscy nawzajem naśladują siebie. Zaprawdę, rzecz wygląda na pierwszy rzut oka jako koło błędne. Jednak, istnieje tam przestwór niejaki dla postępu, a przynajmniej dla pewnych przekształceń. Rozpatrywanie źródeł psychologicznych tej sprawy zaprowadziłoby nas zbyt daleko. Ale jeżeli jedno zdanie może starczyć za długie wyjaśnienia, to powiemy, za wzorem świętego psychologa francuskiego Tarde'a, iż źródła te tkwią w zapładniającym krzyżowaniu się naśladownictw. Nie potrzebujemy udawać się zbyt daleko po przykłady tego, jak ta sprawa podąża. Odbywa się bowiem codziennie wśród nas pod nazwą zmiany mód. Ktoś, kupując ostatniego fasonu krawat lub kapelusz słomiany, bynajmniej nie

łaknie ubioru kształtów rozumniejszych. Postęp w tej dziedzinie jest bezwiedny. Lloyd Morgan zręcznie ujął ów stan ducha jako naśladowanie owcy przez owcę i tłoczenie się w przejściu.

Ze stanowiska moralnego ta nieobecność zdolności do wygłaszania sądu osobistego jest równoznaczna z nieobecnością wolności moralnej. Oglądaliśmy, jak dalece sankcye, do których odwołuje się dziki, są natury względnie zewnętrznej. Nie wynika ztąd, ażeby nie było jakiegoś sądu i jakiejś odpowiedzi w umysłowości osobnika wypełniającego zwyczaj. Powiada on: oto zwyczaj, a zatem moje postępowanie jest słuszne. Ale niepodobna powiedzieć, ażeby ten sąd opierał się na istotnem rozmyślaniu, t. j. krytycznem, samodzielnem. Człowiek zważa na swoich sąsiadów i zaczerpuje od nich wskazówki. Sąd jego jest sądem zmysłów. Nie dociera do treści, do zasady. Zasada moralna — to modła, którą się przenosi za pośrednictwem myśli od jednego splotu okoliczności rzeczywistych do drugiego. Rozważa się odrębnie prawo powszechne i jego stosowanie do splotu okoliczności, podpadającego obecnie pod zmysły, zanim zespoli się je w jedno. Wprawdzie któreś ze zastosowań możliwych, acz wymaganych przez zwyczaj, moda, postęпки któregoś z sąsiadów, własne czyjeś pobudki i uprzedzenia, inne jeszcze przyczyny mogą stawiać opór, jeżeli rozważa wykaże, że to zastosowanie nie odpowiada warunkom. Ktoś,

ażeby mógł rządzić się rozumem i dodał dwa do dwóch, musi być zdolny do ujęcia dwóch i dwóch jako pojęć odrębnych. Natomiast spostrzeżenia dają się porównywać ryczałtem. W rozdziale o języku, oglądaliśmy, iż człowiek posługiwał się wyrazami, ogarniającemi całość obrazu, i dopiero z wolna doszedł do analitycznych, t. j. odrębnych pierwiastków mowy. Tak samo w rozdziale obecnym winniśmy uwydatnić całkowicie równoległy rozwój w zakresie myślenia — od zamętu do wyodrębniania pojęć.

Moralność dzikiego nie odwołuje się do rozumu w tem znaczeniu, ażeby miała poddawać rzecz rozbiorowi. Jest, że tak powiem, impresyonistyczną. Możemy ją oddać, jako wyraz wrażenia, pobieranego przez gromadę. Pojmimy ją najlepiej w oświetleniu tej części psychologii społecznej, której zazwyczaj nadajemy nazwę psychologii tłumu. Może termin „tłum“ jest nieco niewłaściwy. Nasuwa on nam na myśl dzikie wybuchy podniecenia zbiorowego: popłochy, szal krwiożerczy, zarazę płasów. Ale chociaż społeczność dzika bynajmniej nie jest kłębiącą się gromadą osób, które na razie utraciły głowę, jednak rozważania psychologiczne, stosujące się do takiej gromady, dają się także zastosować do społeczności pierwotnej, naturalnie z zastrzeżeniem, że społeczność dzika jest więzią stateczną. Różnica pomiędzy jedną a drugą polega na tem, iż tłum, występujący

w życiu pierwotnem, jest pasmem wielu kolejnych pokoleń ludzkich. Tradycye dostarczają pobudki długotrwałej a statecznej, znajdującej wyraz swój w postępowaniu.

Myśl w okresie dzikości nie jest zdolną do rozsądzenia w strzępy zwyczaju, gdyż nie ośmiela się na to. Igra ona z kantami zwyczaju, a religia wspiera takie postępowanie, nasuwając myśl o świętości zwyczaju. W społeczeństwie pierwotnem istnieje wiele dociekań mglistych, które winny poprzeć istniejące urządzenia. Ale rozebranie tej całości na części i złożenie ponowne w inny sposób przewyższa umysłowość ówczesną, która chociaż zdolna do uporania się ze szczegółami, przecież upokarza się przed zasadami. Postęp odbywa się ukradkiem, powtarza wyrazy, ale sprzeniewierza się duchowi, aż wkońcu, poprzez urojenia prawne i podstawienia obrzędowe, nowe zasady zastępują dawne, nikt zaś tego nie dostrzega.

Wolność w znaczeniu wolności umysłowej bodaj poczęła się w jednym miejscu i jednego czasu, a mianowicie w Grecyi w w. V. i IV. przed Chr. Krzyżowania się i zatargi ludów utworowały jej drogę. Idee stają się potęgą z chwilą, kiedy rozstały się z podłożem miejscowem. Grecya, wskazawszy ludzkości doniosłość wolności umysłowej, wytknęła drogę ku kształtom bardziej uchwytnym tej wolności, która nosi nazwę moralnej. Wolność moralna to

wola oddania więcej niż pobraliśmy, to zwrot z lichwą kosztów naszego wychowania społecznego. Jest to wola, praca do rozmyślenia o treści i celu życia ludzkiego, a w dalszym ciągu do współdziałania rozwojowi twórczemu.

## ROZDZIAŁ X. OSOBOWOŚĆ.

Na zakończenie nie będzie od rzeczy powiedzieć słówko o osobistości ludzkiej, o ile ta ujawnia się wśród ludów typu pierwotniejszego. Tkwi rzetelne niebezpieczeństwo w rozpowszechnieniu się pomiędzy antropologami zapatrywania, iż pogląd naukowy na człowieka da się osiągnąć pomimo nieuwzględniania w nim jego natury ludzkiej. Postępowanie takie wypływa z troski nadmiernej o to, ażeby historia rozwoju zdołała dojść do wyłuskania zasad ogólnych. Jest zbyt skłoną do rugowania „przypadku“, niepomna tego, iż cała teoria rozwoju biologicznego da się rozważać, jako „teoria przypadku dodatniego“. Mąż wielkiej indywidualności, a więc mąż wyjątkowy, genialny, wszystko jedno, czy mąż czynu, uczucia lub myśli, zgoła nie jest tego rodzaju przypadkiem, którego historii wolno nie dostrzegać. Jest on w mierze niemałej twórcą historii, i dlatego historyk powinien traktować go z czcią



odpowiednią. „Skielet“ historyi, a więc jej średnie wielkości statystyczne, są bardzo na miejscu, ale jedynie odtwarzają tę prawdę powierzchowną, iż przebiegi w historyi powtarzają się, nie zaś prawdę głębszą, iż historia jest rozwojem. Antropologia nie może lekceważyć tego, co wolno ochrzcić nazwą sposobu pojawienia się pierwiastków nowych w historyi. Kto bada spisek a nie dochodzi charakterów, ten nigdy nie wydobędzie treści z dramatu żywotów ludzkich.

Może to będzie miało pozory ogólnika, przecież warto o tem przypomnieć na wstępie, iż ani jeden mężczyzna lub kobieta nie są pozbawieni własnej osobowości, chociaż ta w którymś przypadku nie grzeszy wysokiem napięciem. Nikt nie jest prostą podobizną. To urojenie pożyteczne statystyków w rzeczywistości nie istnieje. Winniśmy uzupełnić dzieło teorii oderwanej wejrzeniem, w którym drga wczucie się w przyrodę osobową mężczyzn i kobiet. Jeden z jaskiniowców wedyjskich rzekł do dra Seligmana (jest to pierwszy przykład, na który natknąłem się w pierwszej książce, jaką wziąłem do ręki): „Deszcz, uderzający o plecy nasze, sprawia nam uciechę, jako też wyjście z jaskini i wykopywanie yamu, a następnie, gdy jesteśmy przemoczeni, powrót do domu i widok płonącego ogniska w jaskini i siedzenie dokoła niego“. Zdaniem mojem, to odezwanie się przelewa więcej światła na antropologię

zycia w jaskiniach niż wszystkie kości i wszystkie kamienie, do których wykopania przyłożyłem rękę na w. Jersey w jaskiniach epoki mousterieńskiej. Jest to „dokument, świadczący o człowieku“, jak brzmi zwrot utarty. Osobistość mówcy i jego gromady — rzecz znamienna, iż posługuje się on pierwszą osobą liczby mnogiej — ujawniła się w sposób wystarczający, ażeby dusze nasze weszły z nim w zetknięcie. Jesteśmy bliżsi oceny dziejów człowieka ze stanowiska jego jaźni.

Ci badacze ludzkości, którzy mają tę wyższość iż przebywają pomiędzy ludami pierwotnymi i władają ich mową i pozostają zaprawdę w stosunkach przyjacielskich z niektórymi osobami z pośród nich (co jest rzeczą niełatwą, gdyż przyjaźń każe domyślać się poniekąd równości obu stron), powinni przyłożyć rękę swoją do biografii antropologicznej. Antropologia, o ile chodzi o ludy dzikie, dopóki tego nie uczyni, nie zdoła osiągnąć przynależnego jej poziomu najświetniejszej gałęzi historii.

Dla rozwiniętego człowieka białego nie jest niepodobieństwem wczucie się w działalność umysłową męża czynu tubylczego, będącego upartym prawodawcą i mężem stanu, który ma na celu rzeczy mniej lub więcej praktyczne. (O ile zaufanie wzajemne da się osiągnąć pomiędzy nimi). Nie wolno o tem powątpiewać, iż nawet pomiędzy ludami najpierwotniejszymi są mężowie o wydatnej osobistości,

którzy przykładają rękę swoją do robienia historii. Spencer i Gillen w rozdziale wstępnym dzieła swego o tubylcach Australii środkowej, oświadczają, iż, zaznajomiwszy się z postępowaniem tubylców podczas ich wielkich zborów, doszli do przekonania, jako zmiany, zachodzące od czasu do czasu w obyczaju tubylczym, bynajmniej nie są całkowicie wytworem bezwiedności i żywołowości, ale także dziełem częściowo oddziaływania ze strony osób wyższej sprawności. „Na tym zborze niektórzy z pośród starców bynajmniej nie byli mężami bez znaczenia, ale zasięmano rady innych, będących w wieku nie tak podeszłym, lecz bieglejszych w wiedzy starodawnej lub zręczniejszych w sprawach czarodziejskich, i ci rozstrzygali zdaniem swoim. Wprawdzie, należy pamiętać o tem, iż nie rozporządzamy żadnym stanowczym dowodem, iż na tej drodze dokonano jakiejś zasadniczej zmiany w zwyczaju. To jedno tylko możemy powiedzieć, iż, troskliwie przyglądając się tubylcom podczas ich uroczystości i o ile się dało wczuwając się w ich jaźń, myśląc jak oni myślą, i stając się na ten przeciąg czasu jak gdyby któryś z nich, przyszliśmy do wniosku, iż jeśli jeden lub dwóch mężów wpływowych przystali na odpowiedniość wprowadzenia jakiejś zmiany, nawet bardzo ważnej, naówczas jest rzeczą możliwą zgoda powszechna na nią i jej urzeczywistnienie“.

Ustęp powyższy zasługiwał na to, ażeby

był przytoczony w całości swojej, chociażby dla tej świetnej metody, jaką wytyka. Zasada „stawania się na czas niejaki jednym z pośród tubylców“ sprawiła, iż omawiana książka z pośród wszystkich poszukiwań bezpośrednich dokonała najwięcej dla antropologii nowoczesnej. Jednocześnie Spencer i Gillen nie roszczą do tego pretensyi, ażeby zrobili coś więcej nad ujęcie oznak zewnętrznych wysokiej indywidualności wśród wybitnych tubylców. Jest rzeczą rzadką i nieomal niesłychaną, ażeby antropolog pozostawał w takiej przyjaźni z dzikim człowiekiem i zdołał zachęcić go do poufnej rozmowy o sobie i wyluskać z niego rzeczywistego człowieka.

Literatura antropologiczna, mająca sprawę z ludami bardzo pierwotnymi, rzuca przypadkowo pół-światło na osobistość ludzką. Stronica tego dokumentu ludzkiego, który przytoczę jako przykład, jest może najciekawszą, ponieważ dotyczy doświadczenia, które pozostało poza obrębem wzorów, właściwych zwyczajnym ludom cywilizowanym. Jednak tu i ówdzie coś podobnego daje się odnaleźć i pomiędzy nami. L. P. Jacks np. w swoim dziele historycznym: *Obłąkani pasterze*, opisał wieśniaka z północnej Anglii, który należał do rzędu takich wielkich mężów staroświeckich. Albowiem ludzie tego typu mogą być wielcy, przynajmniej w niskiego poziomu społeczeństwie. Tak zwany czarodziej jest kierownikiem społeczności pierwotnej, nie-

kiedy może kierownikiem mogącym służyć za wzór, a ponieważ na zasadzie swego powołania musi trzymać się zdaleka od wszystkich i samotnie, przeto osiąga większe napięcie indywidualności, ma w sobie więcej charakteru, niż rzesza pospolita jego towarzyszy.

Z pracy Howitta o tubylcach Australii południowo-wschodniej streszczę czyjaś opowieść o doświadczeniach, które wyniósł był z wtajemniczenia. Howitt mimochodem zaznacza: „Jestem mocno przeświadczony, iż człowiek wierzył, jako zdarzenia, o których opowiadał, były rzeczywistością i że doświadczył ich istotnie“, poczem przechodzi do wyłożenia tych rzeczywistości podmiotowych. Nie będę robił żadnych uwag ze swej strony. Osoby, poświęcające się poszukiwaniom psychologicznym, dojrzą tam trans hypnotyczny, lewitację i t. d. Inni, wyćwiczeni w duchu religijnym, odnajdą może rzecz głębszą. Socyolog zatrzyma się nad potęgą zwyczaju i tradycji, które zabarwiły obecnością swoją całe doświadczenie nawet w ułamkach najbardziej podmiotowych i mających piętno marzenia sennego, ale każdy odpowiednio do swojej skłonności musi zagłębić się w te rzeczy samodzielnie. Bądźcobądź, dobrze, że książka kończąc się, pozostawi czytelnika w zadumie.

Opowiadaczem był znachor wiradżurski, należący do totemu kangurowego. Opowiadał on, co następuje: „Mój ojciec jest z rodu ja-

szcurki. Wziął on mnie, pacholęciem jeszcze, do kniei, ażeby wykształcić mnie na znachora. Położył dwa duże kryształy kwarcu u piersi moich. Kryształy weszły we mnie. Nie wiem jak weszły, ale czułem, że wchodzi jako ciepło. To miało mi dać mądrość i uzdolnić do wydobywania takich rzeczy ze siebie“. (Mowa o zwyczaju znachorów wydobywania na usta, jakgdyby z żołądka, kryształów kwarcu, w których „moc“ czarodziejska przybiera kształty namacalne; te kryształy są również w użyciu do celów hypnotycznych). „Dał mi także jakieś rzeczy w rodzaju kryształów w wodzie. Przypominały lód, woda zaś miała smak słodki. Poczem jałem widzieć rzeczy, których moja matka nie zdołała dojrzeć. Gdy wychodzę razem z nią, pytam się jej: Co to za postacie niby ludzkie chodzą tam. Zwykle odpowiadała: Dziecko moje, nikogo niema. To były duchy, które zacząłem widywać“.

Opowieść prowadzi nas do okresu dojrzałości, kiedy nasz przyjaciel podlegał wtajemniczeniu prawidłowemu, obowiązującemu wyrostków. Widział on wtedy znachorów, jak ci wydobywali z siebie swoje kryształy i mając je w ustach udzielali mu krzykami ich „mocy“, ażeby zrobić go „dzielnym“ człowiekiem. Poczem, będąc w świętym stanie łaski, jak każdy inny wtajemniczony, usunął się do kniei, jak zwyczaj tego wymaga, pościć i rozmyślać.

„Kiedy byłem w lesie, odwiedził mnie mój

ojciec. Rzekł: chodź do mnie. I wtedy pokazał mi okaz kryształu w rękę. Kiedy spoglądałem na niego, ojciec zapadł się w ziemię, a kiedy ujrzałem go wychodzącego, był cały pokryty pyłkiem czerwonym. To mnie strwożyło bardzo. Wtedy ojciec rzekł: Postaraj się i wydobądź z siebie kryształ. Podjąłem starania i wydobyłem jeden. Naówczas rzekł: chodź ze mną do tego miejsca. Ujrzałem, że stoi nad otworem w ziemi, prowadzącym do jakiegoś grobu. Wszedłem i ujrzałem trupa, który potarł mnie całego, ażeby zrobić mnie mądrym, i dał mi nieco kryształów. Kiedy wyszliśmy, mój ojciec wskazał na węża, mającego centki jak tygrys, i rzekł: Oto twój krewniak, a także i mój. Od ogona węża do nas szedł postronek, jeden z tych postronków, które znachorzy wydobywają ze siebie. Ojciec wziął do ręki postronek i rzekł: Idźmy za węzem. Wąż przeczołgał się przez kilka pni drzewnych, a my za nim. Wkońcu doczołgał się do drzewa z ogromną naroślą dokoła korzeni. Właśnie w takich miejscach przebywa Daramulum. Wąż wczołgał się pod ziemię i przedostał się do wnętrza drzewa, które było próżne. My za nim. Tutaj ujrzałem gromadkę Daramuląt, synów Bajame'go. Następnie wąż zaprowadził nas do wielkiego otworu, w którym była moc węzów. Wszystkie one ocierały się o mnie, ale, jako moi krewniacy, nie rzucały się na mnie. Robiły

to, ażeby udzielić mi mądrości i uczynić znachorem“.

„Wtedy ojciec rzekł: Pójdiesz do obozu Bajame'go. (U Wiradzurów Bajame jest bogiem najwyższym i Daramulun jest jego synem, ale nie jest rzeczą jasną, co oznaczają Daramulęta). Jak na konia siadł na nitkę i dał mi drugą i trzymaliśmy się za ramiona. Na końcu nitki był Wombu, ptak Bajame'go. Przedostaliśmy się przez chmury, na drugiej ich stronie było niebo. Przeszliśmy przez to miejsce, które przechodzą znachorzy, a miejsce to otwiera się i zamyka się bardzo prędko. Ojciec powiedział mi, iż jeżeli znachor, przechodząc, otrze się o to miejsce, duch jego ucieknie i za powrotem na ziemię znachor wpada w chorobę i umiera. Po drugiej stronie ujrzelśmy Bajame, siedzącego wśród swego obozu. Był to wielkiego wzrostu starzec z długą brodą. Siedział mając nogi pod sobą, a z ramion wydobywały się dwa wielkie kryształy kwarcu, sięgające aż do nieba. Znajdowało się także tam mnóstwo dzieci Bajamego, oraz moc jego ludu, mającego postać ptaków i zwierząt (totemy).

„Od tego czasu, a także i wtedy, gdy przebywałem w kniei, zacząłem wydobywać z siebie kryształy, ale zachorowałem mocno i odtąd nie mam tej mocy“.



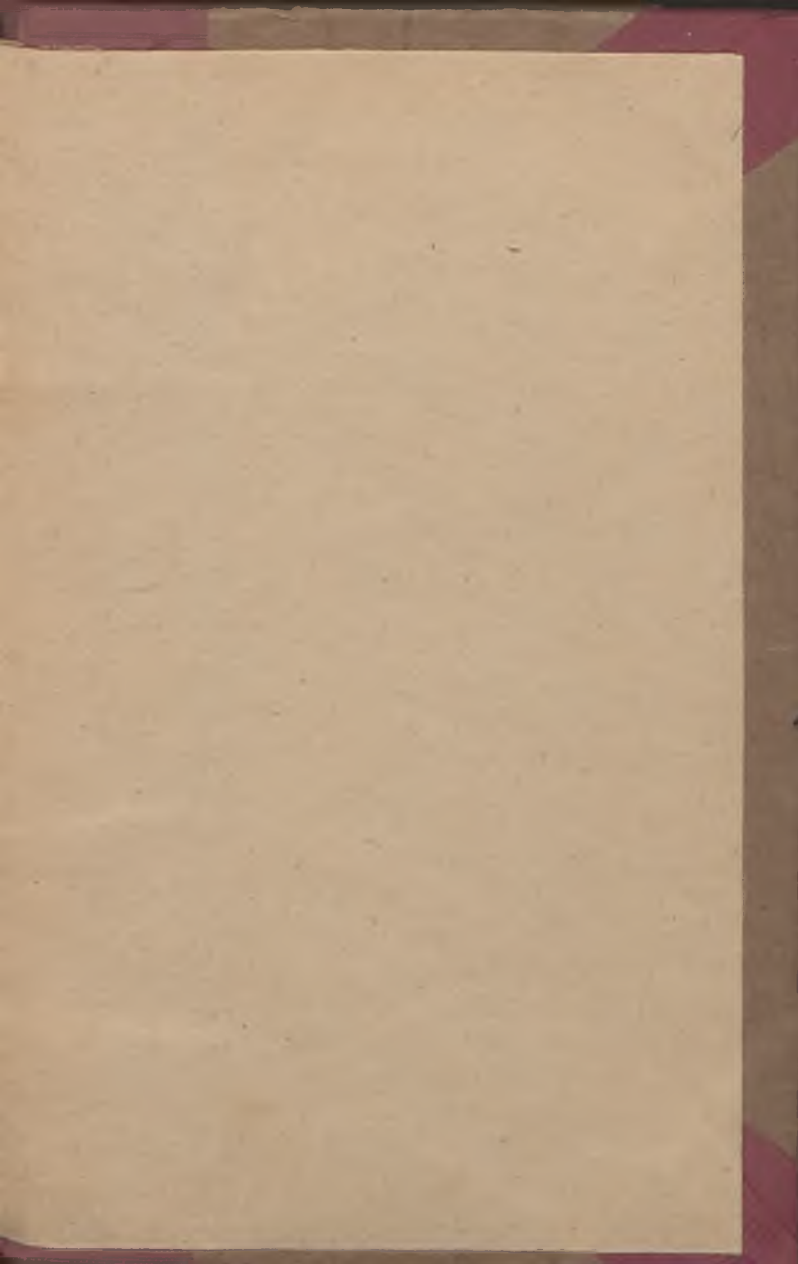


## TREŚĆ:

	str.
Rozdział I.: Zadanie antropologii . . . . .	1
„ II.: Starożytność człowieka . . . . .	24
„ III.: Rasa . . . . .	53
„ IV.: Otoczenie . . . . .	89
„ V : Mowa . . . . .	123
„ VI : Ustrój społeczny . . . . .	145
„ VII.: Prawo . . . . .	172
„ VIII.: Religia . . . . .	194
„ IX.: Moralność . . . . .	225
„ X.: Osobowość . . . . .	232

---





NIE POZYCZĄC DO  
DONU

PEDAGOGICZNA

PEDAGOGICZNA  
BIBLIOTEKA  
WOJEWÓDZKA

Gdańsk-Wrzeszcz  
Al. Gen. J. Hallera 14



106491